ALFRED SIATECKI

SŁAWA
po zmroku

Sława po zmroku

ALFRED SIATECKI

Sława po zmroku

ORGANON

ZIELONA GÓRA

OPRACOWANIE REDAKCYJNE

Zygmunt Rybczyński

Projekt okładki wykonała Lucyna Dratwińska na podstawie fotografii Mieczysława Mielocha

Wydano staraniem
Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów
w Zielonej Górze

dzięki finansowej pomocy
Województwa Lubuskiego oraz
Urzędu Miasta i Gminy w Sławie

© Copyright by Alfred Siatecki
i Wydawnictwo ORGANON
Zielona Góra 2004

ISBN 83-87294-31-4

Wydawnictwo ORGANON
65-001 Zielona Góra 1, skr. poczt. 73
tel. 068 / 320 17 69; 068 /452 17 14
e-mail: organonzryb@poczta.onet.pl
lub: organonzryb@op.pl

Format A5 . Ark. wyd. 5,33. Ark. druk. 9,00 Papier offset. 80g

Moim zamiarem było stworzenie możliwie realistycznego tła, ale wszystkie postacie, imiona i nazwiska oraz miejsca są wytworem wyłącznie mojej wyobraźni. Podobieństwo do osób i wydarzeń jest zupełnie przypadkowe.

Autor

Broszka z kameą

Niebrzydka studentka z białą przepaską na włosach i w za dużej męskiej koszuli rozpiętej aż do pępka cały wieczór obserwowała mężczyznę siedzącego samotnie na stołku pod ścianą przy barze. Była przekonana, że już go gdzieś spotkała. Może na korytarzu Wydziału Humanistycznego albo na koncercie jazzowym w Harlemie, gdzie każdej soboty pracowała jako kelnerka. Zawsze podobali się jej eleganccy, wysocy, nienajmłodsi panowie, a ten przy barze nawet się do niej kilka razy uśmiechnął małymi, wąskimi oczyma spod gęstych brwi, jakby chciał coś jej powiedzieć, ale nie miał odwagi. Gdy o czwartej ucichła muzyka w Kormoranie i rozbawione pary wysypały się na ulicę, samotny mężczyzna wsiadł do forda, pokiwał dziewczynie ręką, jakby dawał jej do zrozumienia, że jutro wieczorem wróci na swoje miejsce w restauracji, i odjechał w stronę Radzynia.

– Wiara, chodźmy popływać na waleta – studentka zaproponowała rówieśnikom, z którymi spędzała wakacje w Sławie.

– Po pierwsze, nad ranem woda jest za chłodna. Po drugie, za dużo wypiłaś, kiedy tak gapiłaś się na tego emeryta, co mógłby być twoim dziadkiem. A po trzecie, chce mi się spać i powinniśmy wracać do namiotu – powiedział student, oplatając ją ramieniem.

– Cholera, w sumie jestem wolna jak mewa. Zechcę, to zaraz zaprezentuję się światu w stroju Ewy.

– A oni – chłopak pokazał głową na dwóch policjantów opartych o murek przy Kormoranie – tylko na to czekają, żeby pani studentce łupnąć mandat za obrazę miasteczkowej moralności, tudzież jedynie słusznych wartości.

– W kurorcie takim jak Sława mogliby zrobić choćby plażę

dla naturystów – powiedziała druga studentka, ziewając. Tu jest nudniej niż w filharmonii.

– Podobno ludzie z Zielonki smażą się na Wyspie Ptaków, ale tam jest rezerwat i gdyby strażnik wypatrzył golasa, kara murowana – tłumaczył chłopak bez przekonania.

Obie pary wracały alejką przez park na kemping, to nucąc, to przystając pod kapeluszami drzew i się całując. Fale uderzające o brzeg zatoki wabiły je na kąpielisko, o tej porze puste, jeśli nie liczyć wędkarzy.

Tuż przed zamknięciem restauracji dziewczyna z przepaską wypiła kieliszek taniego wina, teraz więc wydawało się jej, że jest ciepło i jezioro powinno być spokojne, tymczasem umiarkowany wiatr marszczył taflę wody.

– Co najmniej cztery stopnie w skali Beauforta – ocenił chłopak okiem początkującego żeglarza. – Przy takim wietrze wspaniale by się pływało na tangu, a jeszcze lepiej na carinie.

– Nigdy nie kąpałam się o czwartej rano – wyjawiła studentka, mimo protestu chłopaka, zdejmując z siebie koszulę i szorty. – Wiara, chodźcie do wody!

– Ciszej, dzicz – odezwał się przeciągłym szeptem jakiś wędkarz, którego nikt nie zauważył.

Unosząc jak czapla długie i zgrabne nogi, zupełnie naga dziewczyna szybko oddalała się od brzegu jeziora, a po trzech minutach było widać tylko białą przepaskę na czubku jej głowy.

– Jest super! – zawołała unosząc rękę, jakby chciała udowodnić całemu światu, że jest nie tylko ładna, lecz i wysoka, bo dotyka nogami dna.

– Wracaj! – krzyknął chłopak, drżąc nie tyle z zimna, co z obawy, że dziewczynie zabraknie sił na powrót do brzegu.

– Nie jestem sama. Tam też ktoś się moczy, cholera – powiedziała i popłynęła w stronę trzcin, a po chwili nie zważając ani na prośby wędkarzy, ani na to że jest naga, krzycząc i rozbryzgując wodę, rwała do brzegu. – Człowiek!

– Przewidziało ci się, laleczko – roześmiał się chłopak i wyciągnął do niej rękę, w której trzymał koszulę. – Lepiej okryj swe grzeszne ciało.

– On się nie rusza!

– Pewnie jakaś deska...

– Człowiek!

– O tej porze jedynie ty...

– Trzeba go wyciągnąć! Może jeszcze żyje?! – wołała dziewczyna, uderzając pięścią o pięść. – Ludzie, pomocy!

– Nad ranem hormony buzują w babach, a ta jeszcze wypiła i nie dziwota, że głupio gada – stwierdził chłopak nie bez racji, mimo to rozebrał się do bokserek i wszedł do wody. Nie było go może pięć minut, a kiedy wrócił na brzeg, przytulił dziewczynę mocno, jakby ją przepraszał. – Trzeba kogoś powiadomić.

Druga studentka pobiegła w stronę policjantów, którzy palili papierosy przed Kormoranem i zanim wędkarze zeszli z pomostów, ona już prowadziła stróżów porządku na brzeg zatoki. Od tej chwili wszystko działo się błyskawicznie. Jacyś dwaj faceci w spranych drelichach (później ktoś powie nadkomisarzowi, że to byli kłusownicy, którzy łapali węgorze) wyłowili ciało kobiety i gdy dopłynęli z nim do plaży, na brzegu czekał doktor Szpak w otoczeniu gapiów z kempingu.

– Nie żyje od kilku godzin – potwierdził lekarz, zamknąwszy oczy nieboszczki. – Trzeba ją czymś nakryć – zwrócił się do starszego posterunkowego, który rozmawiał przez telefon komórkowy z dyżurnym komisariatu.

– Czy ktoś zna denatkę? – spytał drugi policjant, omiatając wzrokiem gapiów, lecz nikt się nie odezwał. – Wszystkie śpiwory w namiotach zajęte?

Studentka z przepaską na głowie dopiero teraz założyła szorty i zapięła koszulę, chłopak też się ubrał i objął ją ramieniem, bo drżała z zimna czy lęku.

– Widziałam tę kobietę przed południem w delikatesach – powiedziała. – Już stałam w kolejce do kasy, kiedy ona weszła z mężczyzną do sklepu. Miała na sobie dopasowane dżinsy i jasnofioletowy trykot. Pewnie nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby nie złote bransolety na obu rękach. Później, jak odwróciła się do mężczyzny, zobaczyłam na jej szyi obrożę i piękną broszkę z zieloną kameą.

– Z czym? – chłopak nie zrozumiał.

Kurczowo trzymając go za rękę, jakby się bała, że upadnie, zrobiła cztery kroki i zatrzymała się obok policjanta.

– Broszka była w tym miejscu – pokazała na wgłębienie między swoimi piersiami. Nie miała odwagi przyznać się, że wtedy zazdrościła jej idealnych stożków piersi, jakby wyrzeźbionych w kolorowanym alabastrze.

– To pani zna denatkę? – spytał posterunkowy. – Matka może albo ktoś z rodziny?

– W delikatesach była z tym samym facetem, który całą noc siedział przy barze, a potem odjechał fordem. W sumie nie mam pewności, ale ten facet to mógł być profesor Klinton z Wydziału Humanistycznego.

Po obiedzie Artur przejrzał jedynie wiadomości sportowe na ostatniej stronie, podał gazetę żonie i położył się obok niej na wersalce. Od dawna kibicował żużlowcom Polmosu, wszystko pozostałe w dzienniku, a szczególnie informacje o tym, kto z kim, o czym i gdzie rozmawiał, co załatwiał, traktował jak morowe powietrze. Dilajla w przeciwieństwie do męża uważała politykę za pasjonujące zajęcie dla zgrabnych kobiet po trzydziestce, które nudziły się w domu. Drugi mąż jej matki często nawet w obecności Artura obiecywał, że przed najbliższymi wyborami parlamentarnymi przy pomocy studentów zbierze trzy tysiące podpisów popierających i zgłosi kandydaturę Dilajli do Senatu. Miała dowody na to, że we współczesnej polityce nie tyle talent i poglądy się liczą, co przede wszystkim powiązania towarzyskie i pieniądze. Kto jest zamożny, może sobie kupić miejsce na Wiejskiej, a ja przecież będę jeszcze bogatsza, pomyślała z dumą i szybko przerzuciła gazetę, jakby czegoś szukała. Jej wzrok przyciągnęło kolorowe zdjęcie na stronie piątej.

– Widziałeś? – spytała męża z rozmysłem i po chwili zawołała: – Obroża mamy!

– Ta, którą zrobiłem jej w prezencie ślubnym?

– Kobieta na zdjęciu to mama.

– Powinnaś być dumna z tego, że twoja matka jest jeszcze taka fotogeniczna – roześmiał się – a ja robię arcydzieła, które pokazują w gazecie. Lepszej reklamy nie potrzebuję.

– Boże, czyż to możliwe? – Wstała i powiedziała głosem zdecydowanym: – Artur, ty utopiłeś mamę!

– Gdyby się dała, nie czekałbym, aż umrze na raka.

– Utopiłeś!

– Co ci przyszło do głowy?

– Nie zaprzeczaj – rzuciła i przypomniała mu, że przedwczoraj po południu pływał z jej matką po jeziorze.

– Mieliśmy taki zamiar, ale gdy podniosłem żagle, wiatr ustał, a, jak wiesz, pływać można przy co najmniej trzech stopniach Beauforta, kiedy lustro wody już się lekko marszczy. Zamiast czekać na wiatr, poszliśmy na lody do kawiarni.

– Kłamiesz, podły morderco – Dilajla wybuchła płaczem.

Artur długo nic sobie nie robił z zachowania żony, lecz gdy płacz przerodził się w zawodzenie, jeszcze raz sięgnął po gazetę. W pierwszej chwili otworzył usta i tylko jęknął z wrażenia, później zamknął oczy i siedział nieruchomo, nabierając powietrza do płuc i wypuszczając je z sykiem. Nie miał wątpliwości, że kobieta na zdjęciu to jego teściowa.

– Na szyi złota obroża z dwoma kiściami winogron – potwierdził, czując, jak robi mu się gorąco. Znowu przymknął oczy, ale po chwili otworzył je i przeczytał na głos Komunikat policji:

– *Wczoraj we wczesnych godzinach porannych zostały wyłowione z jeziora w Sławie zwłoki kobiety. Rysopis: wiek około 55 lat, wzrost 174 cm, włosy krótkie, farbowane na czarno. Denatka była ubrana w niebieskie dżinsy firmy Dallas i jasnofioletowy trykot. Na szyi i obu rękach miała złote obroże. Ktokolwiek może udzielić pomocy, proszony jest o kontakt z najbliższą jednostką policji.*

Artur zerwał się z wersalki, natychmiast wybiegł na dwór, popchnął furtkę i bez pukania wtargnął do drugiej połowy bliźniaka. Klinton oglądał telewizję, gdy zobaczył niespodziewanego gościa, palcem wskazującym lewej ręki przycisnął wyłącznik pilota. Artur rozłożył przed nim gazetę na stronie piątej.

– Czy to jest twoja żona a moja teściowa? – spytał z udawanym spokojem.

– Utopiłeś ją, draniu! – odparł Klinton głosem podniesio-

nym, nawet nie spoglądając na zdjęcie. – Odpowiesz za to przed sądem.

– Ja? – Oburącz złapał się za głowę. – Ja? Boże... A może ty ją utopiłeś?

– Latka mówiła mi, że jak znajdą topielca, to mam niezwłocznie dzwonić na policję, bowiem to twoja sprawka? Wielokrotnie jej groziłeś.

– Nie miałem powodu jej kochać, ale szanowałem ją tak, jak się szanuje matkę żony.

– Nikt ci nie uwierzy, draniu. A natomiast ja oświadczę, że między tobą i Latką dochodziło do kłótni na tle majątkowym. Często musiałem stawać w jej obronie – powiedział Klinton, nie mając wątpliwości, że Dilajla będzie trzymała jego stronę. – W czwartek też się sprzeczaliście. Znowu o podział firmy. Kiedy Latka szykowała żaglówkę do rejsu, ty dosiadłeś się do niej... jedynie po to, żeby ją utopić.

– Kłamiesz!

– Nikt mi tego nie udowodni.

– Myśmy w ogóle nie wypłynęli z przystani, bo był za mały wiatr na jeziorze. Poszliśmy do kawiarni – powiedział Artur. – Nie wierzysz, to spytaj profesora Kwaśnego, kto zafundował mamie lody w For You i mnie małą kawę.

Wnuczka profesora zaprzeczyła, że była w czwartek z dziadkiem w kawiarni, a Kwaśny zmarszczył czoło, lecz nie mógł sobie przypomnieć, czym się zajmował tego popołudnia. Nie przypominał sobie również, kiedy ostatni raz widział Klintonową.

– Przecież dosiedliśmy się do pańskiego stolika. Najpierw rozmawialiśmy o cenach w barze rybnym, a potem pan zaczął mówić o krętactwie burmistrza Lomysa. Powiedział pan nawet, że Solidarność powinna zgłosić nowego kandydata, najlepiej pana Balzera – usiłował odświeżyć jego pamięć Artur.

– Przykro mi bardzo, ale niczego nie kojarzę. Piszę rozprawę na pewien trudny temat i nie zwracam uwagi na to, co mnie otacza. Przepraszam, że nie mogę służyć pomocą.

– Panie nadkomisarzu, tak właśnie było. Przysięgam...

Niech pan spyta właściciela kawiarni, czy kłamię. Jak mam udowodnić swoją niewinność?

– Przykro mi – powtórzył profesor.

Artur nie spuszczał z niego oczu, czytając z jego twarzy jak z książki, że coś ukrywa.

Jeszcze przed południem Syski obejrzał jacht zacumowany przy pomoście ośrodka rehabilitacyjnego Victoria. Mimo iż nie miał pojęcia o żeglarstwie i nigdy nawet pięciu minut nie spędził na żaglówce, domyślił się, że jest to kabinowy orion, wykonany z laminatu, na którym mogą pływać najwyżej trzy dorosłe, niezbyt tęgie osoby.

– Czy łajba jest pańską własnością? – chciał wiedzieć policjant.

– Formalnie należała do mnie jak toyota i połowa domu na osiedlu Słonecznym w Radzyniu, ale nie ja za to wszystko zapłaciłem – odparł Artur, zapalając papierosa.

– A któż sprawił panu takie prezenty?

– Mój teść miał złote ręce i dobre serce.

– Profesor Klinton?

– Hilary Klinton jest... teraz można powiedzieć, że był drugim mężem Latosławy. O pierwszym, znanym jubilerze, słyszał każdy w Zielonej Górze. Nazywał się Jerzy Borys Jelcyniak.

– Miał sklep przy ratuszu – przypomniał sobie nadkomisarz.

– Miał kilka sklepów w mieście – poprawił go Artur. – Teść zmarł na zawał serca dwa lata temu, zapisując majątek swojej żonie. Ja, chociaż projektowałem i robiłem te wszystkie pierścionki, broszki, obroże, nie dostałem nawet kęsa majątku. Jak kiedyś, tak i teraz jestem wyłącznie pracownikiem najemnym. A gdyby nie ja, firma nie wytrzymałaby konkurencji. Myśli pan, że moja teściowa znała się na jubilerstwie. Ona nawet nie umiała wydawać pieniędzy... Wiele razy tłumaczyłem Dilajli, że matka nam powinna zapisać połowę firmy. Jako współwłaściciel dałbym robotę artystom plastykom... A ona, zamiast na córkę i zięcia, pół firmy zapisała na swego drugiego męża, który przepuszcza pieniądze na dziwki, bo teściowa jest, to znaczy była, po amputacji obu piersi.

Technicy nie znaleźli żadnych śladów walki na jachcie. Czyżby pani Klinton poślizgnęła się na wilgotnej podłodze i wpadła do wody? A może zięć ją popchnął, jak sugeruje Hilary Klinton? Ale przecież ona znakomicie pływała, w młodości była nawet wicemistrzynią kraju w nurkowaniu podwodnym, a na początku lipca przepłynęła bez asekuracji jezioro Sławskie z Lubiatowa do Radzynia w dwie i pół godziny, czym się zachwycali onkolodzy. Coś tu nie pasuje, pomyślał Syski.

– Wcześniej powiedział pan, że gdy weszliście na jacht, to wiatr ucichł i żeglowanie stało się niemożliwe. Żadna żaglówka tego dnia nie wypłynęła na jezioro – przypomniał nadkomisarz.

Artur tylko kiwnął głową.

– O ile wiem, to na Sławskim pogoda zmienia się nagle. Na jeziorze uważanym za spokojne jeziorze, jak twierdzi kierownik ośrodka meteorologicznego, w ciągu pół godziny może się pojawić półmetrowa fala. Żaden żeglarz, jeśli nie musi, nie wypłynie z przystani bez zasięgnięcia opinii kierownika ośrodka. Żeglarzami są zazwyczaj ludzie na poziomie, przewidujący, ale gdy chodzi o żeglowanie to jednak poddają się kaprysom pogody.

Artur znowu przytaknął i pociągnął nosem.

– Pan przecież nie jest żółtodziobem, przeciwnie, ma pan siedmioletnie doświadczenie żeglarskie i patent sternika.

– Usiłowałem przekonać teściową, że powinniśmy poczekać co najmniej godzinkę, w tym czasie pogoda powinna się zmienić na naszą korzyść, a ja uprzątnąłbym dolny pokład, ale ona była wyjątkowo uparta i zdecydowała, że pływanie nie będzie możliwe. Tego dnia zachowywała się jakoś tak...

– Jak? – wpadł mu w zdanie nadkomisarz.

– Kto ma zamiar żeglować to zakłada na siebie dres czy coś luźnego, a nie ubiera się w obcisłe dżinsy. Nie stroi się w złote obroże, nie przypina cennej broszki z kameą do byle jakiej bluzki.

– Co jeszcze zwróciło pańską uwagę w zachowaniu pani Klinton?

– Teściowa nigdy nie przepadała za słodyczami, a wtedy

zaproponowała, żebyśmy wybrali się do For You na lody.

– Jak pan zareagował na jej propozycję?

– Zamknąłem kabinę na klucz i ścieżką wzdłuż jeziora poszliśmy do kawiarni.

– Właściciel może nie pamiętać twarzy wszystkich swoich gości, ale profesor Kwaśny też nie potwierdza, żeby was tam widział – przypomniał mu Syski. – Proszę jeszcze raz opowiedzieć, jak było.

Artur skupił myśli i po chwili przyznał, że nie wie dokładnie, o której godzinie wyszedł z teściową z domu na przystań. Pamięta natomiast, że kiedy wieczorem wstawali od kawiarnianego stolika, to teściowa spytała profesora o godzinę, Kwaśny założył okulary i spojrzał na zegarek – była 18.45.

– Czy z kawiarni wróciliście na przystań?

– Poszliśmy do domu: teściowa do swojej połówki bliźniaka, ja do swojej. Włączyłem telewizor i w TVN-ie oglądałem Fakty. Raczej nie lubię polityki, ale lubię posłuchać, jak Tomek prowadzi audycję. Z Tomkiem chodziłem do podstawówki. Z naszej klasy jest nawet jeden poseł, dwie lekarki, ale nikt tak daleko nie zaszedł jak Tomek Lis. Wszyscy mu zazdroszczą.

– Wiosną w wypadku samochodowym zginął pański szwagier. Sprawa została umorzona, ponieważ kierowca był pod wpływem alkoholu. Ale do wypadku mogło dojść nie dlatego, że kierowca był pijany, tylko że nie zadziałały hamulce, bo ktoś spuścił płyn ze zbiorniczka. Kto to zrobił?

– Tego nigdy nie ustalono.

– Z czworga podejrzanych najdłużej przesłuchiwano pana. O ile wiem, nie umiał pan przekonać mojego kolegi o swojej niewinności.

– Tylko dlatego, że BMW szwagra stało w garażu obok mojej toyoty. Jedynie on i ja mieliśmy klucze do bramy, a do garażu można było wejść także przez piwnicę z mojej połówki bliźniaka, jak i z połówki Klintonów.

– Będzie panu potrzebne mocne alibi – powiedział policjant głosem zastraszającym, choć bez przekonania. Na razie nic nie układało się w logiczny ciąg zdarzeń, ale tak bywa zawsze na początku, gdy chodzi o wskazanie mordercy na

podstawie niepewnych poszlak. Już miał wsiąść do samochodu, gdy przyszło mu na myśl pytanie o Dilajlę. Do tej pory niewiele o niej wiedział. – Rozumiem, że pańska żona też oglądała Fakty i wszystko, co pan dotąd powiedział, potwierdzi bez zająknięcia.

– Dilajla wróciła do domu przed ósmą.

– Skąd?

– Codziennie wieczorem, kiedy robi się chłodniej, aż do zmroku żona plewi i podlewa warzywa w ogródku. W ciągu dnia jest taki upał, że wszystko więdnie. Wtedy żona wróciła wcześniej, bo uderzyła się motyką w głowę i rozbiła sobie czoło – wyjaśnił Artur. – A dlaczego pan powiedział, że będzie mi potrzebne mocne alibi?

– Zdaniem lekarza sądowego, znakomitego fachowca w tej dziedzinie, Latosława Klinton nie żyła od godziny dziewiętnastej.

Profesor Kwaśny stał długo na schodach i pukał do drzwi, lecz nikt mu nie otwierał, nacisnął więc klamkę i z rozwagą przekroczył próg domu, jakby się spodziewał, że zastanie Klintonów w sytuacji, której nie powinien być świadkiem. Profesor jest kolegą Hilarego Klintona od czasu studiów we Wrocławiu, gdy obaj najpierw badali piastowskie dzieje Ziemi Lubuskiej, później jednak Kwaśny zajął się historią najnowszą, ale to przecież przyległe specjalizacje. Gdyby nie prowadził wykładów na uniwersytetach w Szwajcarii i Niemczech, jak większość profesorów humanistów w Polsce żyłby bardzo skromnie. Nie dziwił się więc, że po śmierci pierwszej żony Klinton ożenił się z majętną wdową po jubilerze, mimo że nie należała do kobiet wykształconych i była po dwukrotnej mastekotomii. Gdy chodzi o duże pieniądze, wady ciała nie mają żadnego znaczenia, twierdził profesor nie bez racji. Uważał również, że mężczyzna o wyglądzie i temperamencie Klintona może mieć tyle pięknych kobiet, ile tylko zechce.

– Hilary! – zawołał zaraz za drzwiami. Nikt się nie odezwał. Powtórzył wołanie dwukrotnie, uderzył pięścią w futrynę ostrzegawczo i dopiero wtedy wszedł do pokoju, z którego dochodził proszalny szept. Zatrzymał wzrok na ekranie

telewizora i zorientował się, że Klinton ogląda film pornograficzny.

– Mimo takiej tragedii jesteś niepoprawny – powiedział rozgniewany, starając się zachować spokój.

Klinton natychmiast wyłączył wideoodtwarzacz. Jego dobrze wygolona twarz była rumiana raczej z podniecenia niż z powodu kilku kieliszków wypitej jałowcówki.

– Nie potrafię sobie znaleźć miejsca – rzekł, jakby prosił o usprawiedliwienie.

– Współczuję ci.

– Dlaczego akurat mnie to spotkało?

– Przesłuchiwał mnie nadkomisarz policji, niejaki Syski – oznajmił mu chłodnym głosem Kwaśny.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że ten gówniarz, niedouczony jubiler utopił Latkę. On, którego traktowała jak syna. Który robił, co chciał. Czy wiesz, że niewiele brakowało, a przepisałaby firmę na jego nazwisko?

– Mówisz o panu Arturze?

– On to musiał dawno zaplanować. Czekał tylko na okazję. Od kilku tygodni prawie codziennie żeglował z nią po jeziorze nawet w czasie niespecjalnej pogody. Teraz też wypłynął z nią na jezioro jakby nigdy nic i tam najpierw ją udusił, a później ciało wrzucił do wody. Boże, a ja traktowałem go jak własnego syna.

Kwaśny przymrużył oczy, pokręcił przecząco głową i oświadczył spokojnie:

– Pan Artur nie zamordował twojej żony.

– Nie on?... A kto?

– Pewnie nie powinienem ci tego mówić, Hilary, ale przed wieczorem oni rzeczywiście byli w For You. Pan Artur nie miał przy sobie pieniędzy, więc ja zafundowałem Latosławie lody, pamiętam dokładnie, pistacjowe z polewą truskawkową. Pan Artur wypił kawę bez śmietanki. Rozmawialiśmy co najmniej godzinę i o 18.45 razem wyszliśmy z kawiarni – powiedział Kwaśny, patrząc z ukosa na Klintona. – A dwie godziny później...

– Sądził, że jak ją wyprawi na tamten świat, to przejmie firmę. Dlatego utopił moją Latkę, ale nie wiedział, drań, że ona mnie uczyniła współwłaścicielem firmy.

– A dwie godziny później widziałem przez okno, jak coś dużego wynosiłeś z domu do bagażnika swego forda. To nie były wędki, Hilary, czy torba ze śmieciami z całego tygodnia

– Wydawało ci się – powiedział Klinton, czując, że do jego głosu wdziera się ton desperacji.

– Z worka wystawały stopy.

– Pani twierdzi, że jest przyjaciółką Hilarego Klintona – powtórzył nadkomisarz, spoglądając wstydliwie na pulchne jak obwarzanki usta kobiety w wieku balzakowskim. – I w czwartek profesor spotkał się z panią.

– O trzynastej skończyłam zajęcia ze studentami zaocznymi, a Hilary niespełna godzinę później. Najpierw poszliśmy na obiad do Studia, później, jak zwykle, kiedy mamy na to ochotę, do Hotelu Asystenckiego, gdzie mieszkam od czasu rozwodu z trzecim mężem, doktorem Szpakiem, dziś wziętym lekarzem w Sławie. Nie mam nic do ukrycia, więc ode mnie powinien się pan dowiedzieć, że na długo przed śmiercią swojej pierwszej żony Hilary był moim kochankiem. Z tego powodu doktor Szpak rozwiódł się ze mną – powiedziała przez zaciśnięte zęby, jakby czuła się winna i zdjęła ciemne okulary, ale zaraz je założyła.

Nadkomisarz zastanawiał się, dlaczego kobieta, o której istnieniu dotąd nie wiedział, przyszła do komendy policji i z własnej woli odkrywa intymne sekrety dwojga wykształconych osób. Czyżby tylko broniła swego kochanka? Pewnie coś ukrywa za tymi okularami, ale co? Doświadczenie podpowiadało mu, że jedynie kobiety zawiedzione i porzucone obciążają swoich gachów.

– Sądzi pan, że elokwentny, zdrowy, przystojny mężczyzna, a Hilaremu przecież niczego nie brakuje, z miłości od pierwszego spojrzenia ożenił się z przeciętną, w dodatku oszpeconą i chorą, wdową po jubilerze? – Wyprostowała się, lecz nie czekała na odpowiedź. – Zrobił to wyłącznie dla pieniędzy. Hilary, o co ciągle mam do niego pretensję, należy do tej kategorii mężczyzn, którzy chcą przez życie przejechać w luksusowym samochodzie. Cóż, trochę się przeliczył, ale i tak będzie miał połowę firmy, bo druga połowa należy do,

używając języka kryminologów, córki denatki.

Do pokoju wszedł aspirant, podał Syskiemu karteczkę i usiadł z boku, czekając na dalsze polecenia.

– W czwartek profesor Klinton nie prowadził zajęć ze studentami. Miał po cztery godziny wykładów w środę i piątek. Kto więc kłamie: kierowniczka dziekanatu, która złożyła swój podpis na tej karteczce, czy pani?

Kobieta podniosła głowę wysoko, znowu zdjęła okulary, ale zaraz je założyła i oświadczyła:

– Pan oczekuje ode mnie informacji o tym, jakim kochankiem jest Hilary i co robiliśmy w czwartek.

Nadkomisarz zignorował jej uwagę.

– O której godzinie miałby Klinton wyjść z pani mieszkania?

– Dlaczego miałby? Ubrał się, umył naczynia i o dwudziestej odjechał prosto do Radzynia, wcześniej dając mi prawie dwa i pół tysiąca złotych, za które następnego dnia kupiłam wycieczkę do Hiszpanii. Dziesięć dni września zamierzaliśmy przyjemnie spędzić na Teneryfie – uśmiechnęła się, jakby przypomniała sobie coś bardzo miłego.

– Proszę kontynuować. – Policjant oderwał oczy od jej smukłych i delikatnych dłoni. Kto ma takie ręce, jest utalentowany muzycznie.

– Głupie będzie to, co chcę powiedzieć, lecz skoro dopuściłam pana do tylu sekretów, nie mam innego wyjścia. Zakładam, że tych informacji nie wykorzysta pan przeciw mnie wobec osób trzecich, nawet w sądzie.

– Takiej obietnicy nie mogę pani dać. Rozumiem, że jest pani pedagogiem i... – brakowało mu słowa, więc urwał.

– Od czwartku nie wyrzucałam śmieci, w kuble powinny być dwie prezerwatywy z frędzelkami. Myślę, że wasi laboranci podpowiedzą właściwe wnioski. A odnośnie tej informacji – pokazała głową na karteczkę leżącą przed policjantem – to Hilary przesunął zajęcia ze środy na czwartek bez zgody kierowniczki dziekanatu, co pan aspirant może sprawdzić, pytając na przykład studentów.

Kłamie, pomyślał Syski. Co jest w kobietach, że bronią nawet tych kochanków, którzy je oszukują?

Wprawdzie profesor bez niczyjej pomocy wygramolił się z peugeota, to wyglądał tak, jakby za chwilę miał przenieść się na tamten świat. Ktoś pobiegł do pobliskiego ośrodka wypoczynkowego po lekarza, lecz zanim zjawił się doktor, student wydostał apteczkę zza fotela samochodu. Dziewczyna obmyła Kwaśnemu twarz wodą mineralną, którą miała w plastikowej butelce, z głowy zdjęła białą przepaskę i owinęła nią zranioną rękę profesora.

– Jak się pan czuje? – spytał lekarz, kładąc Kwaśnego przy pomocy młodzieńca na poboczu drogi.

– Byłem przypięty pasem. Poza rozbiciem nosa, czoła i zranieniem łokcia nic mi się nie stało. Poważniejszych urazów doznał mój samochód – usiłował żartować.

Przybyli pięć minut później dwaj policjanci ze Sławy stwierdzili jedynie, że to nie pierwszy taki wypadek na krętej drodze do Tarnowa Jeziernego.

– Choćby człowiek, kurcze, dostał odcisków od ustawiania znaków, to i tak nikt nie uważa. Rozumiem młodzika, co chce się popisać przed dziewuchą, ale żeby stary grzyb też wylądował na drzewie? – biadolił policjant.

– Mimo że hamowałem, samochód nie zwalniał, jakby hamulce nie działały – powiedział profesor w swojej obronie.

– Może płyn hamulcowy wyciekł ze zbiorniczka? – spytał starszy posterunkowy. – Mogła się poluzować nakrętka albo któraś linka się przetarła.

Kwaśny rozłożył ręce. Przyznał się, że nigdy nie podnosił pokrywy maski peugeota, nawet nie wie, co powinien odkręcić, żeby skontrolować poziom płynu.

– Linka sama się nie przetrze. Teoretycznie może pęknąć, ale tylko teoretycznie – zaakcentował student. – W praktyce nigdy nie zdarzyło się, żeby bez udziału człowieka nastąpiło takie zmęczenie materiału. Może ktoś majstrował przy hamulcach? Kiedy był pan w serwisie?

– Nigdy. To jest nowe auto.

Policjant zdjął czapkę z głowy i przyklęknął na lewe kolano, jakby coś niezwykłego dojrzał pod samochodem.

– Ktoś odkręcił nakrętkę zbiorniczka na płyn hamulcowy, to i nie dziwota, coś pan nie wyrobił na zakręcie – powiedział rzeczowym tonem, powoli wstając i stękając.

– A niedawno w tym miejscu był identyczny wypadek – przypomniał sobie starszy posterunkowy. – Gość z Zielonej, tyle że dużo młodszy od pana, też pieprznął w drzewo, bo ktoś, kurcze, spuścił płyn hamulcowy ze zbiorniczka w jego beemwicy.

– Myślisz o synu tej jubilerki, co w czwartek utopiła się w jeziorze? – spytał drugi policjant.

Kwaśny przez chwilę milczał, jakby coś kojarzył. Pewne zdarzenia z ostatnich miesięcy układały mu się w logiczny związek. Teraz na pewno wiem, kto chciał, żebym się zabił, pomyślał, gotów natychmiast zdemaskować swego prześladowcę, już podszedł do policjantów ze Sławy, gdy zdał sobie sprawę z tego, że oni nie zajmują się kryminalistyką.

– Mus czekać na biegłego – nakazał mu starszy posterunkowy. – Jak potwierdzi, że nakrętka została specjalnie zdjęta i że to było przyczyną wypadku, będziesz pan mógł szukać se sprawcy na własną rękę albo wynająć detektywa.

– To już zbyteczne – westchnął profesor.

– Mogłeś się pan zabić.

Zamiast byczyć się, grać w pokera, oglądać telewizję czy dymać swoją starą, jak robią to tysiące facetów latem w Radzyniu, Kwaśny gapi się przez okno. Gdyby nie wtrącał się do moich spraw, nadal wyjaśniałby swoim studentom, dlaczego Rogatka musiał sprzedać Ziemię Lubuską, może nawet zostałby dziekanem wydziału, a tak pewnie święty Piotr już mu tłumaczy, co wolno robić w niebie. I znowu rektor musi wydać parędziesiąt złotych na nekrolog w gazecie, drwił sobie Klinton z kolegi.

– O czym myślisz, Hilary? Jeśli powiesz, że nie o mnie, to się obrażę.

Nawet nie usłyszał, kiedy Dilajla weszła do domu, ale uśmiechnął się wymuszenie i otworzył usta, żeby coś miłego rzec, gdy ona podniosła sukienkę jak przedszkolaczka, pokazując zgrabny brzuch.

– Powiedz naszemu synkowi, jak bardzo mnie kochasz – poprosiła.

Zdrętwiał na chwilę i pomyślał, że do tego nie może dopu-

ścić. Na stare lata miałby znowu zostać ojcem? Koledzy będą się śmiali. A jak się zachowają wnuczki, kiedy się dowiedzą, że będą miały wujka młodszego od siebie? Z jednej strony duma, z drugiej – wstyd.

– Jesteś pewna?

– O, tak – szepnęła z przeciągłym westchnieniem i się uśmiechnęła zadowolona.

– Z mężem również sypiasz? – W głosie Klintona brzmiała nuta powątpiewania.

– Artur nie może być ojcem, bo, o czym pewnie też wiesz, jest bezpłodny. Jedynym prawdziwym mężczyzną, z którym... – urwała, jakby się zawstydziła – jesteś ty, Hilary.

– To znaczy, że znowu zostanę ojcem.

– Rozwiodę się z Arturem, wyjdę za ciebie i urodzę synka. Będziemy mieli komu zostawić majątek.

Syski jeszcze raz dokładnie obejrzał żaglówkę, dwukrotnie wchodził do kabiny, gdzie na pryczach leżały koce i poduszki z waty, dotykał ich, wąchał, wyjmował włókienka. Chodziło mu jedynie o uzasadnienie hipotezy, którą sformułował anatomopatolog po sekcji zwłok Klintonowej. Na razie nie miał podstaw do odrzucenia przypuszczeń lekarza.

Zanim jeszcze raz przesłucha Klintona, postanowił porozmawiać z Arturem w jego domu. Interesowało go jedynie to, czym są wypchane poduszki w sypialni. Gdy stwierdził, że jest w nich biała, naturalna bawełna, identyczna jak ta, którą wymacał w poduszkach na jachcie, przeprosił za najście.

– Tamtego dnia wrócił pan do domu z For You tuż przed dziewiętnastą – przypomniał, chcąc sprawdzić, czy Artur nie kłamał podczas poprzedniej rozmowy. – Może kwadrans później wróciła pańska żona. Czy była... jakby to powiedzieć... zdenerwowana, poruszona czymś...?

– Z mojej winy nie mamy dzieci. Niewiele jest warte bezdzietne małżeństwo. Dilajla więc ostatnio daje mi często do zrozumienia, że jestem kimś gorszym nawet od tego faceta, który zamiata przed stacją meteorologiczną – głową pokazał placyk za oknem. – Fidel co zarobi, to przepije, ale ma sze-

ściu chłopaków, to nic, że obdartych i ciągle głodnych przygłupów.

Gdy Syski nacisnął guziczek dzwonka przy furtce, Klinton natychmiast wyszedł na ganek jakby od dawna na niego czekał, lecz zanim wyłączył alarm, poprosił nadkomisarza o okazanie nakazu rewizji.

– Z podpisem prokuratora – dodał, unosząc prawą dłoń.

– Nie zamierzam pana rewidować, aczkolwiek chciałbym sprawdzić kilka rzeczy, na przykład, pod czym pan śpi. Jestem przekonany, że nie będzie miał pan profesor nic przeciw temu. W końcu chodzi o uwolnienie pana od podejrzeń.

Z wyraźną niechęcią Klinton wpuścił policjanta do sypialni. Na łóżku małżeńskim leżały dwa koce z wełny wielbłądziej, obleczone w kolorowe poszewki z kory, i cztery pulchne poduszki wypchane pierzem.

– Co jeszcze pana interesuje?

– Gdzie pan zazwyczaj przyjmuje gości?

Profesor pokazał mu rozsuwane, wypełnione szkłem witrażowym drzwi, za którymi był salonik.

– Usiądziemy w kuchni – zaproponował Klinton, lecz Syski już rozsunął drzwi i gdy zobaczył Dilajlę na wersalce, najpierw udał zdumionego, a po chwili rzekł jakby się usprawiedliwiał: – A to i lepiej, że panią tu zastałem. Nie będę musiał dwa razy tłumaczyć, kto zamordował Latosławę Klinton.

– Przecież moja żona utonęła – powiedział z naciskiem profesor.

Dilajla ściągnęła lekko prawie niedostrzegalne brwi, jakby przypomniała sobie coś, co ukrywa przed światem, i siedziała skulona z nogami podkurczonymi pod brodą.

Komisarz oparł się ramieniem o futrynę drzwi.

– W czwartek około godziny dziewiętnastej żona pana a matka pani niespodziewanie wróciła do domu. Zastała was w sytuacji, delikatnie określając, *in flagranti* i nie tylko wykrzyczała, co o tym myśli, lecz i użyła siły. Ta rana na pani czole to po uderzeniu wazonem, prawda? – Nie czekając na potwierdzenie, ciągnął dalej: – Pan stanął w obronie czci, je-

śli to tak można nazwać, młodej damy i tak mocno uderzył żonę, a ma pan sprężynę w lewej ręce, bo przecież był pan akademickim mistrzem kraju w boksie, że złamał jej nos. Gdy oszołomiona upadła na łóżko, pani przygniotła jej ramiona kolanami, a twarz przydusiła poduszką. W płucach denatki znaleziono drobiny pierza i płótna, z którego była uszyta poszewka.

– Bredzi pan, nadkomisarzu – rzekł cynicznie profesor.

– Niebawem po tym pani wróciła do swojej połówki domu, pan zaś, kiedy się ściemniło, w szarym worku na śmieci wywiózł zwłoki nad jezioro w pobliżu przystani jachtowej i przeniósł je do łódki swego kolegi profesora Kwaśnego. Mniej więcej w okolicy Wyspy Ptaków zepchnął pan martwe ciało do wody, nie zauważając, że od bluzki denatki odpięła się broszka. Oto ona – komisarz położył broszkę z zieloną kameą na stoliku – znaleziona wczoraj przez Kwaśnego na dnie łódki.

– Jak na zwyczajnego nadkomisarza stawia pan bardzo śmiałą hipotezę – roześmiał się Klinton, ale zaraz spochmurniał i uciekł wzrokiem do ogródka.

Dilajla ukryła twarz w dłoniach.

– Wiedział pan, że żona jest po mastekotomii, ale nie spodziewał się, że wypełnione kapokiem protezy jej piersi zachowają się jak kamizelka ratunkowa. Wysoka fala, jaka była tamtej nocy na jeziorze, wyniosła więc ciało na brzeg.

Złota grovana

Od kilku dni jeszcze późnym popołudniem termometry w zachodniej Polsce wskazywały trzydzieści dwa stopnie, w nocy słupek rtęci troszkę opadał, mimo to duchota była nie do zniesienia. Profesor Schwagierowa nie paląc lampki wstała z łóżka, wytarła ręcznikiem szyję, piersi i brzuch, otworzyła szeroko oba skrzydła okna i włączyła wentylator, ale w sypialni nadal było jak w luksusowej saunie, po chwili wyszła więc do kuchni, żeby się napić schłodzonej pepsi-coli. Kiedy zapaliła światło, w przedpokoju rozległ się miękki dźwięk dzwonka, który skonstruowała jeszcze jako studentka ostatniego roku politechniki i zawsze razem ze swoimi skarbami przenosiła do każdego nowego, coraz większego mieszkania, a dotąd miała ich sześć. Ten dom będzie ostatni, zapewniała swoje przyjaciółki, ponieważ dom stał jak pałacyk na wzgórzu w ogrodzie różanym; został nie tylko bogato i nowocześnie urządzony przez najlepszych architektów, lecz i był wyposażony w takie automaty zabezpieczające przed złodziejami, jakich jeszcze nie miały nawet renomowane banki. Schwagierowa podniosła oczy na zegar elektroniczny, którego prototyp zbudowała już jako stażystka, teraz zawieszony nad pochłaniaczem pyłu i kurzu – za kwadrans będzie północ.

– Nawet w nocy nie dadzą mu spokoju – powiedziała ze współczuciem bardziej do siebie niż do męża. – Czyż oni nie wiedzą, że o tej porze lekarz ma prawo do odpoczynku? A to zaboli kogo ząb, nie pójdzie do najbliższego dentysty, tylko prosto do niego. Człowiekowi ze sławą trudniej się żyje. Za dobre masz serce, Narcyz.

Schwagier nie odpowiedział, jakby nie słyszał, o czym mówi jego żona, zresztą zawsze ją traktował z pobłażaniem.

– A co takiego jest w telewizji, że się nawet nie rozebrałeś? Mecz pewnie? Boże, jaki on zawiązał krawat! Przecież w taki upał nikt nie nosi krawatu, w dodatku ze sztucznego włókna. Mężczyzna z twoją pozycją musi iść krok w krok z modą. Co pomyślą moi współpracownicy, gdy zobaczą, jaki jesteś nienowoczesny?

Dzwonek rozległ się ponownie. Schwagierowa jednocześnie piła pepsi-colę, zawiązywała pasek u jedwabnego szlafroka i spoglądała na ekran fotowizora: na ulicy przed domem stali dwaj policjanci i cywil w koszuli dżinsowej. Pewnie znowu zderzyły się czołami dwa auta i kierowcy mają połamane szczęki, pomyślała jakby czytała komunikat w gazecie, ale nie powiedziała o tym mężowi. Najpierw wystukała kod na klawiaturze zwalniający blokadę i wyłączyła fonokomórkę umieszczoną na wysokości kolan zaraz za furtką, później przekręciła klucz w zamku i zanim wyszła na werandę, nacisnęła migawkę fotowizora. Po chwili z kieszeni pod monitorem wysunęło się kolorowe zdjęcie..

– Dobry wieczór pani profesor. Jestem nadkomisarz Syski – przedstawił się cywil i spytał, czy zastał doktora Schwagiera.

– Stało się coś przykrego, że panowie o tak późnej porze fatygowali się do mojego męża? Jakiś bardzo ciężki wypadek? – Nie patrząc na policjantów sama sobie odpowiedziała: – Taki upał sprzyja dekoncentracji.

– Na szczęście nic podobnego nie miało miejsca.

– W takim razie...?

– Musimy porozmawiać z pani mężem – rzucił Syski.

– Masz gości, Narcyz! – zawołała i powiedziała po chwili, jakby go usprawiedliwiała: – Jest taki wymęczony pracą, że czasem nie słyszy, co się do niego mówi, a teraz jeszcze ten upał... Proszę, panowie wejdą i sami wyjaśnią mężowi, o co chodzi.

Dopiero gdy zamknęła drzwi, zdała sobie sprawę z tego, że mężczyźni nie pokazali jej legitymacji i zachowywali się zbyt uprzejmie. A jeśli to nie są policjanci? – pomyślała, czując drżenie nóg w kolanach. Napady na ludzi zamożnych zdarzają się nawet w biały dzień. Do sąsiedniej wilii niedawno dostali się dwaj młodzieńcy w sutannach kleryków i nie

tylko najpierw zgwałcili żonę sławnego jubilera, a później ją udusili, lecz i wynieśli wszystko, co było w sejfie, wprawdzie otwieranym przy pomocy tradycyjnego szyfru cyfrowego, ale to też wymagało odwagi z ich strony i umiejętności posługiwania się kodami. Dziś wieczorem słyszała w „Panoramie Lubuskiej", że została uduszona doktor Stolarska, zastępczyni Narcyza. Miała go spytać, co już coś wie o tym morderstwie, ale wieczorem długo nie wracał do domu, a ona była zmęczona egzaminowaniem studentów w taki upał i wcześniej położyła się do łóżka, bo o szóstej rano wyjeżdża do Krakowa na europejski kongres elektrofonografików.

– Doktor Schwagier? – upewnił się nadkomisarz. Nie czekając na odpowiedź, poprosił o dowód osobisty i dokumenty samochodu.

Schwagier powoli się wyprostował, ale nie oderwał wzroku od ekranu telewizora, jakby obecność policjantów o północy w jego domu była czymś zwyczajnym, lewą ręką wyjął dokumenty z kieszeni marynarki i podał je Syskiemu, a później usiadł na kanapie z nogą założoną na nogę i dalej oglądał mecz. Schwagierowej wydawało się, że mężowi drżą obie ręce.

– Co pan robił dziś po południu i wieczorem? – spytał nadkomisarz.

– Jestem wolnym człowiekiem w wolnym kraju, zatem mogę robić, co mi się podoba, a panu nic do tego. Swoje prawa i obowiązki znam lepiej niż policja, wszak jako senator Rzeczypospolitej byłem ich współtwórcą.

– Mimo to bardzo proszę o odpowiedź, w przeciwnym razie...

– W szpitalu byłem, oczywiście.

– Od której godziny do której?

– Jak każdego dnia: od ósmej do szesnastej. Czy jeszcze coś panu nie pasuje?

– A gdzie pan doktor był później?

– Przepraszam, że się wtrącam, ale jako żona chyba powinnam wiedzieć, dlaczego pan przesłuchuje mojego męża.

– To jeszcze nie jest przesłuchanie, pani profesor. Na razie usiłuję ustalić pewne fakty, wykluczające udział pani męża w tragicznym wydarzeniu, które miało miejsce dziś – powie-

dział policjant głosem surowym, ale nie lekceważącym jej i zwrócił się do Schwagiera: – Więc, doktorze, co pan robił po szesnastej?

– Mówiłem już, że jak zawsze byłem w szpitalu.

– W szpitalu był pan do szesnastej – przypomniał mu Syski.

– Rzeczywiście, tak powiedziałem.

– A ja pytam...

– Nie mam zwyczaju zapamiętywania drugorzędnych szczegółów – odparł Schwagier.

– Gdyby to były drugorzędne szczegóły, nie zawracałbym panu głowy.

Lekarz odchrząknął i po namyśle rzekł z lekceważeniem:

– Pewnie na chwilę wpadłem do Teatralnej.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

Schwagierowa splotła ręce na piersiach, głowę przechyliła w bok i głosem podniesionym rzuciła:

– Oburzające! Pan traktuje mojego męża gorzej niż zwyczajnego kryminalistę! Jakby był mordercą!

Nadkomisarz nie zareagował na jej komentarz.

– Po południu widziano pana w Radzyniu koło Sławy – powiedział.

– Absurd! – wykrzyknęła Schwagierowa tym samym co przed chwilą głosem. – Co mój mąż miałby robić po południu w Radzyniu?

– To właśnie staram się wyjaśnić, proszę pani – odparł Syski. – Pan ordynator twierdzi, że był w Teatralnej, ktoś inny podaje, że widział pana doktora w Radzyniu, gdzie między szesnastą a szesnastą trzydzieści w swoim domu została uduszona stomatolog Elżbieta Stolarska.

– Mój Boże, Elżbieta?! – spytała Schwagierowa, ale zaraz przypomniała sobie informację podaną przez „Panoramę Lubuską". – I pan uważa, że mój mąż ma z tym coś wspólnego? Oburzające. Jak pan śmie oskarżać o morderstwo człowieka, który ratuje życie ludziom? I to kogo? Narcyz miałby zamordować swoją asystentkę!

– Jeszcze nikogo nie oskarżam, na razie usiłuję jak najwięcej się dowiedzieć, proszę pani. – Syski rozchylił dowód rejestracyjny samochodu i zwrócił się do Schwagiera: – Jeź-

dzi pan żółtą toyotą FCI 7177?

Doktor przytaknął natychmiast, lecz nie oderwał wzroku od ekranu telewizora.

– W takim razie będzie pan musiał złożyć wyjaśnienia. Proszę się ubrać cieplej, bo tę noc spędzi pan w naszym areszcie. Mimo lata w nocy za grubymi murami jest chłodniej niż na dworze.

Schwagierowa przelękła się na moment, ale zaraz zacisnęła usta i pomyślała, że to zwyczajna formalność, bo przecież Narcyz nie udusił swojej koleżanki z pracy. Do rana wszystko się wyjaśni. Ileż żółtych toyot jeździ po ulicach, a przecież nie każdy kto siedzi za kierownicą bywa traktowany jak morderca.

– Myślami jestem z tobą – zapewniła męża, podając mu marynarkę.

Dopiero po zatrzaśnięciu się drzwi izby przyjęć aresztu Schwagier zdał sobie sprawę z tego, że zamknęła się za nim wąska i długa droga odwrotu. Teraz policjant musi przedstawić niezbite dowody jego winy albo on swoje mocne alibi. Tylko jeden okaże się zwycięzcą. Był przekonany, że nikt go nie pokona.

– Niech zatrzymany opróżni kieszenie, rozwiąże krawat, zdejmie sygent i odepnie zegarek – bezbarwnym głosem rzucił strażnik.

Schwagier podciągnął mankiet koszuli i podniósł prawą rękę, ale nie było na niej zegarka. Sprawdził w kieszeniach spodni i marynarki. Musiałem go zgubić, pomyślał czując, że robi się blady.

Większość mężczyzn w kilkuosobowej celi, do której strażnik go wprowadził, nie zwróciła na niego uwagi, usiadł więc na pryczy i się zastanawiał, gdzie zostawił złotą grovanę. Był przekonany, że kiedy po południu jechał do Radzynia, zegarek miał na przegubie prawej ręki. Musiałem go mieć, bo przecież obliczałem, ile minut zajmie mi droga powrotna od Victorii do Nowej Soli. A może patrzyłem nie na grovanę, lecz na zegarek samochodowy? To czyżbym zostawił grovanę

w łazience przy sali operacyjnej, jak się myłem po zabiegu? Starzeję się.

W kinie pamięci doktor usiłował odtworzyć przebieg całego dnia, lecz poza tym że rano przeprowadził dwie rutynowe operacje, niczego sobie nie przypominał. Kiedy wychodziłem z oddziału, grovanę musiałem mieć na ręce, w przeciwnym razie czułbym się źle. Człowiek, który przyzwyczaił się do zegarka czy sygnetu brak tych przedmiotów szybko zauważa.

A jeśli zgubiłem grovanę w Radzyniu i policjanci ją znaleźli? Zdrętwiał na moment. Czy to możliwe, żeby taki duży zegarek sam odpiął się od ręki? Pewnie tak, bo co innego doprowadziło tego nadkomisarza do mnie, jeśli nie grovana? Może ktoś zauważył toyotę na parkingu albo widział, jak stoję przed furtką? A tak się starałem, żeby nie zostawić po sobie najmniejszego śladu.

– Czym się kolega martwi? – spytał go mężczyzna z sąsiedniej pryczy. – Co ma być na wierzchu, nie utonie. Gliniarze są po to, żeby nas łapać, a my po to, żeby oni mieli co robić. W przeciwnym razie będzie w kraju za duże bezrobocie.

Schwagier machnął ręką lekceważąco, sąsiad zaś odwrócił się do ściany i po chwili rozległo się chrapanie.

Elżbieta Stolarska była czwartą ofiarą doktora w ciągu ostatnich pięciu lat. Jak poprzednio, tak i tym razem wszystko drobiazgowo obmyślił, dokładnie wyliczył i przećwiczył dwukrotnie. To musiało się udać, bo działało jak supermechanizmy z pracowni elektrofonograficznej jego żony, a jednak gdzieś popełnił prosty błąd. Gdzie i kiedy? – zastanawiał się, analizując przebieg ostatnich dni.

W piątek rano dyrektor szpitala oznajmił mu na korytarzu przed swoim gabinetem, że będzie miał konkurentkę w konkursie na ordynatora oddziału. Najpierw wzruszył ramionami udając, że się tym nie interesuje, jakby chciał go przekonać, że przede wszystkim jest lekarzem, ale chwilę później ściągnął brwi i spytał, kto się odważył stanąć z nim do rywalizacji.

– Twoja asystentka do niedawna.

– Elka Stolarska? – roześmiał się zdziwiony, lecz po chwili rozważał całkiem poważnie: – Obroniła doktorat, ma odpo-

wiedni staż pracy i, w przeciwieństwie do mnie, poparcie Solidarności. Przecież gdybym jej nie pomagał, nie zrobiłaby doktoratu i nie byłaby moją zastępczynią. Jasna cholera, na własną zgubę wychowałem konkurentkę. A na kogo, jeśli można wiedzieć, dyrekcja stawia?

– Nie znam lepszego chirurga szczękowego w naszym regionie – odparł dyrektor. – Ponadto ona jest niekonfliktowa, młoda i, co tu dużo mówić, ma talent. Po prostu idealna pani ordynator. W dodatku, na co komisja powinna zwrócić uwagę, nie należy do żadnej partii.

– W zeszłym roku skończyłem się jako senator i mój głos przestał się liczyć w Izbie Lekarskiej, w tym roku stracę władzę na oddziale, a w przyszłym ona wyleje mnie ze szpitala.

– Może zechce, abyś został jej zastępcą?

Schwagier roześmiał się gorzko i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Po tylu latach kierowania oddziałem, który postawiłem na nogi, a właściwie stworzyłem z niczego, mam być zastępcą pindy? W dodatku Cyganki? – spytał wściekłym głosem. Po chwili rumieniec rozlał mu się na twarzy, obejmując nawet szyję i uszy. Nerwowo mrugał oczyma, podbródek mu się trząsł. Oddychał głęboko, nie mogąc wykrztusić słowa w swojej obronie.

Dwa dni Schwagier rozważał, jak pozbyć się konkurentki i postanowił, że nigdy więcej nie pomoże żadnej młodszej lekarce, choćby nią była najzgrabniejsza i najmilsza córka wojewody czy marszałka. Wiedzę absolutną trzeba zdobywać jak władzę: w pojedynkę i szybko.

W poniedziałek przed południem zadzwonił do Stolarskiej, spytał ją, jak się czuje na urlopie i czy w tym roku, skoro już jest po egzaminie doktorskim, urządzi przyjęcie imieninowe, bo chciałby sprawić jej unikatowy prezent. Niektórym swoim znajomym ku ich zaskoczeniu przynosił czasem upominki, jakich nigdy się nie spodziewali, potem oczekiwał od nich rewanżu, uległości, a i, co się zdarzało wobec kobiet z jego najbliższego otoczenia, posłuszeństwa wręcz niewolniczego.

– Po tylu latach znajomości powinieneś pamiętać, że jestem protestantką i obchodzę urodziny – wytknęła mu. – Jeśli jednak chcesz złożyć mi życzenia imieninowe, przyjedź do

Radzynia, a ja na ten moment zostanę katoliczką. Tylko nie oczekuj wystawnego przyjęcia. I niczego więcej, mimo że będę sama – dodała innym głosem. – W tym tygodniu Damian pracuje po południu.

– Nigdy nie zrobiłbym tego twojemu mężowi – usprawiedliwił się, choć ona dobrze wiedziała, że na oddziale chirurgii szczękowej nie było pielęgniarki, salowej i lekarki, której Schwagier nie wciągnąłby do łóżka. Protestujące natychmiast wyrzucał z pracy.

Zanim o godzinie 14.30 w środę wsiadł do swojej żółtej toyoty, sprawdził w szpitalu, czy Damian Stolarski na pewno ma popołudniowy dyżur na okulistyce. W Nowej Soli był po kwadransie, za mostem na Odrze zwolnił, ale od Przyborowa znowu pędził szeroką, śródleśną asfaltówką, wymijając fiaty z przyczepami kempingowymi, volkswageny, nawet mercedesy. Drogę od mostu do Victorii pokonał w niespełna dwadzieścia minut. Co najmniej tyle czasu będzie potrzebował na powrót do Zielonej Góry.

Toyotę zostawił na parkingu przed ośrodkiem rehabilitacyjnym, gdzie wśród samochodów popularnych marek stało kilka lepszych aut. Z tego miejsca do willi Stolarskich miał najwyżej kilometr. Zresztą nie powiedział Elżbiecie, o której godzinie ją odwiedzi.

Jak większość wczasowiczów mógł iść poboczem drogi przez wieś, wybrał jednak ścieżkę nad jeziorem, na której również omijał ogorzałych mężczyzn z ciemnymi okularami na nosach, młode mamy w wakacyjnych strojach i rozbrykane dzieci.

– Trzeba mieć niebywałe szczęście, żeby o tej porze i w tym miejscu spotkać faceta w ciemnym garniturze – usłyszał za sobą opinię kobiety w kapeluszu.

– Widziałaś, jaki miał krawat? – spytał mężczyzna i parsknął śmiechem.

– Cudak.

– Czy to nie jest ten sławny dentysta, do którego trudno się dostać? Przyjeżdżają do niego aktorki i śpiewaczki z zagranicy, a są nawet takie, które każą sobie wyrywać zdrowe zęby, bo on wstawia bielsze niż prawdziwe.

– Jeśli on taki dobry, to i pewnie bogaty. Co by taki robił

w Radzyniu? Bogaci wczasują nad Morzem Egejskim.

Za zakrętem Schwagier wyjął z kieszeni marynarki fiolkę z lateksem termoutwardzalnym, jakiego używają dentyści zamiast rękawiczek i jej zawartość wycisnął na lewą rękę. Pustą fiolkę wyrzucił w krzaki, a lateksem posmarował obie dłonie od wewnątrz i trzymał je tak długo na słońcu, aż poczuł, że utworzyła się cienka jak folia, elastyczna i gładka warstewka. Na pewno nie zostawię żadnego śladu, pomyślał zadowolony z pomysłu, który niczego nieświadoma pielęgniarka podsunęła mu, gdy zaprosił ją na noc do Bukowego Dworku.

Schwagier stanął w cieniu świerka syberyjskiego, spojrzał za siebie, lecz nie zauważył, żeby ktoś się nim interesował i odchrząknął jakby chciał dodać sobie odwagi. Dziesiątki razy był w domu Stolarskich, zawsze witany jak listonosz, który przynosi dobre wiadomości, a teraz czuł się jak ktoś, na czyj widok ludzie milkną. Już miał popchnąć furtkę, gdy przypomniał sobie, że wczoraj w firmie jego żony Stolarscy kupili fotowizor, uważany za urządzenie skutecznie zabezpieczające dom przed złodziejami. Czym fotowizor różni się od poprzedniego systemu na fotokomórkę, nie wiedział, zresztą identyczne urządzenie już jest czy niebawem zostanie zamontowane w jego willi. Musi to być coś bardzo nowoczesnego, bo z ostatnich targów w Poznaniu Schwagierowa przywiozła złoty medal i plik umów oraz, z czego się najbardziej cieszyła, zaproszenie na targi do Brukseli.

Doktor zerknął na zegarek: była 15.46. Uniósł oczy: miał przed sobą coś, co przypominało kamerę z obiektywem wycelowanym w twarz każdego, kto zatrzymuje się przy furtce. Aha, w domu musi być monitor, na którym Stolarska może obserwować intruza. Żeby to cudo zaczęło działać, gdzieś tu powinien być jakiś klawisz, pomyślał i po chwili zauważył na słupku ażurową płytkę z wklęsłym guziczkiem. Gdybym projektował takie urządzenia, to przede wszystkim zastosowałbym rozwiązania z systemu fonicznego lub osmologicznego, które zapamiętują zapach potu czy głos gościa, ocenił dzieło krytycznie.

– Babska robota – powiedział sam do siebie, po czym wy-

ciągnął prawą rękę i czubkiem paznokcia dotknął guziczka tak, żeby nie zostawić na nim śladu palca.

Najpierw usłyszał cichy zgrzyt, jakby ktoś nacisnął migawkę aparatu fotograficznego, obejrzał się nawet, lecz w pobliżu nikogo nie było, później odezwała się melodyjka, a po niej powitał go aksamitny głos Stolarskiej:

– Serdecznie zapraszam do środka.

Furtka, wierzeje na ganek i drzwi do przedpokoju odmykały się przed nim jakby był tureckim paszą w gościnie u osmańskiego monarchy. Dopiero gdy wszedł do klimatyzowanego salonu, zobaczył Stolarską w luźnej sukience z białego materiału, opartą o kominek.

– Śniłeś mi się poprzedniej nocy – powiedziała na powitanie. – Tańczyliśmy walca i tango na zmianę: ty w garniturze od Armaniego, ja w drewniakach i tej sukience.

– Urzekająco wyglądasz – zauważył, przez chwilę obejmując ją wzrokiem. Dostrzegł, że filiżanki jej piersi nie osłania staniczek, a biodra opasuje jedynie tasiemka z wąskim trójkącikiem. Lubił tak ubrane kobiety. – Z tobą, Elka, mógłbym tańczyć nie tylko w sali balowej. Masz to ciało, że aż krew się we mnie burzy.

Odpowiedziała mu aluzyjnym spojrzeniem i oboje równocześnie parsknęli śmiechem, jakby przypomnieli sobie coś, co jest ich słodką tajemnicą, ale on zaraz spoważniał.

Zadzwonił telefon, Stolarska podniosła słuchawkę i oparta łokciem o kominek tylko przytakiwała. Schwagier był przekonany, że po drugiej stronie jest ktoś, kogo Elżbieta bardzo dobrze zna, dlatego tak bezpośrednio z nim rozmawia.

– Z kim teraz jestem? – powtórzyła pytanie i zamiast na nie odpowiedzieć wprost albo skłamać, mrugnęła do swego gościa, a po chwili, jakby tamten był o nią zazdrosny, dodała: – Z mężczyzną, który od dłuższego czasu również daje mi do zrozumienia, że jestem nie tylko lekarką.

Gdy po czterech minutach rozmowy odłożyła słuchawkę, Schwagier musnął wzrokiem jej policzek jakby dziękował za to, że nie wymieniła jego nazwiska. Stolarska spuściła oczy na podłogę, zarumieniła się i obciągnęła sukienkę, aż sutki jej piersi przebiły materiał.

– Wypijesz whisky z lodem czy tonikiem? Niczego innego nie oczekuj, Narcyz. Wszak ci mówiłam, że nie obchodzę imienin, lecz urodziny, chociaż w kraju katolickim powinno być odwrotnie.

– Wolę tonik z lodem.

Przez chwilę karcił się w myślach, że nie przyniósł jej nawet różyczki, ale przecież tak to zaplanował. Po jego wyjściu nie może zostać w domu żaden ślad, nawet zapach, jakby go tu nigdy nie było.

– Chciałam ci zakomunikować, że stanęłam do konkursu na ordynatora naszego oddziału – powiedziała spod barku, odwrócona do niego plecami. – Dziś jest środa, pojutrze komisja rozstrzygnie, czy nadal ja będę pod tobą, czy może nareszcie ty będziesz pode mną.

– Nie miałbym nic przeciw drugiej sytuacji.

– Fama niesie, zresztą coś w tej sprawie też mogę powiedzieć, że jeśli idzie o kobiety i politykę, to zawsze chcesz być na górze.

– Z tobą, Elka, nieźle czułbym się na dole.

– Gdy zostanę ordynatorką, a nie wyobrażam sobie innego rozwiązania konkursu, dla ciebie zabraknie miejsca nawet na dole. Po prostu, Narcyz, będziesz musiał poszukać sobie innego miejsca pracy. Cóż to dla ciebie? Ty przecież wszędzie sobie poradzisz. Może jako wzięty lekarz, skrzywdzony przez przebojową kobietę z najbliższego otoczenia, znowu zostaniesz parlamentarzystą? Może awansujesz do ministerstwa? Masz tam przecież wielu znajomych. Może w ramach pokuty za wszystkie grzechy, a masz ich niemało, będziesz zwyczajnym dentystą kasy chorych? A może przeniesiesz się do Berlina lub Wiednia, gdzie nikt cię nie zna, a dokąd te wszystkie aktoreczki, które czekają w kolejce przed twoim gabinetem, będą miały bliżej? One by tego bardzo chciały, a ty?

Schwagier zacisnął zęby i zrobił dwa kroki w stronę barku, odwiązując krawat, ale wtedy Stolarska nagle się wyprostowała i wyciągnęła w jego kierunku szklaneczkę z tonikiem.

– Postaw na stoliku – poprosił zmieszany.

– Nie musiałeś się tak stroić – Elżbieta pokazała na kra-

wat, który Schwagier trzymał w obu rękach, jakby nie wiedział, co z nim zrobić. – Ubrałeś się tak wyłącznie dla mnie, prawda? Potwierdził ruchem głowy.

– Czasem potrafisz być miły.

– Dla ciebie, Elka, ukradłbym nawet gwiazdkę z nieba.

Nie lubiła przebywać w towarzystwie ordynatora, lecz teraz uśmiechnęła się nieznacznie, wdzięczna mu za to, że pamiętał o imieninach. Położyła na stoliku dwie serwetki, postawiła na nich szklaneczki z tonikiem i kiedy sięgała po zapałki, żeby zapalić świecę, jednym zdecydowanym ruchem lewej ręki Schwagier zarzucił krawat na jej szyję, zaciskał go co sił w dłoniach, o niczym nie myśląc. Stolarska wygięła się do tyłu i wydała charczący głos, lecz on na to nie zważał, popuszczał krawat i zaciskał go z jeszcze większą siłą, żeby wgnieść chrząstkę tarczową krtani. W jakimś zrywie Stolarska chwyciła go za lewą rękę, na której miał zegarek, ale zaraz zwolniła ucisk i bezwładna osunęła się na kolana.

Znowu rozległ się telefon. Schwagier na moment znieruchomiał, zaniepokojony to patrzył na swoje buty, przy których leżało ciało Stolarskiej, to przenosił spojrzenie na półkę przy kominku, skąd dochodził go dzwonek telefonu. Gdy włączyła się automatyczna sekretarka, usłyszał głos dyrektora szpitala:

– Jestem w Radzyniu na otwarciu komory kriogenicznej. Jak skończy się uroczystość, pozwoli pani, Elżbieto, że ją odwiedzę.

– Nadal pan zaprzecza, że w środę po południu przebywał w Radzyniu? – natarł Syski.

– Nie mam powodu czemukolwiek zaprzeczać czy cokolwiek potwierdzać. Powiedziałem już, że w środę po południu byłem w Teatralnej Jeśli policja uważa inaczej, to jej sprawa – odparł głosem lekceważącym Schwagier. – Myślę, że jednak policja nie ma żadnych dowodów mojej winy, w przeciwnym razie zachowywałby się pan niekonwencjonalnie. A, swoją drogą, czas najwyższy, żebyś pan pokazał mi nakaz zatrzymania i wyjaśnił, dlaczego zostałem pozbawiony wolności.

Zapadło dłuższe milczenie, po którym nadkomisarz podniósł badawczy wzrok na doktora i przez chwilę sztyletował go zimnym spojrzeniem, a później zamiast odpowiedzieć wprost na pytanie, głosem pewnym rzucił:

– W środę po południu udusił pan doktor Elżbietę Stolarską w jej mieszkaniu w Radzyniu.

Schwagier skrzywił usta, zmrużył oczy i powiedział z wyraźną ironią:

– Liczą się jedynie dowody, nadkomisarzu.

– Zrobił to pan przy pomocy czegoś, co zostawiło ślady na szyi, bowiem było wykonane z włókna syntetycznego. Może to był pasek od sukienki, może krawat, w żadnym razie nie pończocha z lycry czy jedwabna apaszka – mówiąc to notował w pamięci każde drgnięcie mięśni twarzy doktora. – I, myślę, że jest pan tym dusicielem, którego bezskutecznie tropimy od pięciu lat. Który w podobny sposób zamordował cztery Cyganki w rejonie dworca autobusowego i dwie bułgarskie prostytutki na strzelnicy za Ostoją. Będziemy mieli dużo czasu, więc, jestem o tym przekonany, sprawy wyjaśnimy gruntownie, chyba że pan zrobi to prędzej i bez naszego udziału. Wracając do ostatniej zbrodni, Stolarską udusił pan między szesnastą a szesnastą piętnaście. A wie pan, doktorze, na jakiej podstawie doszliśmy do takiego wniosku?

– Nie śmiem nadkomisarzowi przerywać – powiedział Schwagier tym samym głosem ironicznym, objąwszy palcami lewej dłoni przegub prawej ręki, gdzie tylko mańkuci noszą zegarki. Co z tą cholerną grovaną? – spytał sam siebie w myślach. Gdybym miał pewność, że nie zostawiłem jej w Radzyniu, teraz śmiałbym mu się prosto w te niebieskie oczy. Było to przecież morderstwo doskonałe. Przy poprzednich też nie zostawiłem żadnych śladów, ale wtedy zachowywałem się jak amator, którego postępowaniem kierował głos spoza tego świata. A jeśli teraz coś znaleźli w domu Stolarskiej, na przykład zegarek, i po dedykacji na kopercie „Dr. Schwagierowi od wdzięcznej pacjentki Edyty" doszli, że tam byłem?

– O szesnastej do willi zadzwonił dyrektor szpitala. Stolarska podniosła słuchawkę i, jak wynika z zapisów kom-

puterowych, rozmawiała z nim cztery minuty i osiem sekund. Piętnaście minut później dyrektor znowu zadzwonił, ale zamiast właścicielki domu rozmowę przyjęła automatyczna sekretarka. O szesnastej piętnaście Elżbieta Stolarska już nie żyła. Zresztą identyczny czas zgonu podał lekarz, który przekazał nam jeszcze kilka istotnych spostrzeżeń, między innymi i to, że Stolarska była w drugim miesiącu ciąży.

– Ciekawe. A na jakiej podstawie, jeśli można wiedzieć, doszedł szanowny nadkomisarz do wniosku, że to ja, a nie, powiedzmy, dyrektor szpitala udusił Elżbietę? Może dzwonił ze sklepu czy z budki po to, żeby mieć alibi. Policjant powinien wiedzieć, że Stolarska była kochanką dyrektora, dlatego on chciał ją awansować na ordynatorkę mojego oddziału.

– Dyrektor jako uczestnik uroczystości uruchomienia komory kriogenicznej w Victorii telefonował do Stolarskiej z pomieszczenia, w którym odbywał się bankiet. Widziało go, a zapewne i słyszało, co najmniej dwadzieścia osób, wśród nich marszałek. Ma więc stuprocentowe alibi.

– Ja też mam alibi.

– Pan, doktorze, nie ma żadnego alibi – powiedział Syski, wyraźnie akcentując każde słowo. Spostrzegł, że powieki Schwagiera lekko zadrżały, on zaś jakby się na moment zawahał. Trzeba kuć żelazo, póki gorące, zdecydował. – Mamy coś, co wskazuje pana jako dusiciela – skłamał. Robił to często na początku śledztwa, gdy brakowało mu punktu zaczepienia.

Jednak znaleźli zegarek, pomyślał Schwagier z rezygnacją i już chciał się poddać, gdy zdał sobie sprawę z tego, że przecież policjant nie przedstawił żadnych dowodów jego winy. Nie ułatwię ci roboty, zdecydował. Płacę podatki, to szukaj winnego, niebieski psie, aż znajdziesz. Wstał, pochylił się i uderzył nadkomisarza wzgardliwym spojrzeniem.

– Pokaże mi komisarz wreszcie ten nakaz zatrzymania czy mam wołać naczelnika aresztu?

– Proszę pamiętać, że są osoby, które widziały pańską toyotę na parkingu przed Victorią w Radzyniu.

– Wiele osób jeździ żółtymi toyotami.

– Ale tylko na jednej toyocie corolli 1,4 są tablice rejestra-

cyjne FCI 7177 z podkładką reklamową firmy Lizak. Właściciel firmy potwierdza, że pan kupił u niego toyotę, a on przykręcił te tablice.

Schwagier usiadł i bębniąc palcami po blacie stołu, patrzył na podwórze za okratowanym oknem, gdzie dwaj aresztanci zmiatali liście. Z powodu głupiego zegarka będę siedział w ciupie do emerytury, zamiast hasać po świecie, pomyślał z żalem. Toyota na parkingu w Radzyniu nie może być żadnym dowodem przeciw mnie, chyba że ktoś sfotografował samochód, ale zegarek, który pewnie zostawiłem w domu Stolarskiej, tak. A kiedy go odpiąłem?

Syski dał znak strażnikowi, żeby odprowadził doktora do celi.

– Po południu przyjdzie pańska żona – rzucił za nim i wyszedł na korytarz bocznymi drzwiami.

Parę minut przed trzecią Schwagierowa przyniosła paczuszkę do aresztu, strażnik ją obejrzał, a nie dostrzegłszy niczego, co jest w wykazie przedmiotów zabronionych, kiwnął głową. Po chwili drugi strażnik przyprowadził doktora do rozmówni cy.

– Nie zrobiłem tego – powiedział Sschwagier do żony. – Wierzysz mi?

– Tak, Narcyz – odparła i palcami lewej dłoni dotknęła jego prawej ręki. – Nie mógłbyś tego zrobić. Przez tyle lat poznałam wszystkie twoje słabości. Masz ich niemało.

– Jedyna przyjazna osoba.

– Kiedy cię wypuszczą, mam nadzieję, że stanie się to najpóźniej jutro, natychmiast wyjedziemy do Karpacza. Musisz jak najdalej uciec od tej makabry. To potworne, żeby sławnego lekarza traktowano jak największego przestępcę. Jesteś niewinny. Jutro im udowodnię, że w czwartek po południu nie byłeś w Radzyniu.

Nie był ciekawy, w jaki sposób żona to zrobi, powiedział tylko:

– Dziękuję, że chociaż ty mi wierzysz. – Rozpostarł palce i uważnie się przyglądał wypielęgnowanym paznokciom, jakby chciał powiedzieć żonie: Spójrz, to są czyste dłonie.

– A jak ty, biedaczku, radzisz sobie bez zegarka? – spytała

i wyjęła z torebki jego złotą grovanę. – Zostawiłeś go w pokoju na stoliku.

Schwagier na chwilę zamarł, później otworzył usta i przymknął oczy, jakby zakręciło mu się w głowie, ale zaraz się uśmiechnął do żony, bo już przypomniał sobie, że wieczorem po powrocie do domu włączył telewizor, odpiął zegarek z ręki i oglądając nudny mecz Chorwatów z Francuzami trzymał go w palcach.

– Nie mają żadnego dowodu mojej winy – powiedział i oddał grovanę strażnikowi do aresztowego depozytu.

Nadkomisarz nadal był przekonany, że Schwagier udusił Stolarską, ale ciągle nie wiedział, dlaczego zamożny lekarz z taką sławą, uczestnik światowych kongresów chirurgów szczękowych, który jeszcze rok temu zasiadał w parlamencie, popełnił zbrodnię z premedytacją. Przecież ta ładna i inteligentna kobieta w niczym mu nie zagrażała i nie była jego rywalką.

– Kandydowała na ordynatorkę – powiedział dyrektor szpitala, który również zachodził w głowę, co skłoniło Schwagiera do uduszenia Stolarskiej, chociaż nie miał pewności, że to na pewno on zrobił.

Młodsze pielęgniarki i lekarki z oddziału chirurgii szczękowej ze wstydem przyznawały się policjantowi do tego, że ordynator wywoził je toyotą do podmiejskiego gościńca Creator albo aż do Bukowego Dworku i tam spędzał z nimi późne wieczory, czasem nawet i noce. Salowe również to poświadczyły, chociaż były i dwie takie, które stanęły w obronie lekarza.

– Gadają, co doktor to babiarz. Niech pan nie wierzy tym młodym siksom. Wstydu za grosz nie mają, żeby takiego człowieka obsmarować – potępiła je pierwsza.

– Tylem lat na oddziale, to co, nie wiedziałabym, jaka jest prawda? – powiedziała druga.

Podczas obdukcji naprędce przeprowadzonej w Radzyniu technik policyjny znalazł włos z brwi na białej sukience denatki i za pomocą autoradiografu potwierdził w laborato-

rium, że należy on do mężczyzny pięćdziesięcioletniego, o jasnej karnacji twarzy, po przebytej chorobie płuc.

– Czy jest to brew Schwagiera? – zaciekawił się nadkomisarz.

– Na razie wykluczyłem Damiana Stolarskiego i dyrektora szpitala. Ponadto, na co zwracam uwagę, próbka jest mała, trudno więc będzie panu przekonać sąd o winie Schwagiera.

– A czy DNA się zgadza...?

– Jest to ten sam genotyp. Sąd zazwyczaj domaga się potwierdzenia analiz na podstawie kilku znaków, a tu nie było co analizować, bo poza włosem sprawca nie zostawił żadnego śladu. Na jeszcze jedno chciałbym zwrócić pana uwagę.

– Wyklucza pan Schwagiera z grona podejrzanych?

– Nasze przyjmowanie prawa Unii Europejskiej powoduje, że wzorem zachodnich sądów polska Temida coraz częściej odrzuca wyniki testów genotypowych, uznając je za rasistowskie.

– Na razie obowiązuje polskie prawo. A to że Stolarska była narodowości cygańskiej nie powinno mieć żadnego znaczenia. Przecież w jej żyłach płynęła taka sama krew jak w żyłach pana czy moich.

Technik wzruszył ramionami; nie on będzie przedstawiał sądowi dowody winy Schwagiera.

– Jeśli próby zapachowe też niczego nie potwierdzą, a jestem o tym przekonany, to ma pan jedno wyjście: zmusić doktora do przyznania się dobrowolnie, czego on na pewno nie zrobi. Chirurdzy, jak obaj dobrze wiemy, mają to do siebie, że są zimni niby...

– Gdzie jest jego krawat? – przerwał technikowi Syski. – Schwagier udusił Stolarską przy pomocy krawatu.

– Na pewno znajdą się na nim nie tylko włoski z szyi denatki, ale i okruchy naskórka. A takiego dowodu winy żaden sąd nie podważy – pocieszył go technik. – To i ma pan sprawcę.

– Ale nie mam krawatu.

– Ja też nie mam.

– A kto...?

W chwilę później zadzwoniła Schwagierowa. Zaskoczony

i zdziwiony tym nadkomisarz dał znak technikowi, żeby włączył magnetofon.

– Myślę, że jeśli pan zechce to będę mogła pomóc w rozwiązaniu tej zagadki – zaoferowała swoją usługę.

– W jaki sposób? – spytał z wyższością w głosie i zaraz tego pożałował

– Jak pan wie, mimo że jestem profesorem politechniki, gdzie zajmuję się elektrofonografią, co zamiast pieniędzy daje jedynie prestiż, na nazwisko mojej przyjaciółki prowadzę firmę produkującą urządzenia do zabiezpieczania mieszkań przed złodziejami. Zamówień nie brakuje, a, jestem przekonana, po targach w Brukseli, na które zostałam zaproszona z urządzeniem zwanym fotowizorem, ciekawych ofert przybędzie. Ale do rzeczy, bo pan pewnie już chciałby znać szczegóły?

Syski nie zaprzeczył.

– Otóż Stolarscy poprosili mnie, abym w ich willi zainstalowała coś, co da im pewność, że żaden złodziej nie włamie się i niczego nie wyniesie z domu. Pan wie, że mają trochę cennych obrazów starych mistrzów.

Syski przytaknął. Przymknął oczy i starał się przypomnieć sobie obrazy olejne wiszące na ścianach w salonie z kominkiem; czy były to dzieła cenne, tego nie wiedział, chociaż umiał odróżnić tandetę od sztuki, wszak i po to często zaglądał do galerii, czasem nawet chodził na wernisaże. Damian Stolarski zapewnił go, że z willi nie zginął żaden obraz ani nic, co powszechnie uważa się za rzeczy wartościowe.

– Na dwa dni przed tym tragicznym wydarzeniem zainstalowałam fotowizor u Stolarskich. Pani Elżbiecie wytłumaczyłam, jak urządzenie działa. Czy pan Damian był zorientowany, jak się nim posługiwać, tego nie jestem pewna, bo kiedy je zakładałam, miał popołudniowy dyżur w szpitalu – ciągnęła spokojnym głosem Schwagierowa. – A jest to, panie nadkomisarzu, coś w rodzaju tak zwanej kukawki, jaką spotka pan na przykład przy wjeździe do Wilkanowa. Tyle że tamta włącza się automatycznie, gdy kierowca przekracza dozwoloną prędkość, moja zaś dopiero po naciśnięciu guziczka dzwonka przy furtce.

– Chce pani powiedzieć, że jeśli sprawca dostał się do willi

przez furtkę, to musiał nacisnąć ów przycisk na ażurowej płytce...

– ... i zanim pani Elżbieta zobaczyła na ekranie fotowizora twarz swego gościa, aparat zrobił zdjęcie.

– Chytre – pochwalił ją szeptem technik.

– Wykonał najzwyklejszą fotografię, jaką robią popularne polaroidy. I powinien to zdjęcie wyrzucić z siebie w ciągu trzech minut, lecz pewnie coś się zacięło. O ile wiem, panowie nie znaleźli zdjęcia sprawcy. Fotowizor stoi w przedpokoju obok wieszaka i na pierwszy rzut oka przypomina zbędny w domu monitor.

Gdy skończyła, nadkomisarz poprosił, żeby natychmiast pojechała z nim do Radzynia, a dwie godziny później położył kolorowe zdjęcie na stoliku przed Schwagierem.

– Ósmego lipca 2001 roku o godzinie 15.46 – pokazał palcem na napis w lewym dolnym rogu – dostał się pan przez furtkę do willi przy ulicy Sportowej w Radzyniu. Nie spodziewał się pan, że fotowizor to zarejestruje.

– Jaki fotowizor?

– Przyrząd zabezpieczający domy bogatych ludzi przed niepożądanymi gośćmi, który skonstruowała pańska żona – wyjaśnił policjant.

Świadek koronny

– Za dwie godziny ściągam ten cholerny łach – cieszył się sierżant Legień, zapiąwszy rozporek – Jeszcze tylko dwie godziny zachrzanu i ariwerderciroma na miesiąc.

– Te, gdzie pompuje taka kioskarka, jak ją przyprze, a przed kioskiem kolejka, że ani odejść od lady? – spytał starszy posterunkowy Gałka. – My, jak się nam zachce lać, to idziemy za kiosk, a ona?

– Do beczki z kapustą kiszoną.

– I potem to sprzedaje ludziom?

– Przecież nie wyrzuci, bo kapusty szkoda.

– Taką to ja bym... – Gałka zacisnął dłoń w kułak.

Legień położył białą czapkę sierżanta drogówki na dachu okurzonego volkswagena, rozluźnił pas, oparł się plecami o drzwi samochodu i zapalił papierosa.

– Za dwie godziny już mnie tu nie będzie – powtórzył zadowolony, jakby sobie nie dowierzał, że jeszcze tylko dwie godziny będzie stał przy drodze.

– Ja też wskoczę w cywilne ciuszki i gnam do Kormorana – powiedział Gałka i dodał trochę ironicznie: – Na przegląd świeżych dziewuch.

– To spotkamy się najwcześniej za miesiąc – obliczył sierżant rozradowany, uśmiechając się sam do siebie.

– Mylisz się – rzucił pewny siebie Gałka. Legień był w jego mniemaniu głupszy, a to mniemanie podzielali inni starsi posterunkowi z drogówki. – Ty masz urlop w lipcu, na żniwa, a ja w sierpniu, na pobimbanie.

– Jestem ciekawy, kogo ci teraz przydzielą?

– Spokojna twoja głowa, szefie. Znajdą jakiegoś służbistę – powiedział starszy posterunkowy. – Po szkółce. Na praktykę. Że nic z takim nie zakombinujesz. – Gałka najpierw

splunął przez zaciśnięte zęby, a potem roześmiał się zawadiacko jakby na każde pytanie znał odpowiedź: – Dam mu takie wciry, że odechce mu się policji.

Radar odezwał się krótkim, piskliwym głosem, strzałka błyskawicznie skoczyła w prawo. Legień nawet nie zerknął na tarczę, myślami był w swoim ogrodzie, pełnym dojrzewających pomidorów i ogórków, a Gałka obciągnął bluzę zadowolony. Gdy zza zakrętu wyprysnął srebrzysty opel, starszy posterunkowy mocniej nacisnął czapkę, jakby się obawiał, że podmuch wiatru zerwie mu ją z głowy, niedbale wyciągnął lizak i czekał, aż samochód zatrzyma się po drugiej stronie drogi.

– Dużo mu wlepić? – spytał Legienia.

– Daj spokój – powiedział sierżant. Lecz kiedy opel przemknął obok policyjnego volkswagena, nagle Legień zdeptał papierosa, chwycił czapkę i podniósł mikrofon radiotelefonu. – Ile miał na liczniku?

– Sto dwadzieścia pięć – odpowiedział starszy posterunkowy, chwilę przypatrując się radarowi, jakby nie dowierzał wskazówce, która w mgnieniu oka skoczyła ku krawędzi tarczy.

Legień skrzywił usta i zaraz odłożył mikrofon.

– Daj sygnał do centrali: srebrzysty opel, chyba vectra, za kierownicą siedzi baba.

– Po co? Zanim centrala się zbierze i kogoś pośle, baba zginie w tłumie.

– Żeby nas tak...? – Gałka zazgrzytał zębami.

– Bo to pierwszy raz? Co z tego, że wlepisz jej mandat? Weźmie kwitek albo cię obsztorcuje. Albo się rozbeczy. A może to żona naszego szefa?

– Baba. I naruszyła kodeks. Chłopu bym podarował, ale babie nigdy.

Sierżant zbył go milczeniem. Za niecałe dwie godziny zapomni o służbie, a będzie myślał jedynie o tym, jak szybko zebrać pomidory w ogrodzie teścia, żeby zdążyć przed tymi, którzy szprycują warzywa chemikaliami przyśpieszającymi dojrzewanie. Są tacy, którzy amoniak rozcieńczony w wodzie wstrzykują pod skórkę pomidorów, Legień natomiast wtryskuje igłą lekarską mocz, najpierw jednak wystawia go na

słońce w wiadrze, żeby skwaśniał. W tym roku susza zaczęła się w połowie czerwca, więc ceny warzyw powinny być wysokie, tym bardziej że Legień wie, jak przekonywać właścicieli letnich restauracji i barów do swego towaru. Jeśli do końca lipca sprzeda pomidory, może jeszcze latem rozpocznie remont domku. A Gałka niech stoi w skwarze z lizakiem w dłoni i zatrzymuje auta, i wlepia mandaty. Jeśli karać każdego, kto ma charakter parszywy i przewrotny, to kara nikogo nie ominie, pomyślał nie bez racji.

– Od tej pory żadnemu nie podaruję – zapewnił go starszy posterunkowy. – Baba, ksiądz, audi, fiat. Będę służbistą jak prokurator. Przepisy są po to, żeby ich przestrzegać.

Kiedy jedenaście lat temu Legień odsłużył wojsko i zgłosił się do policji, był jeszcze bardziej skrupulatny niż Gałka, zatrzymywał wszystkich, którzy jechali za szybko, pouczał, wlepiał mandaty, ale teraz najzwyczajniej mu się nie chce użerać z kierowcami. Każdy najpierw dowodzi swoich racji, potem przeprasza, błaga, często straszy komendantem, więc Legień zatrzymuje niektóre samochody, ogląda je, tłumaczy kierowcom, żeby uważali, bo na drodze nie są sami, najwyżej pod koniec miesiąca, gdy jego szef przygotowuje sprawozdanie z kontroli, wypisuje kilka mandatów. Sam doszedł do wniosku, że im mężczyzna ma mniej włosów i więcej umie, tym jest bardziej wyrozumiały dla ludzkich słabostek.

– Jeśli tylko zechcesz, każdemu możesz łupnąć mandat. Na drodze ty jesteś prokuratorem, adwokatem i sędzią – z kąśliwym uśmieszkiem na ustach powiedział do starszego posterunkowego.

– Pierwszemu, który nadjedzie, wpieprzę mandat za bańkę. I jeszcze mu wmówię, przekonasz się, że...

– ... wychlał flachę wódy – dokończył Legień.

– A tak! Bo żeby mnie baba...? Chłop, rozumiem, ale baba?!

– Jesteś zbyt pewny siebie – ostrzegł Gałkę sierżant, odpalając papierosa od papierosa. – Chociaż potrafisz posługiwać się alkomatem? Nauczyli cię tego na kursie?

Gałka najpierw wzruszył ramionami nieco obrażony, bo przecież nie takie rzeczy oglądał przez pół roku w szkole po-

licyjnej, a potem parsknął takim śmiechem, że i Legień zaświecił zębami.

– Kiedyś powinie ci się nóżka – przestrzegł starszego posterunkowego sierżant. – Trafi kosa na kamień. Wylecisz z policji z taką opinią, że nawet nie przyjmą cię do zakładu pogrzebowego na pomocnika grabarza.

Całe popołudnie prokurator Joniec spędził w ogrodzie przyjaciela z lat akademickich, który sześć lat temu kupił nieco zaniedbany domek w Radzyniu przy drodze do Sławy. Pośpiesznie wymienił okna drewniane na plastikowe, wstawił nowe drzwi obite blachą, otynkował od strony ulicy, wymurował garaż i oranżerię, wzdłuż płotu posadził czarne porzeczki i agrest, nawet maliny i jeżyny. Ile razy Joniec przyjeżdżał do Radzynia, zawsze kupował w kiosku za zakrętem świeże jajka i pomidory, a żona przyjaciela obdarowywała go owocami prosto z sadu.

– Na wzmocnienie umysłu – śmiała się i zapewniała, że tak smacznych jabłek czy gruszek nie ma nigdzie na świecie. – Nie były nigdy pryskane żadną miksturą, za to karmione naturalnym nawozem.

Inżynier Nowacki poczęstował Jońca piwem prosto z beczki, pokazał kolekcję grafik wstępującego artysty, który mimo młodego wieku zyskał uznanie przede wszystkim krytyków sztuki za granicą. Kilka jego prac trafiło na doroczną wystawę *Junge Kunst* we Frankfurcie, co, jak twierdził inżynier, dobrze wróży grafikowi, ale jeszcze lepiej kolekcjonerowi.

– Ja mam nosa do artystów – przypomniał mu Nowacki. – Czy nie radziłem ci, jak bywaliśmy w Krynicy, żebyś kupował akwarelki Nikofora i tych wszystkich prymitywistów, za którymi dziś uganiają się muzea? A nie mówiłem również, żebyś zamienił mieszkanie miejskie na wiejski domek z widokiem na drogę?

Joniec milcząco przyznał mu rację.

– W dzisiejszych czasach, gdy prawie każdy ma samochód, im dalej mieszkasz od miasta, tym bardziej jesteś ceniony. Rozejrzyj się, jak tu miło, jak cicho... A jakie powietrze! – Nowacki pokazał na jabłonie gałęziami oblizujące

źdźbła soczystej trawy. – Siedzisz sobie w cieniu bzu i beztrosko pijesz piwo. Nawet upał ci nie dokucza.

Prokurator westchnął przeciągle, po chwili milczenia powiedział z żalem w głosie:

– Cóż, gdybym wtedy posłuchał ciebie, a nie żony...

– Za mostkiem, jak się jedzie do Victorii, prawie na wprost stacji meteorologicznej, stoi bliźniak – szybko powiedziała Nowacka. – Z jednej strony mieszka samotny jubiler z Zielonej Góry, druga część jest pusta. Kiedyś ta pusta połówka należała do pewnego profesora historii, który wspólnie z kochanką zamordował swoją żonę. Pewnie słyszałeś o tym wypadku?

Joniec przytaknął, chociaż nie pamiętał, który profesor zamordował żonę i dlaczego to zrobił. Gdyby w Zielonej Górze mieszkało tylko tylu profesorów historii, ilu jest prokuratorów, zapewne wiedziałby o nich prawie wszystko, ale od kiedy oprócz uniwersytetu istnieje Europejski Ośrodek Badań Humanistycznych, przestał się interesować tym, co robią uczeni.

– Profesor i żona tego jubilera byli w zmowie. Zostali. skazani na dożywocie. Jeśli nawet obejmie ich amnestia i wyjdą z więzienia, to jeszcze minie dużo czasu – stwierdziła Nowacka, a Joniec nie protestował, że amnestia nie dotyczy zabójców. – Podobno ta połówka po profesorze jest do sprzedania.

– To tam, gdzie mieszkał Klinton? – zaciekawił się jej mąż. Potwierdziła. – Domek, jak domek, ale ogród i sadek...!

W drodze powrotnej do Zielonej Góry Joniec zatrzymał fiata pod lasem, nie wysiadając z samochodu długo przypatrywał się połówce bliźniaka ukrytej za jabłoniami i płotem z gęstego bluszczu. Domek mu się spodobał. Gdybym tu zamieszkał, musiałbym trochę zmienić w ogrodzie, przede wszystkim usunąć gałęzie zaglądające do okien. Jeśli odważę się porzucić miasto, w którym przecież znam każdy zakamarek, wszystkie niewygody, wschody i zachody przemykającego wąskimi ulicami słońca, czy potrafię przyzwyczaić się do szeptu lasu? Co powie żona, gdy się dowie, że mam zamiar uciec na wieś? Będzie mi odradzała? Pewnie tak.

A może pochwali mój wybór? Często dar jest niewielki, a skutek z niego ogromny.

O niczym innym nie potrafił myśleć, tylko o tym domku wciśniętym pod ścianę lasu, o który dbałby jak o coś, co jest mu bardzo bliskie i niezbędne do szczęścia. Ma syna, a gdyby miał jeszcze ten dom, posadziłby drzewo. Czubkiem buta naciskał pedał gazu i pędził prawą stroną drogi. Nawet nie dostrzegł tablicy z napisem Zielona Góra. Chciał jak najprędzej być w swoim mieszkaniu na dziewiątym piętrze, usiąść w fotelu i wtajemniczyć żonę w pośpiesznie ułożony plan urządzenia tego domu. A jak powiem, że kupię drugie auto, na przykład małego opla corsę, dla niej, zgodzi się na pewno, był przekonany. Najlepsza jest taka miara majątku, żeby ani nie popaść w ubóstwo, ani od ubóstwa nie być za daleko.

W ostatniej chwili zauważył lizak, a potem policjanta w białej czapce. Mocno nacisnął na hamulec, fiat jak znarowiony koń zaczął się kołysać. Zimny pot oblał prokuratora.

– Dokąd to pan kierowca tak pędzi? – spytał go starszy posterunkowy, uderzając lizakiem w otwartą dłoń.

– Wracam... Czyżbym...? – Joniec próbował opanować drżenie głosu. Jeszcze nigdy nie zatrzymał go żaden policjant. – Czyżbym nieświadomie naruszył prawo o ruchu drogowym?

– Pan kierowca mnie o to pyta? – Z wyraźną wyższością roześmiał się policjant. Nie lubił takich, którzy udają niewinnych. – A z jaką prędkością wolno jechać w terenie zabudowanym?

– Pewnie nie zauważyłem znaku – rzekł prokurator. – Skoro zawiniłem, jestem gotów ponieść karę.

Gałka nachylił się i pociągnął nosem.

– Wyglądasz pan na człowieka po szkołach. Inżynierek magister albo jakiś uczony profesorek. Mam rację? Tacy najczęściej myślą, że cały świat do nich należy. Co tam przepisy!

Pokazać mu legitymację służbową? Przecież jestem przedstawicielem organów ścigania, w pewnym sensie jego kolegą, rozważał prokurator, ale nie sięgnął do portfela.

– Jazda w stanie po spożyciu alkoholu – stwierdził starszy posterunkowy, jeszcze raz pociągając nosem.

– O co pan mnie posądza? – oburzył się Joniec, lecz zaraz spiekł raka. Przypomniał sobie, że Nowacki poczęstował go dobrym, wychłodzonym piwem. Spuścił głowę na piersi jak dziecko skarcone przez ojca i zacisnąwszy usta aż do białości, milcząc, czekał. Na co? Tego nie wiedział.

A Gałka to wpatrywał się w prawo jazdy, to sprawdzał numery rejestracyjne samochodu, to oglądał opony i klosze świateł.

Boże, żeby tylko nie zajrzał do dowodu osobistego, błagał w myślach prokurator.

– Za jazdę po pijanemu komunistyczny prokurator wsadziłby pana kierowcę na rok do ciupy. Oni nie znali litości. My postępujemy po ludzku. Ale pijak zawsze będzie pijakiem, panie starszy. Pijak za kierownicą to coś gorszego niż złodziej. Pijak za kierownicą zagraża życiu uczciwych kierowców. Za kierownicą pijak jest mordercą.

– Zawsze są jakieś okoliczności łagodzące. Sąd bierze je pod uwagę, mimo że prokurator domaga się najwyższego wymiaru kary.

– Doradca się znalazł – skarcił go policjant.

– Przyznaję się do winy. Popełniłem wykroczenie.

– To już lepiej – ocenił zachowanie prokuratora Gałka i spojrzał na niego z wyższością. – Masz pan prawo wyboru: utrata prawa jazdy na trzy lata, rozprawa przed kolegium albo mandat.

Joniec zacisnął powieki. Jaki wstyd! Jeśli koledzy w prokuraturze dowiedzą się, że straciłem prawo jazdy, nie dadzą mi spokoju. I koniec z marzeniami o domku pod lasem w Radzyniu. Bo jak będę dojeżdżał do pracy?

– Mandat – powiedział niemal szeptem.

– Trochę za mało jak na takie wykroczenie – rzekł tonem nauczyciela Gałka. A stojącego przy zakurzonym volkswagenie sierżanta spytał: – Jaką karę wymierzyłbyś za jazdę po spożyciu alkoholu i za przekroczenie dopuszczalnej szybkości?

Legień zbył go machnięciem ręki. Joniec się ucieszył, otworzył usta, żeby zapewnić starszego posterunkowego, że odtąd zawsze będzie zważał na wszelkie znaki drogowe, kie-

dy Gałka stanął w szerokim rozkroku, ręce założył do tyłu i podniósłszy głowę, powiedział:

– To będzie kosztowało dziesięć baniek.

– Tysiąc złotych? – Prokurator aż wybałuszył oczy.

– Za dziesięć baniek jestem gotów uznać, że nie popełniłeś pan wykroczenia.

– Mandat za tysiąc złotych? To znaczy... że ja...? – zaczął Joniec i nagle urwał. Wydawało mu się to za dużą karą. Dopiero po namyśle rzekł, ciesząc się: – A... dziękuję. Bardzo dziękuję. Zapewniam pana, że już nigdy więcej nie złamię żadnego przepisu. – Wyjął z kieszeni kilka banknotów. – Nie mam przy sobie tyle pieniędzy.

– To się poczeka. Do dziewiątej jest jeszcze dużo czasu. Jedź, staruszku, do domciu, odpocznij... Dopiero dochodzi ósma.

Prokurator wyciągnął rękę po dokumenty.

– Prawo jazdy i te drugie papierki u mnie zostaną. Nic nie zginie. No, szerokiej drogi! Byleś pan zdążył do dziewiątej, bo jak nie... Rozumiemy się?

– Ale, jak ja...?

– Będzie forsa, oddam papierki.

Niesprawiedliwe jest unosić się gniewem przeciwko powszechnym występkom, a nierozsądne – przeciwko swoim własnym, stwierdził w myślach jednak zadowolony Joniec. Mogło być gorzej. Usiadł za kierownicą fiata, przekręcił kluczyk w stacyjce i natychmiast ruszył w stronę osiedla Słonecznego. Gdy zatrzymał samochód przed światłami obok nowego kościoła, zaczęły go nękać wątpliwości. Prawie trzydzieści lat jest prokuratorem rejonowym, a nie ma pojęcia, ile kosztuje mandat, jednak był przekonany, że tysiąc złotych to za dużo. Może pięćset? Może jeszcze mniej? Tysiąc złotych to jest więcej niż zarabia moja żona jako pielęgniarka, stwierdził z żalem. Dobrej marki telewizor kosztuje najwyżej dwa tysiące A dlaczego policjant nie kazał mi nadmuchać w balonik? I skąd wiedział, że wypiłem piwo? To wracać, domagać się badania przy pomocy alkomatu? Ale, ale, powiedział w myślach, lepiej pojadę do przyszpitalnego laboratorium, poproszę którąś koleżankę żony, żeby zbadała moją krew.

– Jest już ósma? – spytał Legień, znudzony oczekiwaniem na zakończenie służby. Jutro nie będę musiał wcześnie wstawać. A za miesiąc...? A za miesiąc może będę kierownikiem sekcji analiz wypadków, przypomniał sobie rozmowę z naczelnikiem wydziału, który dał mu do zrozumienia, że nastąpi reorganizacja służby ruchu drogowego. – Za godzinę kończymy, co?

Gałka przytaknął niedbale. Przestały go interesować samochody przemykające drogą obok volkswagena. Od południa ukarał sześciu kierowców, czterem kobietom pogroził palcem, ale najbardziej cieszył się, że tak łatwo mu poszło z właścicielem fiata.

– Jak ten czas się wlecze – marudził sierżant.

– Dostaniesz pięć baniek, to zapomnisz o służbie.

– Za co? Czyżbyś znowu...? Kto to był?

Starszy posterunkowy niedbale przeciął ręką powietrze.

– Czy to takie ważne? Nie wypierał się, to znaczy: winny.

– Kiedyś nadziejesz się na jakąś szychę. I pójdziesz do pierdla.

– Tyle razy... Poskarżył się któryś? Ja mam nosa. Dwa dni temu, pamiętasz? facet nie miał złotówek, to zapłacił dolcaami.

Puste pudełeczko po papierosach Legień zgniótł w palcach i wyrzucił za kiosk warzywny.

– Chwała Bogu, że idę na urlop. Odpocznę od twoich machlojek.

– Żałuj, szefie, żałuj. Zarobiłbyś nie tylko na chleb i mleko, ale i na remont domu. Ja, jeśli dobrze pójdzie, za pół roku kupuję mieszkanie na Zaciszu. – Gałka zapiął rozporek i wytarł palce lewej dłoni o bluzę. – Trzy pokoje z kuchnią na pierwszym piętrze. I dopiero wtedy się ożenię. Przyjdziesz na mój ślub?

Smarkacz, pomyślał o nim sierżant. Na szczęście od jutra mnie tu nie będzie, ucieszył się i jeszcze raz spytał Gałkę o godzinę.

– Za rok będę miał tyle forsy, że wybiorę się do Włoch i zobaczę papieża. Każdy katolik powinien raz w życiu uklęknąć w Kaplicy Sykstyńskiej.

Joniec zerknął na omegę: dochodziła dziewiąta. Nie śpieszył się, był przekonany, że policjanci nie odjadą, póki nie zwrócą mu dokumentów. W gruncie rzeczy to im zależy na załatwieniu sprawy, pomyślał i uśmiechnął się chytrze. Gdyby oni wiedzieli, z kim mają do czynienia, wyrzuciliby dokumenty i zmykali natychmiast na koniec świata. Prokuratora okręgowego chcieli oszukać, psia ich mać! Ode mnie wyłudzić tysiąc złotych? I prawie im się udało. Pokręcił głową, ciągle nie wierząc, że policjanci mieli odwagę zażądać od niego łapówki. Jeśli ze mną tak postąpili, to pewnie od innych kierowców również domagają się pieniędzy?

W kieszeni kurtki miał białą kopertę, w niej dwadzieścia nowiutkich banknotów po pięćdziesiąt złotych każdy. Zrobi tak, jak mu poradził Syski: zatrzyma fiata na poboczu drogi, otworzy okno, poda kopertę policjantom, ale nie będzie się odzywał. Zdenerwowany powiedziałby coś, co potem może zostać wykorzystane przeciw niemu w sądzie, bo przecież oni usiądą na ławie oskarżonych i będą się bronili.

Zdjął nogę z pedału gazu, samochód zaczął powoli tracić prędkość. Zjechał na pobocze i nadusiwszy na dźwignię hamulca zatrzymał auto za policyjnym volkswagenem. Otworzył okno. Już im dać kopertę czy jeszcze zwlekać? Może nie zechcą pieniędzy? Dowiedzieli się, że jestem prokuratorem, to przeproszą i zwrócą moje dokumenty.

– Zdążyłeś pan! – zawołał do niego starszy posterunkowy, powoli podchodząc do samochodu.

Dopiero teraz Joniec przyjrzał mu się dokładniej. Na prawym policzku policjanta dostrzegł gniazdko, jakby ślad po oparzeniu czy uderzeniu butelką.

– A już myślałżem, że trza będzie pisać wniosek do kolegium. Masz pan... co trzeba?

Joniec wyjął z kieszeni kopertę i ostrożnie, jakby się czegoś obawiał, milcząc podał ją policjantowi. Spór z równym jest ryzykowny, z silniejszym – szaleńczy, ze słabszym – haniebny. Miałki i nędzny to człowiek, który ugryziony, gryzie.

Sierżant ciągle stał oparty o drzwi volkswagena, nawet nie spoglądał na obserwującego go kątem oka prokuratora jak-

by nie był zainteresowany tym, co robi starszy posterunkowy.

– Jak żem mówił: dokumenty z rączki do rączki – najpierw Gałka zwrócił prokuratorowi prawo jazdy i dowód rejestracyjny, potem roześmiał się z tą samą wyższością w głosie, którą demonstrował godzinę wcześniej. – Nie musisz pan sprawdzać, te same.

– Moje – potwierdził Joniec cicho, chowając dokumenty do portfela.

Gałka spokojnie, a nawet ślamazarnie przeliczył pieniądze, zadowolony skinął głową do sierżanta, schował je do kieszeni bluzy, a kopertę dokładnie zgniótł w dłoni i wyrzucił. na pobocze drogi.

– Zgadza się. Lepiej zapłacić po dobroci niż stracić prawko jazdy. Na drugi raz, panie starszy, nim się łyknie kieliszeczek alkoholu, trzeba pamiętać o skutkach. Co by było, gdybyś pan sprowokował wypadek drogowy? Może nawet niewinna osoba poniosłaby śmierć na miejscu? A jakby do końca życia została kaleką? O, wtedy bulibyś pan nie dziesięć baniek, ale rentę – perorował jak nauczyciel starszy posterunkowy. – Nauczyłżeś się pan czegoś czy nie?

Joniec udawał skarconego i zmieszanego ostrzeżeniem, niby się zaczerwienił, na chwilę zwiesił pokornie głowę na piersi. Za kilka minut ty będziesz się usprawiedliwiał, posłał mu kąśliwe spojrzenie.

– A teraz jedź pan do domciu – rzucił do niego starszy posterunkowy. – Żonusia czeka z bigosem. – Zerknąwszy na zegarek, poszedł w stronę sierżanta. – Minęła dziewiąta. Koniec służby! Jesteś na urlopie.

Prokurator widział, jak Gałka odlicza pieniądze i część daje Legieniowi.

– Czy otrzymam pokwitowanie albo jakiś paragon?! – zawołał Joniec, udając nieobeznanego w dawaniu łapówek.

– Jedź pan do domciu! – odkrzyknął do niego Gałka.

Joniec posłusznie wetknął kluczyk do stacyjki, włączył silnik, ale nie odjechał. Minęła dziewiąta, już powinni być. Przecież obiecywali. A może wszyscy policjanci są tacy sami? Czyż ja nie stanąłbym w obronie prokuratora? Pewnie szukałbym okoliczności łagodzących. Solidarność zawodowa

niewiele ma wspólnego z przyzwoitością, dlatego udają się niektóre strajki. Mimo to obserwował w lusterku drogę za sobą. Żeby tylko zdążyli, bo ci zaraz odjadą, prosił w myślach. Nagle dobiegł go coraz wyraźniejszy dźwięk, wychylił głowę przez okno i ujrzał niebieskie światło na dachu mercedesa pędzącego od strony kościoła. Są, odetchnął z ulgą.

Mercedes zatrzymał się przed volkswagenem na poboczu, wyskoczyło z niego trzech cywilów, nie zważając na Jońca, jakby go nie znali, szybkimi krokami podeszli do policjantów.

– Kluczyki! – Rosły mężczyzna wyciągnął rękę do Gałki. – Natychmiast!

– Wolnego, koleś – roześmiał się lekceważąco starszy posterunkowy i rzucił do Legienia: – Ale chłopaki się bawią. Ja mam ich wylegitymować czy ty to zrobisz?

Dwaj mężczyźni chwycili Gałkę za ramiona, wyrwali mu kluczyki i obezwładnili jak schwytanego na gorącym uczynku mordercę.

– Znacie tego pana? – spytał go cywil, pokazując na prokuratora, który wysiadł z fiata i stał oparty o jego drzwi.

– Nie.

– Ukaraliście?

– Broń Panie Boże – zaprzeczył sierżant. – Kolega starszy posterunkowy go zatrzymał i udzielił upomnienia. Za nadmierną szybkość w obszarze zabudowanym.

Nadjechał drugi radiowóz, ten z rzucającymi się w oczy emblematami policji. Dopiero teraz prokurator zbliżył się do grupki, żeby wyraźniej słyszeć wyjaśnienia sierżanta i starszego posterunkowego.

– Przyjęliście korzyść majątkową, łamiąc nie tylko prawo, ale i naruszając wszelkie zwyczaje demokratyczne – stwierdził bezpardonowo cywil z wąsami. – Tysiąc złotych.

– My? Kto to panu powiedział? – aroganckim tonem zapytał Gałka. – Może ten gość?

Joniec zamierzał przytaknąć, już nawet podniósł głowę i otworzył usta, gdy jego wzrok napotkał spojrzenie sierżanta. Wydawało mu się, że Legień jest bez winy, dlaczego więc nie zabronił starszemu posterunkowemu łamać prawo? Mało tego, przyjął część łapówki. Jako starszy stopniem

i wiekiem powinien mieć przewagę nad podwładnym i młodszym. Staje się gorszy, kto psuje drugiego, pomyślał.

– Ten gość – cywil gestem prawej ręki przywołał Jońca do siebie – jest prokuratorem okręgowym. Zapewne prawo zna lepiej niż wy obaj.

Sierżant rozchylił usta, chciał coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, lecz tylko chwycił się oburącz za skronie i chwilę stał znieruchomiały jak wartownik przed pomnikiem na placu Bohaterów, w którego były zwrócone oczy wszystkich gapiów. Gdy opuścił ręce, twarz miał zarumienioną, a czoło zroszone potem.

– Pan prokurator jechał za szybko w terenie zabudowanym. Zgodnie z regulaminem mogłem go ukarać mandatem lub udzielić ostrzeżenia. Pomyślałem sobie, że na pewno pierwszy raz naruszył kodeks, dlatego po konsultacji z kolegą sierżantem wyjaśniłem mu, z jakiego powodu zatrzymałem pojazd do kontroli – skłamał bez zająknięcia Gałka.

Joniec zauważył, że jednak szparki straszliwie bezbarwnych oczu mu się zwęziły. Za nimi ukrywał całą bezczelność. Nie chciałby z kimś takim pracować nawet wówczas, gdy udowodnienie winy bywa formalnością.

– Pójść człowiekowi na rękę, to oskarży. A trzeba było łupnąć mandat i nie patrzeć, że jakiś prokurator! – rzucił w mrok starszy posterunkowy.

Legień zamknął oczy, oddychał głęboko przez nos.

– Około godziny dwudziestej zatrzymaliście pana prokuratora i zażądaliście łapówki – bezceremonialnie stwierdził cywil.

– My obaj?! – odezwał się sierżant. – Niczego nie żądałem.

– Dostaliście białą kopertę, w której było dwadzieścia pięćdziesięciotysięcznych banknotów – ciągnął spokojnie cywil. – Czy udowodnić?

– A proszę bardzo – pewny, że cywile jednak niczego mu nie udowodnią, odrzekł Gałka.

Aspirant włączył lampę i kiedy strumień światła skierował na bluzę starszego posterunkowego, wszyscy dostrzegli jaśniutką plamę na lewej klapie jego bluzy. Aspirant wyłączył lampę, a po chwili na wyraźny znak cywila z wąsami włączył ją powtórnie, tym razem na dłużej.

– Ręce też panu świecą – powiedział cywil, wskazując głową dłonie Gałki. Wyglądały jakby były pomalowane farbą fosforyzującą. – A wie pan przynajmniej dlaczego?

Sierżant przeraził się, próbował wytrzeć dłonie o spodnie.

– Ponieważ dotykaliście pieniędzy oprószonych miałem fluoryzującym, często stosowanym w kryminalistyce. Wystarczy włączyć lampę ultrafioletową i oświetlić banknoty czy ręce osoby, która je dotykała, żeby nie było wątpliwości. Jeśli macie wątpliwości, nadkomisarz Syski może wam to wyjaśnić.

– Nie dam się nabrać – powiedział starszy posterunkowy i mimo to obejrzał swoje ręce.

Cywil rozważał, czy dobrze robi, jeśli w obecności podwładnego rozmawia z dowódcą patrolu. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien podważać autorytetu starszego rangą policjanta. Po namyśle zdecydował się odstąpić od obowiązujących zasad.

– Pan, sierżancie, też ma w kieszeni wyłudzone pieniądze? – spytał.

Legień nie odpowiedział. Dłonie podniósł do oczu, pociągnął nosem.

– Proszek jest bezzapachowy. Wykrywa go jedynie lampa albo płytka nasączona płynem identyfikacyjnym – powiedział Syski. – Nawet najbardziej wyszkolony pies nic nie wywącha.

– Nie damy się nabrać – powtórzył starszy posterunkowy. Zrobił krok do tyłu, jakby szykował się do ucieczki w głąb lasu.

Za jego plecami stali trzej policjanci z grupy specjalnej, mężczyźni rośli, zwinni, na najcichszy sygnał cywila gotowi natychmiast powalić Gałkę na ziemię i w mgnieniu oka go obezwładnić. Zresztą robili to prawie codziennie podczas akcji na granicy polsko-niemieckiej, którą usiłowali przekraczać nieźle przygotowani do walki Azjaci.

Cywil wyjął karteczkę z saszetki.

– Skoro żaden z panów nie przyznaję się do wymuszenia łapówki, będziemy musieli przeprowadzić rewizję.

– Bez nakazu sądowego? – szybko zaprotestował Gałka i przeniósł błagalne spojrzenie na twarz Jońca.

– Każdy banknot, jak pan wie, ma ukryte i widoczne go-

łym okiem znaki identyfikacyjne, to znaczy serię i numer kolejny. Może pan to sprawdzić – powiedział Syski do starszego posterunkowego. – Banknoty, które znajdowały się w białej kopercie, którą to pan odebrał z rąk prokuratora, również były oznakowane. Seria BY, numery kolejne od 00001 do 00020. W codziennym obiegu ta seria nie występuje. Banknoty pochodziły ze skarbca policyjnego. Pan prokurator wystąpił w roli świadka koronnego.

Mimo że wszystko było jasne, obaj policjanci z drogówki nie wierzyli ani jednemu słowu cywila. Musi udowodnić, że mam te pieniądze w kieszeni, pomyślał przestraszony Legień. A jeśli one naprawdę zostały oznakowane? Boże, zrób coś! Uderzył wzrokiem Gałkę. Gdybym tylko mógł, tak bym cię wyrżnął w zęby, gówniarzu, że na kolanach błagałbyś o litość. Co teraz będzie? Legień zacisnął usta aż do białości.

Żaden nie spodziewał się, że Joniec ich przechytrzy w tak prosty sposób i zostanie zwycięzcą. A on o zajściu na drodze najpierw poinformował swego przyjaciela ze studiów nadkomisarza Syskiego, ten z kolei zadzwonił do komendanta wojewódzkiego policji, który nakazał szefowi grupy specjalnej pobrać ze skarbca oznakowane banknoty. Przy okazji polecił laborantce w poliklinice, żeby przeprowadziła test sprawdzający zawartość alkoholu w krwi prokuratora.

– Proszę opróżnić wszystkie kieszenie – spokojnie, aczkolwiek stanowczo nakazał cywil.

Starszy posterunkowy usiłował protestować. Sierżant natomiast bez sprzeciwu wyjął z portfela osiem banknotów i podał je aspirantowi.

– Od jutra miałem być na urlopie – powiedział do siebie.

– Jestem przekonany, że jeszcze dziś prokurator wystąpi do sądu o wydanie nakazu aresztowania. – Cywil spojrzał na Jońca jakby czekał na potwierdzenie, on jednak milczał.

– Winę trzeba najpierw udowodnić. – Starszy posterunkowy nie poddawał się bez walki.

Dwaj mężczyźni z grupy specjalnej chwycili go za ramiona, trzeci włożył rękę do jego kieszeni.

– Nie będzie to takie trudne – odparł cywil z wąsami, prosząc aspiranta o sprawdzenie numerów banknotów. – Przy okazji wyjaśnimy kilka innych spraw. Na przykład to, kto

wczoraj przed południem wyłudził od kierowcy czerwonego peugeota dwa tysiące złotych. – Wyjął notes i czytał: – Kto również wczoraj zatrzymał w tym samym miejscu niebieskiego opla corsę, kierowanego przez kobietę, i domagał się haraczu w wysokości półtora tysiąca? Ile marek dał kierowca volkswagena z niemieckimi numerami rejestracyjnymi. I tak dalej. Podobnych sygnałów zanotowałem jedenaście. W ciągu zaledwie miesiąca jedenaście osób złożyło skargi na policjantów z drogówki. A ilu, jeśli jutro przeczyta w gazecie informację o wykryciu przestępców w naszym łonie, jeszcze się zgłosi z doniesieniami?

– Wczoraj zastępowałem podkomisarza Krystka w sekcji analiz! – bronił się Legień. – Nie miałem służby na drodze, jak Boga szczerze kocham!

– Sprawdzimy i weźmiemy to pod uwagę – zapewnił go cywil z wąsami.

Tyle razy jako oskarżyciel byłem w sali sądowej, często korzystając z materiałów śledczych policji. Bez żadnych podejrzeń ufałem tym wszystkim sierżantom, aspirantom, komisarzom. Traktowałem ich jako sprzymierzeńców, którzy walczą z tym samym co ja, pomyślał Joniec samokrytycznie. Wszyscy dopuszczamy się win, jedni ciężkich, inni lżejszych, jedni z rozmysłem, inni w afekcie lub też pod wpływem czyjejś nikczemności. A niektórzy z nas zaprzepaścili swą uczciwość.

Joniec stał lekko przygarbiony, wpatrując się niemo w tunel drogi: nie widział nadjeżdżających samochodów ani nie słyszał, co do niego mówił cywil. Było mu wstyd.

Cztery tysiące dolców

– Tylko bez żadnych jaj, Ficner – ostrzegł go niemłody strażnik. – Próba najmniejszej rozróby i wracasz do celi, jasne?

Wszedł przygarbiony z rękoma założonymi do tyłu, z głową opuszczoną jakby się wstydził tego co zrobił, chociaż w czasie rozprawy, gdy prokurator nazwał go tępym zwyrodnialcem, nie pozwolił adwokatowi mówić w jego imieniu i sam się bronił przekonany, że jest niewinny. Stanął zaraz za drzwiami i czekał pokornie na znak Władyki. Wyglądał na dużo starszego niż był, ale poszarzała twarz nie zdradzała jego niepokoju o przyszłość, której ćwierć wieku powinien spędzić za kratami. Gdy adwokat wskazał mu miejsce przy stole, usiadł na taborecie karnie, ręce położył na kolanach i nadal milczał, nie podnosząc na niego wzroku. Pewnie czuje się głupio, pomyślał adwokat akurat wtedy, kiedy Paweł odchrząknął i zaczął mówić, że już dłużej nie chce oglądać świata zza murów więziennych. Ma dość towarzystwa szajbusów, mordujących swoje żony i dzieci we śnie, przy stole, przed telewizorem. Najdotkliwszą karą jest przebywanie wśród skazanych na dożywocie i cierpienie z powodu popełnionego przestępstwa. Siódmego września Paweł skończył czterdzieści sześć lat, najlepszy wiek do robienia solidnych interesów i czerpania z życia pełnymi garściami. Ma syna na uniwersytecie i starszą córkę z pierwszego małżeństwa, dwoje wnucząt, brata sędziego. O drugiej żonie nigdy nie wspominał nawet wychowawcy, chociaż musiał wiedzieć, kto mu przysyła paczki, na które czekał jak dziecko.

– Im prędzej wyciągnie mnie pan z dołka na wolność, mecenasie, tym większe będzie pańskie honorarium – oznajmił, ale zaraz dodał głosem proszącego o litość. – Na początek

proponuję tyle, ile wtedy miałem w portfelu.

– To znaczy ile?

– Jeśli wyjdę w tym miesiącu, dostanie pan cztery tysiące dolców – powiedział tym samym głosem, szybko unosząc głowę, jakby chciał sprawdzić, czy oczy adwokata zabłysną chciwością. – Im później pan to załatwi, tym mniejsze będzie pańskie honorarium.

– Jaką mogę mieć pewność, że po, daj Boże, zwolnieniu z zakładu dotrzyma pan słowa? – spytał adwokat, dając mu odrobinę nadziei, że złoży wniosek o kasację wyroku.

– Napiszę zobowiązanie. Natychmiast. Niech pan da papier i długopis.

– Takie zobowiązanie, sporządzone bez świadków, nie będzie miało żadnego znaczenia prawnego – ochłodził jego zapęd Władyka. – Pan został skazany nie tylko za morderstwo, lecz i pozbawiony praw obywatelskich za znęcanie się nad żoną.

Paweł wykrzywił usta i machnął ręką lekceważąco, jakby zdumiała go niewiara adwokata w jego zapewnienie.

– Jestem człowiekiem honorowym. Wierzącym – dodał z naciskiem.

– Nie przeczę.

– W życiu żadnego biedaka nie oszwabiłem ani na złotówkę – powiedziawszy to podniósł rękę, jakby zamierzał złożyć przysięgę.

W pokoju widzeń byli tylko oni dwaj, strażnik spacerował po korytarzyku, od czasu do czasu zatrzymując się przy zamkniętym od wewnątrz okienku, mimo to adwokat przykrył dłonią sitko mikrofonu. Doświadczenie mu przypominało, że jedynie w parku można bezpiecznie rozmawiać.

– Zdaję sobie sprawę z czynu, którego się dopuściłem. Uderzyłem tak... ale, mecenasie, nie jestem oszustem i przy pomocy pana muszę tego dowieść – Paweł zacisnął pięści aż do bólu. – Zrobiłem, co zrobiłem, trudno, stało się, ale nikogo nie brałem na lep. Ja naprawdę miałem te dolce.

– Komu pan zamierza to udowodnić i po co?

– Przede wszystkim moim dzieciom i wnukom. Nawet bratu, na którego pomoc ekstra nie liczę. A mógłby, sukinsyn, coś więcej dla mnie zrobić. Zapomniał, że mu pomaga-

łem, kiedy siedział w kryminale za politykę. Przysłał pana, dobre i to, ale jedna papuga za mało.

Znowu ani słowa o żonie.

– Sąd nie skazał pana za oszustwo, przeciwnie, kradzież pieniędzy, o których pan wspominał, wziął za okoliczność łagodzącą, aczkolwiek nie uzyskał dowodów w tej sprawie – przypomniał mu, kiedy nad drzwiami zamigotała pomarańczowa lampka.

– Miałem w portfelu osiemdziesiąt nowiutkich pięćdziesięciodolarówek. To tyle – przekrzywił głowę w stronę adwokata i z boku przypatrywał się chytrze przestrzeni między rozwartymi jak nożyce palcami lewej ręki. – Zadatek na lexusa. Niech pan spyta w Toyocie przy Sulechowskiej. Właściciel musi potwierdzić, ile ode mnie żądał.

– Wierzę – zapewnił go adwokat bez zastanowienia. Zaraz rozlegnie się dzwonek, do pokoju wejdzie strażnik. – Gdybym nie wierzył, nie podjąłbym się ponownej obrony pana przed sądem.

Zełgałem, skarcił się Władyka i uciekł wstydliwym spojrzeniem za okno. Rozpiął marynarkę, rozluźnił krawat, bo nagle zrobiło mu się gorąco. Przecież zostałem obrońcą Pawła Ficnera tylko dlatego, że jego brat, sędzia i szara eminencja partii chadeckiej, która dzierży najwyższą władzę w naszym regionie, o to mnie błagał. Mogłem odmówić, bo sprawa jest przegrana, a ja nie lubię się ośmieszać nawet za wielkie pieniądze, ale wtedy sędzia Ficner powiedział:

– Pomogę panu odzyskać sławę najlepszego adwokata. Wygra pan w jakimś procesie politycznym czy sprawę o obronę czci lub wiary. Redaktor Sateck rzecz opisze w gazecie i cały region przypomni sobie pańskie nazwisko.

– Dobrze pan wie, że nie wróci epoka procesów czarownic, a wielka polityka trzyma się z daleka od sal rozpraw.

Sędzia westchnął, wydął usta i po długim namyśle rzekł:

– Niebawem skończy się moja kadencja. Zamienimy się miejscami.

– Nie wiadomo, czy pańscy koledzy wybiorą mnie na przewodniczącego.

– A cóż oni mają do powiedzenia? Decyzję podejmie minister.

– Nie mam doświadczenia i papierów sędziego sądu okręgowego. Wprawdzie zrobiłem aplikację, ale nie poszedłem na egzamin.

– Jeśli to się nie uda, zostanie pan posłem albo senatorem – rzucił sędzia Ficner kusząco. – Ponadto będzie pan moim najbliższym współpracownikiem w chadecji, a gdybym zajął gabinet ministra sprawiedliwości, co jest możliwe, uczynię pana moim zastępcą.

Mogłem mu odmówić, ale nie chciałem tracić takiej okazji awansu i zarobku, tym bardziej że uwolnienie Pawła Ficnera było w zasięgu mojej ręki, o czym on nie wiedział. Jedyną przeszkodę stanowi redaktor Sateck.

Od pierwszych dni września wszystko wokół niepokoiło i denerwowało Pawła, a już najbardziej to, że do końca miesiąca musi mieć czterdzieści tysięcy dolarów. W nocy budził się i do rana rozmyślał, jak zdobyć tyle pieniędzy lub do kogo spośród znajomych iść po pożyczkę.

– Wczoraj wieczorem telefonowała Gosia – oznajmiła mu żona, sądząc nie bez racji, że się rozpromieni, podziękuje za wiadomość i zostanie z nią w domu. – Dziś po południu przyjeżdża z dziećmi. Twój wnuk Kryspian pokaże ci program komputerowy, ułożył go na zwyczajny konkurs w szkole, a okazało się, że są nim zainteresowane firmy kolporterskie.

Otworzył usta, już chciał spytać, czy Gosia przyjeżdża na dłużej, czy jak ostatnio na dwa dni, ale akurat w tym momencie dotknął wzrokiem okładki tygodnika motoryzacyjnego, na której granatowy lexus stał w cieniu palm, wzruszył więc ramionami, jakby córka i wnuczęta nic go nie obchodziły. Postąpił wbrew sobie, bo Gosię zawsze kochał miłością nie tylko ojcowską, lecz i za to, że jest prawie doskonałą kopią Agaty. Gdy córka przekraczała próg jego domu, natychmiast uśmiechał się do wszystkich wokół, stawał się rozmowny i serdeczny, nawet hojny. Po wyjeździe Gosi wracał do swojego świata, zamkniętego dla Iwony.

– Pobędzie u nas z tydzień – dodała żona, nie podnosząc

na niego głosu, co się jej zdarzało wtedy, gdy mąż ignorował świat dookolny.

Paweł wbił się w fotel przed kominkiem, wziął ze stolika tygodnik i udawał, że czyta. W rzeczywistości myślał, jak zdobyć brakujące tysiące dolarów.

– Przepadam za dziećmi – powiedziała Iwona.

– Ty masz dzieci? – spytał cynicznie.

Iwona jęknęła. Jej oliwkowe oczy nagle napełniły się łzami. Nie ukrywała rozdrażnienia.

– Mam, mam! – zawołała i kilka razy uderzyła pięściami w poręcz fotela.

Od dawna ich łóżko małżeńskie było zimne i puste, ona sypiała na parterze w bokówce za jadalnią, on w saloniku na piętrze obok pokoju gościnnego. Codziennie o dziewiątej gosposia, dalsza kuzynka Iwony, przygotowywała im śniadanie. Zjadali je w milczeniu albo odzywali się zbędnymi półsłówkami. Czasem Paweł składał żonie życzenia, czułby się jednak lepiej, gdyby nie musiał pamiętać o imieninach, urodzinach, świętach. Iwona częściej przełamywała w sobie złość i starała się zainteresować sobą męża. Nigdy nie wspominała o jego kochankach, chociaż dobrze wiedziała, po co latem w każdy piątek po południu wyjeżdża do Sławy, a zimą do Zielonej Góry, i wraca dopiero w niedzielę przed wieczorem. Próbowała pogodzić się z losem zdradzanej żony, było to prawie niemożliwe.

Nie powinno się płakać nad cząstkami życia – przekonywała siebie – gdy całe jest godne opłakiwania. Śmierć jest wyzwoleniem od wszystkich cierpień i kresem, poza który nie sięgają ludzkie nieszczęścia. Często myślała, że już powinna umrzeć i nie byłoby to bolesne.

Spytała męża, przymuszając się do serdeczności, czy po południu zawiezie ją do Ciborza.

– Dziś Bronisława, imieniny ojca.

Paweł nawet nie drgnął, jakby żona odezwała się nie do niego.

– Raz w roku powinnam dać ojcu odczuć, że o nim pamiętam. Ty też. Jesteś jego dłużnikiem.

Za dwa tygodnie muszę zdobyć czterdzieści tysięcy dolarów. Pojadę na zjazd absolwentów akademii starym oplem

jakbym był miernym urzędnikiem? Koledzy ze studiów będą szastali tysiącami, opowiadali o wielkich majątkach, przechwalali się koneksjami, komitywami, zażyłościami i sam Bóg wie jakimi jeszcze znajomościami, a co ja im powiem? – bił się z myślami. – Gdybym miał lexusa, nikt nie odważyłby się mnie lekceważyć. – Postanowił, że choćby musiał obrabować bank czy sprzedać połowę swojego majątku, zdobędzie pieniądze i kupi najdroższe auto świata.

– Paweł, staram się... – Iwona zaczęła i nagle urwała. Zamierzała jeszcze raz powiedzieć, że go rozumie, jest mu życzliwa. Póki była zdrowa, miała obie piersi, włosy krucze i gęste, cerę prawie aksamitną jak skóra niemowlaka, nie musiała o nic prosić. To Paweł ją błagał, tulił do siebie niby zakochany szczeniak, przywoził prezenty i składał życzenia. Po operacji stała się inną kobietą, ale nie kaleką i przecież nadal jest jego żoną. Nie domaga się młodzieńczej miłości, nie musi sypiać z nim w łóżku małżeńskim, chce wyłącznie, żeby ją szanował, jak ona szanuje jego naturę. Czy to aż tak dużo? – Nie dopraszam się, nie błagam, Paweł, abyś zawiózł mnie do szpitala, do ojca, lecz oczekuję, że zrobisz to bez prośby.

Cisnął tygodnik na stolik, roześmiał się krzywo:

– Szkoda mojego czasu i pieniędzy na benzynę.

– Paweł! – zawołała, gdy wychodził z pokoju. – Bądź normalnym człowiekiem! Zlituj się nad swoim teściem.

W pobliżu nie było nikogo, kto by jej wyjaśnił, że to, o co prosiła, niewiele wspólnego miało z litością, to było przypomnienie o obowiązku wobec osób bliskich. Litość jest wadą słabego człowieka, który załamuje się na widok cudzego nieszczęścia. Dlatego jest ona rozpowszechniona wśród ludzi najlichszych. Paweł miał charakter boksera.

– Daj mi święty spokój – rzucił, unosząc się gniewem.

– Kim byłbyś, gdyby nie mój ojciec?!

Nie potrafił zaprzeczyć, że wszystko, co stoi na ziemi za lasem, a więc dwupiętrowy dom z ukwieconym ogrodem, opel, ferma, należało do ojca Iwony. Z pierwszą żoną niewiele się dorobił. Zaraz po studiach pedagogicznych został kiepsko opłacanym nauczycielem w Sławie, później był inspektorem oświaty skazanym na urzędniczą wegetację, za-

zdroszczenie innym i czekanie na przypadkową odmianę losu. Drugiego tygodnia po samobójstwie Agaty poznał Iwonę na cmentarzu, a miesiąc później z nią się ożenił, ale nie z żadnej miłości, czego nie ukrywał, lecz ze względu na majątek jej ojca. Kiedy sześć lat temu matka Iwony wpadła pod samochód, umysłem jej ojca zaczął władać obłęd do tego stopnia, że przestał troszczyć się o siebie i o dorobek swojego życia. Wtedy Paweł z trudem przekonał żonę, że będzie najlepiej dla całej rodziny, jeśli on zostanie dziedzicem, a ojciec resztę życia spędzi w szpitalu dla chorych psychicznie.

– To jest chory człowiek. Czy swojego ojca też skazałbyś na niewolę?

– On jest niebezpieczny – perswadował żonie. – Może podpalić dom. Może zniszczyć fermę. Może zdemolować opla.

– To jest ojciec. On dotąd znał tylko trud pracy.

– Tak, powinien odpoczywać i się cieszyć – mówił kiwając wyrozumiale głową, ale zaraz pytał: – Jeśli tobie wyrządzi krzywdę? Albo mnie?

Dała się przekonać, w gruncie rzeczy zawsze ulegała jego namowom. A później i ona zachorowała. Nowotwór okazał się złośliwy. Doktor Navarra odjął jej lewą pierś, po krótkim czasie prawą. Oszpecona, po wyjściu ze szpitala, nie wróciła do sypialni małżeńskiej i zamknęła się w swojej skorupie kalekich myśli, choć Paweł ją zapewniał, że nic się nie zmieniło w ich związku. Znowu łgał, czuła to i rozumiała, że najgorszym z wielu nieszczęść, jakie istnieją wokół człowieka, jest opuszczenie szeregów żywych jeszcze przed śmiercią.

Inżynier Stefan, cioteczny brat Iwony, dopiero skończył karmienie piskląt, paląc papierosa odpoczywał na ławce przed kurnikiem.

– Do roboty! – wrzasnął Paweł z ganku, gdy go zobaczył.

– Wiem, szefie, co do mnie należy – odparł Stefan ze spokojem, trochę flegmatycznie.

– No to, hajda!

– Już wracam.

– Nie płacę ci za siedzenie – rzucił Paweł głosem doprowadzającym do wściekłości.

Stefan z dezaprobatą zgasił papierosa, ale go nie wyrzucił, tylko schował do kieszeni, nacisnął beret na głowę i podniósł

się pokornie. Gdyby nie bezrobocie, jakie rozlewa się po okolicy, nigdy nie karmiłby Pawłowych kur. Stefan jest zdrowy i chętny do pracy, ma pomysły, których na razie nigdzie nie może sprawdzić. Odejdzie z fermy, na jego miejsce przyjdzie inny, pewnie też inżynier zootechnik, może jeszcze pokorniejszy. Paweł wiedział o tym, dlatego nie szanował kuzyna Iwony, wykorzystywał go w święta, lekceważył bez powodu, traktował z poniżeniem, chociaż to nie on, lecz Stefan był faktycznym gospodarzem fermy. Iwona czasem próbowała występować w obronie kuzyna, lecz Paweł nawet nie starał się wysłuchać jej racji. Cóż, wiele ohydy gromadzi się latami w każdym człowieku. I w każdym kryje się jakaś słabość.

– Stefan! – zawołał Paweł. Gdy z kurnika wyszedł ubrudzony karmą inżynier, polecił: – Umyj opla.

Boże, jak on mną pomiata, ulitował się nad sobą Stefan. Karzesz, Panie, niewinnych, zerknął na Iwonę, a nie karcisz tego, który jest niesprawiedliwy.

– Bardzo cię proszę, Paweł, abyś zawiózł mnie do szpitala. Do ojca. On na pewno czeka. – Iwona miała łzy w oczach, drżała. – Paweł, zlituj się.

– Zwyrodniała kaleka: ani do łóżka, ani za kierownicę – parsknął szyderczym śmiechem. – Komuś ty potrzebna?

– Skurwysyn – cisnął za nim Stefan.

Ledwie Paweł włączył silnik opla i wyjechał za bramę, już rozważał, czy najpierw spotkać się z szefem salonu Toyoty i jeszcze dziś dać mu zadatek na lexusa, czy od razu pędzić do Polanu. Spojrzał na zegarek: prawie szósta, zdąży więc do autokomisu.

Ale nie zdążył. Szef salonu wyszedł wcześniej ze swego biura. Paweł sterczał przed płotem i cieszył oczy wypucowanymi corollami, carinami, lexusami. Jedno z nich będzie moje, zdecydował. Czerwone z rozsuwanym dachem. Tylko najbogatszych stać na auto robione na zamówienie. Splótł ręce na piersiach, stanął w szerokim rozkroku, przechylił głowę jak niedowiarek i kiwając nią uśmiechał się sam do siebie.

– Ładne cacka, panie – rzekł stróż, mierząc go wzrokiem.

– Ładne – zgodził się Paweł. żeby samemu się pocieszyć i jemu sprawić przyjemność.

– Nie na każdą kieszeń. Normalny człowiek to ino może se przyjść i popatrzeć. A pan pewnie też przy forsie?

Parking przed hotelem był prawie pusty. Paweł ustawił opla przy stróżówce, dał dozorcy dwa dolary, a on zgiął się aż do samej ziemi i błysnął oczyma w podzięce. Paweł lubił być hojny, dobroczynny, czuł się wtedy kimś bardzo ważnym.

– Już żem myślał, co pan magister dzisiaj zajęty – powiedział cerber, wyjmując z kieszeni duży zegarek na srebrnym łańcuszku. – Dobrze po szóstej. E, coś mało gości.

– Tym lepiej – mruknął Paweł z wyższością w głosie.

– Mnie tam gorzej. Roboty mało, a pilnować i tak trza.

Dyrektor hotelu, gdy Paweł sprężyście przechodził obok recepcji, ukłonił mu się nisko niby służący swemu panu. Recepcjonistka bez pytania zdjęła z wieszaka klucz do pokoju 25. Sprzątaczka pokiwała głową, a kelner stanął niemal na baczność.

– Musi to kurzaj ze Sławy? – sprzątaczka spytała portiera.

– Dla nas gość. Bo płaci – odrzekł portier z gęstą miną. – Mnie tam wszystko jedno, komu otwieram drzwi.

Paweł usiadł przy stoliku w rogu restauracji, zamówił kotlet schabowy i kieliszek wódki żytniej. Wydawało mu się, że barmanka mrugnęła do dziewczyny w białej bluzce z dużym dekoltem i bufiastymi rękawami. Wziął ją na oko. Spodobała mu się natychmiast. Tyle razy z tego miejsca obserwował twarze dziewcząt, lecz tej w białej bluzce jeszcze nigdy nie widział. Inne wołał po imieniu, jeśli podawały mu prawdziwe imiona. Poprosił kelnera o drugi kieliszek żytniówki i cocacolę.

– Co to za jedna, ta brzana? – spytał szeptem, wtykając dolara do jego kieszeni.

– Czy zaprosić ją do pańskiego stolika, panie magistrze?

Paweł wyjął z portfela jeszcze jednego dolara.

– Jestem przekonany, że mistrzyni w swoim fachu – konfidencjonalnie szepnął kelner.

Dziewczyna najwyraźniej zrozumiała każde słowo. Lekko się podniosła, odsunęła krzesło od stolika, nogę założył na

nogę, pokazując naprawdę zgrabne uda opięte czarnymi rajstopami we wzorki. Barmanka pokręciła na rudo ufarbowaną głową i uśmiechnęła się nie wiadomo do kogo, a dziewczyna rozchyliła usta, palec wskazujący położyła na dolnej wardze, wypięła piersi, ale to już okazało się zbędne, bo Paweł był przekonany, że tak obfitej piękności jeszcze nie spotkał w Polanie.

Każdego piątku wieczorem siadał przy tym samym stoliku w rogu restauracji hotelowej, zamawiał kotlet schabowy, wypijał kilka kieliszków wódki żytniej, obserwował gości i łowił strzępy ich dyskusji. Kiedyś przyjeżdżali do Polanu berlińscy Turcy, Jugosłowianie, Arabowie, z kilkoma dolarami w przepoconych marynarkach nawet nie targowali się z kobietami, tylko chwytali je za ręce i ciągnęli za sobą do wynajętych na piętrze pokoi. Teraz ich miejsce zajęli tacy jak Paweł Ficner, majętni właściciele fabryczek musztardy, pośrednicy w handlu nieruchomościami, adwokaci bez sukcesów, hodowcy kwiatów, kupcy i sklepikarze. Płacili również dolarami, lecz wcześniej długo się targowali.

Paweł puścił oko do dziewczyny w białej bluzce, odpowiedziała uśmiechem, pokazując perliste zęby, zrobił więc zapraszającą minę, ona zaraz wstała, obciągnęła minispódniczkę, torebkę przerzuciła przez ramię i krokiem pewnym ruszyła do wyjścia.

– Zaprasza mnie ojczulek na całą noc czy na godzinę? – spytała z udawanym obcym akcentem, gdy Paweł sięgał po klucz.

– To zależy od ciebie, brzana.

– Wolałabym wiedzieć.

Paweł pokiwał głową z władczym grymasem na twarzy i powiedział: – Płacę za całą noc.

Natychmiast oburącz uczepiła się jego ramienia. Poczuł miły zapach dobrych perfum. Pewnie kelner miał rację, pomyślał, że to jest mistrzyni w swoim fachu.

– Nigdy nie widziałem cię w Polanie – mruknął, kiedy wspinali się po schodach, ustępując miejsca rozgadanym Niemkom.

– Nie jestem dla każdego – odpowiedziała z wyższością w głosie i przesunęła palcami po jego marynarce w kratkę,

miała bowiem zwyczaj sprawdzać, czy klienci noszą wypchane portfele.

– Nie powinnaś mnie obmacywać już na schodach – powiedział nawet nie starając się, żeby zabrzmiało to dowcipnie.

Na moment odsunęła się od jego ramienia, ale zaraz uchwyciła je mocniej, jakby się obawiała, że straci bogatego klienta.

Jeszcze jedna grupka podstarzałych Niemek z hałasem opuszczała Polan.

– Cioty – rzucił za nimi wyniośle.

– Na spokojną starość trzeba sobie zasłużyć – powiedziała dziewczyna z ostrzegawczym uśmieszkiem i dodała: – Oraz zapracować.

Obojętnie wzruszył ramionami. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad swoją dalszą przyszłością. Na razie miał pieniądze i uważał, że tak będzie zawsze.

– Człowiek żąda od innego człowieka, żeby tylko przynosił pożytek ludziom – dorzuciła.

Otworzył drzwi pokoju oznaczonego tabliczką z numerem 25, zapalił światło i dopiero wtedy puścił ją przodem. Ilekroć wchodził do tego pokoju, a bywał w nim przynajmniej raz w tygodniu, zawsze zadawał sobie to samo pytanie: co tak pachnie? Pociągnął nosem, znowu czuł zapach ni to perfum, ni świeżych fiołków w wazoniku. Może ten pokój został zaadaptowany do figlowania z panienkami? Pod stołem są minimikrofony, w żyrandolu albo w wywietrzniku tkwi ukryta kamera, a o wszystkim, co się tu dzieje, dyrektor hotelu donosi służbom specjalnym? Omiótł pytającym wzrokiem ściany, zerknął w stronę łóżka i doszedł do wniosku, że od zeszłego piątku nic się nie zmieniło w pokoju. Gdyby Paweł był właścicielem hotelu, kazałby wstawić nowe meble, zmienić tapety, wyprać firany, naprawić kontakty.

– No, brzana, co tak stoisz jak kura w przeciągu? – spytał, jednocześnie zrzucając buty i wieszając marynarkę na poręczy krzesła. – Ściągaj szmaty!

– Po pierwsze, nie zachowuj się jak flik i nigdy nie mów do mnie: brzana. Po drugie, śmierdzący kurzaju...

– A co, może jesteś dziewicą? – strzelił śmiechem.

– Po drugie, śmierdzący kurzaju, za towar najpierw trzeba zapłacić.

– Płacę po robocie. Taki mam zwyczaj.

– Teraz – rzuciła zdecydowanie, splotła ręce, stanęła przy oknie i patrzyła, jak on się rozbiera.

– To ile sobie życzysz?

– Pięć paczek zielonych za godzinę. Dwie stówy za noc.

– Zwariowałaś?! Kim jesteś, że się tak wysoko cenisz? Za godzinkę figli aż pięć dych? Czy ty wiesz, ile ja muszę sprzedać jajek, żeby zarobić pięćdziesiąt zielonych? U mnie inżynier przez cały dzień dostaje połowę tego, a jest to dobry fachura, w dodatku kuzyn.

– Nie mam zwyczaju targować się z klientami – powiedziała wprost i natychmiast ruszyła w stronę drzwi.

– Stój, brzana. Poczekaj. – Paweł chwycił ją za przegub dłoni, przyciągnął do siebie. – Dwie dychy.

– Pięć i pół.

– Przecież gadałaś...

– Pięć i pół paczki do ręki – powtórzyła głosem zdecydowanym, ciągle stojąc w przedpokoju, gotowa, jeśli nie da jej pieniędzy, zaraz wyjść.

Tego się nie spodziewał. Gdyby wiedział, że ona ceni się aż tak wysoko, poczekałby na Zoję, wybrałby inną, przecież tyle dziewczyn siedziało w restauracji, ale sięgnął po portfel, wyjął z niego plik banknotów, poślinionymi palcami odliczył pięćdziesiąt pięć dolarów i niedbale rzucił je na stół.

– Za tyle zielonych będę twoja przez godzinkę i dziesięć minut – oświadczyła. Gdy wkładał portfel do kieszeni, zauważył kątem oka, że dziewczyna zmierzyła jego grubość. – Będziesz zadowolony – dodała już innym tonem, podchodząc do okna.

– Za taką forsę inną miałbym na całą noc.

Podniosła słuchawkę, nakręciła numer telefonu restauracji i kiedy usłyszała głos barmanki, zamówiła wódkę żytnią, coca-colę oraz kieliszek czerwonego wina.

– Berbelucha na mój koszt, łaskawy kliencie.

Uśmiechnął się do niej oczyma. Chciał powiedzieć, że jednak ma klasę mistrzyni. Zoja również zamawiała wódkę i wino, ale nigdy za niego nie płaciła, nie targowała się, nie

spoglądała na zegarek, w gruncie rzeczy zachowywała się jak wykwalifikowana urzędniczka.

– Wysoko się cenisz. – Podszedł do niej od tyłu, wsunął dłoń za bluzkę, musnął wargami kark, lecz ona nie zareagowała tak, jak się spodziewał.

– Tam jest łazienka, panie kurzaj – powiedziała z wyraźną drwiną, wskazując głową drzwi. – Zmyj z siebie smród i się popachnij. – Podała mu dezodorant *galileo de vente*, który zawsze nosiła w torebce.

Byłaby to ostatnia rzecz, jaką chciałby Paweł zrobić. Kto tu jest na czyich usługach?

– Może namydlisz mi plecy?

– Dorzucisz paczkę, to zrobię wszystko, o co poprosisz.

Rasowa dziwka, pomyślał o niej. Jednak szybko się rozebrał i sam poszedł do łazienki. Otworzył kurek z gorącą wodą, chwilę czekał, aż spłynie rdzawica i dopiero wtedy stanął pod prysznicem. Namydliwszy owłosiony tors, przypatrywał się sobie w lustrze. Stwierdził, że mimo przekroczonych czterdziestu sześciu lat, jest jeszcze atrakcyjnym mężczyzną, który powinien się podobać wszystkim kobietom. Mięśnie rąk ma nabite niczym worki zboża, włosy na skroniach oszronione, ale za to gęste i kędzierzawe. Iwona to widzi i dlatego jest o niego zazdrosna. Pomyślał o żonie, kiedy była zdrowa i miała piersi jak wulkany przepełnione wewnętrzną energią. Gdyby kobiety oszpecone mastekotomią nie ukrywały tego przed swoimi mężczyznami, byłyby nadal atrakcyjne w miłości małżeńskiej, powtarzał Paweł po doktorze Nawarze. Wytarł się ręcznikiem trochę za małym i zbyt szorstkim, główkę pojemnika z dezodorantem najpierw skierował pod lewą pachę, potem na podbrzusze, puszkę *galileo de vente* przełożył do drugiej ręki i znowu łebek dozownika lekko nacisnął. Czuł zapach lawendy i jeszcze czegoś, co było trudne do nazwania. Chciał przyczesać włosy, podśpiewując wyszedł więc do pokoju po grzebyczek, który zawsze nosił w kieszeni marynarki.

– Ty doliniaro! – zawył jak zraniony ogier i z całą mocą, jaką miał w prawej ręce, rąbnął dziewczynę w twarz. Portfel wypadł jej z rąk, runęła na podłogę, uderzając głową o kant łóżka. – Tyś chciała mnie obrobić? Mnie? – Chwycił ją za

włosy i uniósł głowę na wysokość swoich kolan. – Za mało ci dałem?!

Rozległo się pukanie do drzwi, lecz on niczego nie słyszał, tylko potrząsał głową dziewczyny i wrzeszczał wniebogłosy:

– Kurewska doliniara!

– Co się stało, panie magistrze? – spytał kelner, stawiając na stoliku tacę, a zobaczywszy krew na skroni dziewczyny, powiedział z przerażeniem: – Pan ją...

– Obrobiła mnie. – Paweł podniósł portfel z podłogi i trzęsącymi się rękoma wyrzucał z przegródek dokumenty. – Miałem dolce! Cztery tysiące!

– Trzeba natychmiast wezwać lekarza. Może ona...?

– Gdzie jest moja forsa? – Odepchnął kelnera od stolika, grzmotnął nagimi kolanami o podłogę, pociągnął dywanik do okna, odsunął szafkę od ściany, zajrzał pod łóżko, do pawlacza, wybebeszył torebkę dziewczyny, wstał i pytał rozjątrzony, gdzie są jego pieniądze. – Doliniara! Tyle jej dałem i jeszcze mnie obrobiła. Cztery tysiące dolców!

– Na pewno miał pan przy sobie aż tyle dolarów? – Również kelner szukał pieniędzy w pokoju. – Może zostawił je pan w domu? Albo w samochodzie? Zaraz zejdę na parking i sprawdzę.

– Powiedziała, żebym się wykąpał, to... – Paweł pokazał na rozwarte drzwi do łazienki. – Wziąłem prysznic, wytarłem się i wyszedłem po grzebyk, żeby... – Wbił palce we włosy i jęczał jakby przechodził tortury.

– To bardzo solidna, uczciwa... Ona nie mogła...

– Doliniara. Tyle dolców, mój Boże... Ty mi ją podsunąłeś!

Kelner wycofał się do przedpokoju, zatrzymał spojrzenie, wydawało mu się, że dziewczyna się poruszyła i zaraz wstanie, stał chwilę i czekał.

– Niech się pan ubierze. Zaraz będzie tu policja.

Paweł położył dłonie na kolanach i milczał. Adwokat poczęstował go papierosem, dopiero kiedy zaciągnął się dymem, podniósł pytający wzrok na Władykę.

– Nie gratuluję panu z powodu wyboru na posła – odezwał

się jakby zawstydzony – bo nie głosowałem na pana, ale cieszę się, że będzie pan zasiadał w Sejmie. Urzeczywistniło się pańskie marzenie. I dziękuję za wszystko, co pan dla mnie już zrobił. Liczę na to, że teraz będzie pan miał mniej czasu dla mnie, ale większe możliwości działania. Z opinią adwokata i posła sędziowie muszą się liczyć.

To ja powinienem mu podziękować, pomyślał adwokat, uciekając spojrzeniem za okno. On nawet nie domyśla się, że zostałem posłem z jego powodu.

– Cóż, sprawa jest po myśli pana – oznajmił.

Paweł westchnął głęboko i uśmiechnął się sam do siebie, zamierzał spytać, za ile dni wyjdzie na wolność, lecz nie miał odwagi.

– Trwało to długo. Trochę z mojej winy. Ostatnie dni spędziłem w Sejmie i nie tylko, ale sprawa prawie się wyjaśniła. Jest pan, jakby to powiedzieć?... Wtedy w hotelu mógł pan tak zareagować, jak właśnie zareagował. To było coś w rodzaju obrony koniecznej.

– Przecież mówiłem!

– Wtedy na mój wniosek sąd nakazał przeszukanie pokoju. Policjanci nic nie znaleźli poza oczywistymi dowodami pana winy w postaci śladów krwi denatki na podłodze – przypomniał Władyka. Paweł spochmurniał, z jego twarzy zginęła doza nadziei, znowu zwiesił głowę i oddychał jak skazaniec. – Kilka dni temu dyrektor hotelu polecił wymienić meble na drugim piętrze. Najpierw jednak dwaj malarze mieli wybiałkować sufity i wytapetować ściany. – Adwokat zamilkł na chwilę, wzrok oderwał od coraz bardziej drżących ust Pawła. Człowiek skazany nie panuje nad swoim zachowaniem, bo nie ma już nic do stracenia. Broni się nie umysłem, lecz ciałem. – Za płytą maskującą, która przylegała do ściany wzdłuż łóżka, malarze znaleźli osiemdziesiąt nowiutkich banknotów. Cztery tysiące dolarów.

Paweł zerwał się ze stołka, zacisnął pięści i potrząsał nimi jak zwycięzca pojedynku bokserskiego, na cześć którego wiwatują tłumy kibiców.

– To jeszcze nie wszystko, panie Pawle. – Czy mu powiedzieć, że malarze przerwali robotę i zeszli do restauracji, a kiedy wypili wódkę i chcieli zapłacić kelnerowi, okazało

się, że dolary są fałszywe? – Zanim wystąpię do sądu apelacyjnego o rewizję wyroku, ktoś powinien panu powiedzieć, że wszystkie banknoty znalezione za płytą maskującą miały ten sam numer.

– Fałszywe? – Paweł zbladł. – Cztery tysiące fałszywych dolców?

Władyka wyjął z teczki gazetę, otworzył ją na rozkładówce i pokazał palcem reportaż Daniela Satecka pt. „Fabryka banknotów". Dziennikarz pisał o tym, jak policja wykryła ścieżkę prowadzącą do wytwórni fałszywych dolarów i marek w ośrodku wypoczynkowym Paradise w Sławie.

– Czy właścicielka ośrodka sprzedała panu te dolary?

Paweł przytaknął i chciał coś wyjaśnić, lecz nad drzwiami zapaliło się pomarańczowe światełko, odezwał się brzęczek, a chwilę później strażnik stanął w progu, machnął więc ręką z rezygnacją.

– Upłynął czas wyznaczony na rozmowę – powiedział do adwokata, a do Pawła rzucił rozkazująco: – Wracamy do celi, Ficner.

Leworęczny nożownik

Lomysowa co chwilę odrywała wzrok od stron książki i spoglądała na zegarek, a kiedy mała wskazówka jej citizena zrównała się z kreską wskazującą dokładnie dziewiątą, spytała sąsiadkę, jakby nie wierzyła swemu czasomierzowi, czy na pewno już jest ta godzina, chociaż za oknem późny wieczór szykował się do snu. Jeszcze przed kolacją chciała rozmawiać z mężem, lecz gdy podniosła słuchawkę, przypomniała sobie, że dziś jest wtorek i Lomys wróci do domu później niż wczoraj, a do urzędu nie pamiętała numeru telefonu.

– Gdybym się tydzień nie odzywała do starego, to on by nawet nie spytał, co mnie ubodło – powiedziała z zazdrością jej sąsiadka.

Od dziewięciu lat, zawsze na początku września, Lomysowa jeździ do Ciechocinka na trzytygodniową kurację i co roku prosi męża, żeby jej towarzyszył, wtedy będzie mogła spokojnie brać kąpiele solankowe i poddawać się tym wszystkim zabiegom, po których, jak uważała, a z czego kpił doktor Szpak, tarczyca przestanie jej dokuczać. Lomys miał zawsze jakieś ważniejsze zajęcia, jakby w Sławie liczyło się jedynie to, co on zaakceptuje podpisem lub czego dotknie. Gdy jednak doktor Szpak wypisał jej skierowanie do sanatorium, a było to jeszcze na początku maja, kiedy nikt nie przewidywał przyśpieszonych wyborów komunalnych, mąż zapewnił ją, że w tym roku pierwszy raz pojadą do Ciechocinka razem. Do obiadu będzie oddychała powietrzem przesyconym solanką i chodziła do masażysty, po południu – będzie piła wodę i spacerowała z mężem, wieczorem zaś tańczyła będzie w restauracji Zdrojowej. Nie wiadomo dlaczego w połowie miesiąca posłowie skrócili kadencję samorządów

gminnych. Lomys, który w gabinecie burmistrza czuł się pewniej niż w klasie z uczniami i wiedział, co trzeba zrobić, żeby tego gabinetu nie stracić, natychmiast powołał niezależny komitet wyborczy. W spokojnej i przez cztery lata raczej chłodnej politycznie Sławie w ciągu tygodnia urodziło się jeszcze osiem podobnych komitetów, a wszyscy ich kandydaci na radnych nagle zaczęli chodzić do kościoła na sumę, interesowali się zarobkami nauczycielek i pielęgniarek, zaglądali do sklepów w soboty przed południem, pytali ludzi przy przystanku autobusowym, jakich oczekują zmian w ratuszu i czy to dobrze, gdy w fotelu burmistrza siedzi ta sama osoba od dziesięciu lat. Lomys wcale nie musiał tłumaczyć żonie, dlaczego jednak w tym roku nie może z nią jechać do Ciechocinka, chociaż obiecywał przy świadkach. Jeśli straci stanowisko w ratuszu, straci również nie tylko szacunek swoich zwolenników z Solidarności, lecz i pensję, o której mówiono w miasteczku, że jest równa miesięcznym zarobkom właściciela zakładów mięsnych, przeciwko czemu Lomys nigdy nie protestował, w rzeczywistości była trochę mniejsza. Ponadto Lomys już zapomniał, co robi nauczyciel geografii w gimnazjum, a gabinet dyrektora szkoły podstawowej zajął jego kolega na najbliższe cztery lata.

Lomysowa nakręciła numer na tarczy telefonu i z nadzieją na szybkie usłyszenie głosu męża podniosła słuchawkę, może dwie minuty trzymała ją przy uchu, ale po tamtej stronie nikt się nie odezwał. Zawiedziona odłożyła więc słuchawkę i za chwilę znowu ją podniosła, tym razem dokładnie wybierając cyfry na tarczy, znowu nakręciła numer telefonu. Zrobiła to jeszcze dwa razy. Pewnie spotkanie przedwyborcze się przedłużyło, pomyślała. Zadają mu dużo trudnych pytań, a on chce na wszystkie odpowiedzieć tak, żeby ludzie byli zadowoleni i znowu na niego głosowali. Czy jest w Sławie lepszy kandydat na burmistrza? Może Pampuch również by się dobrze czuł w ratuszu, ale czy on potrafi zostawić rzeźnię, którą zbudował od fundamentów? Usiłowała sobie przypomnieć, gdzie Lomys powinien być we wtorek wieczorem, lecz okazało się to zbyt odległe i z jakimś niepokojem odłożyła słuchawkę. Gdybym zadzwoniła do mieszkania sekretarki? Odnalazła w swojej pamięci poszukiwany

numer i kiedy nakręciła osiem z dziesięciu cyfr, z rezygnacją położyła słuchawkę na widełkach telefonu. Jeszcze pomyśli, że jestem podejrzliwa lub, co gorsze, po ćwierć wieku małżeństwa zazdrosna.

– Wszyscy chłopi są jednakowi – stwierdziła jej sąsiadka. – Tyle jest męża, co przy żonie. My z domu na leczenie, oni do kolesiów na wódkę .

W nocy śniło się Lomysowej, że siedziała przy fortepianie w saloniku i grała *Niemieckie requiem* Brahmsa, a mąż zatopiony w fotelu pił drobnymi łykami whisky z lodem, którą ona mu wcześniej przygotowała.

– Nie chcę niczego sugerować – powiedziała sąsiadka. – Jak się śni granie na fortepianie albo obręcz na płocie to nieszczęście murowane.

Mimo że już powinna wyjść na pierwszy zabieg, Lomysowa sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer telefonu w Sławie. Oczekując na głos męża tkwiła tak może nawet pięć minut. Słyszała jedynie pulsujący sygnał wysyłany do jej ucha przez aparat telefoniczny.

W tym miejscu nitka ścieżki była najwęższa, doktor Szpak zatrzymał się więc tuż za zakrętem i rozważał, czy wrócić do miasteczka, ale wtedy nie oddychałby poranną wilgocią znad jeziora, po którą wybiera się codziennie jeszcze przed wschodem słońca, czy w jakiś ekwilibrystyczny sposób przenieść rower nad leżącym mężczyzną. Pijany, ocenił go natychmiast. Takiego nawet nie można prosić o usunięcie się z drogi, trzeba go obejść bez słowa. A jeśli chwyci mnie za nogi, przewróci, uderzy w głowę, nie daj Boże, popchnie, bo może nie jest aż tak pijany jak mi się wydaje, i rower wrzuci do jeziora? Doktor spojrzał na gęstą kępę wikliny, ścielącą dolne gałęzie po ścieżce, których musiałby się chwycić prawą ręką, i natychmiast zdecydował, że podniesie rower, zrobi dwa długie kroki nad mężczyzną, gdy dostrzegł bzyczące muchy na sczerniałym kołnierzu wokół jego szyi. Wsparty rękoma o kierownicę pochylił się, żeby sprawdzić, co zwabiło muchy, i wtedy zobaczył dużo zakrzepłej krwi na

ziemi. Był chirurgiem, a mimo to nogi się pod nim ugięły. Obejrzał się, jakby oczekiwał podpowiedzi, co robić, lecz w pobliżu nikogo nie widział, kogo mógłby się poradzić. Rower oparł o krzak i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy dotknąć ręki mężczyzny, bo może jest on pijany, a ta zakrzepła warstwa na ziemi to nie krew.

Jednak to była krew. Doktor ocenił, że mężczyzna musi leżeć na ścieżce co najmniej od ośmiu godzin. W dzień ktoś by go zauważył, wezwał karetkę czy zawiadomił policję i może w ten sposób by mu uratował życie, ale w nocy wczesną jesienią nawet wędkarze nie wypuszczają się wzdłuż brzegów jeziora. Lekarz jeszcze raz pochylił się nad ciałem chcąc sprawdzić, czy mężczyzna został zamordowany czy popełnił samobójstwo, bo śmierć naturalną wykluczył. Skóra na jego szyi była przecięta głęboko niezbyt cienkim nożem. Tylko ktoś bardzo silny mógł w ten sposób poderżnąć gardło, lecz najpierw musiał zamroczyć swoją ofiarę czy to ciosem w tył głowy, czy upoiwszy ją alkoholem. Doktor już nie miał wątpliwości, że śmierć nastąpiła z powodu wykrwawienia.

Kim jest nieboszczyk, kto i dlaczego go zamordował w tym miejscu? Szpak nie zapamiętał jego twarzy, a przecież bywał w kościele, czasem zaglądał do Kormorana i na targ, przechodził obok przystanku autobusowego, gdzie poza sezonem na ławeczkach wysiaduje większość pijaków. Każdy w miasteczku kłaniał się doktorowi, jakby był sławianinem od dziecka. Szpak pomyślał, że morderca musiał dobrze znać swoją ofiarę, dlatego czekał w tym miejscu. A może to przypadkowe zabójstwo? Razem wracali z Kormorana, pokłócili się i jeden drugiego najpierw uderzył, a później bez namysłu poderżnął mu gardło. A skąd wziął długi nóż? Chyba jednak to było morderstwo zamierzone. Doktor wstał i pochylony szukał jakiegokolwiek śladu pozostawionego przez nożownika, lecz poza świeżym odciskiem opon swojego roweru niczego nie dostrzegł na ścieżce. Jeszcze raz przykucnął obok denata, dwoma palcami lewej ręki odchylił jego głowę i powiedział sam do siebie:

– Mordercą musi być mańkut.

Sekretarka przyznała się zawstydzona, że pierwszy raz nie wie, gdzie jest burmistrz, gdy zaraz po ósmej Lomysowa zadzwoniła do urzędu. Nigdy się nie spóźniał, a jeśli od rana miał jakieś niespodziewane zajęcie poza ratuszem, co zdarzało się bardzo rzadko, to przez telefon komórkowy mówił jej, kiedy wróci i co w tym czasie powinna przygotować.

– Może poszedł nad jezioro. Dziś rano doktor Szpak znalazł na ścieżce niedaleko swego domu zwłoki takiego... – sekretarka usiłowała sobie przypomnieć jego nazwisko czy twarz. – Pani pewnie go znała przynajmniej z widzenia.

– Jak się nazywał?

– Właśnie... – zmrużyła oczy jeszcze bardziej zawstydzona. Większość nazwisk mieszkańców miasteczka sekretarka miała w pamięci, a tego jednego akurat nie mogła sobie przypomnieć. – Mówili na niego Grek. – Nagle wykrzyknęła do słuchawki: – Kostas!

– Kostas? Mąż często wynajmował go do wniesienia węgla czy skopania ogródka. Za pieniądze oczywiście. Co potem z nimi robił, to jego prywatna sprawa. Jesienią miał pomalować ogrodzenie od ulicy i przyciąć żywopłot. A co mu się stało? – spytała Lomysowa bardziej zaciekawiona niż zaniepokojona.

– Nie żyje, ale czy zmarł, czy ktoś go zabił, tego nie wiem. Pewnie napił się denaturatu jak stary Lakrima zeszłego roku i...

– Szkoda każdego stworzenia, a człowieka szkoda tym bardziej – powiedziała żona burmistrza. – Do obiadu będę na zabiegach. Jak mąż przyjdzie, niech mu pani powie, żeby do mnie zadzwonił. – Odłożywszy słuchawkę, zamyśliła się, a później powiedziała do sąsiadki jakby zdradzała jej tajemnicę: – Pod koniec lat czterdziestych kilka rodzin, wypędzonych z greckiej Macedonii, przyjechało w nasze okolice. Podobno w Grecji uważano ich za komunistów. Starzy Grecy nigdy nie nauczyli się języka polskiego, chociaż pracowali razem z Polakami, młodzi natomiast, już urodzeni w Polsce, mówili po naszemu lepiej niż niejeden Polak. Gdyby nie te ich czarne włosy i garbate nosy, nikt by nie powiedział, że są Grekami. Chodzili do szkół średnich, uczyli się zawodu, jeden nawet skończył studia elektroniczne i jakiś czas był

asystentem na politechnice. Lubiliśmy ich bardziej niż swoich. Pracą się nie przejmowali, bo oni jak Cyganie mają we krwi zabawę. W połowie lat osiemdziesiątych wszyscy starzy Grecy, a i większość młodych, wyjechali z Polski. Później pisali listy, niektórzy nawet nas odwiedzali, w każdym razie zachowali Polskę we wdzięcznej pamięci. Jakieś cztery lata temu Kostas wrócił sam. To piękny, słoneczny kraj, ale tam nie ma miejsca dla takiego, który nie potrafi łowić ryb w morzu. Czułem się obco, chociaż młodzi byli dla mnie serdeczni. Panie burmistrzu, ja już nie jestem Grekiem, powiedział do mojego męża, i jeszcze nie jestem Polakiem. Nie wiem, kim jestem i gdzie mój dom. Wszyscy mówili, że powinien być tam, gdzie jest dom moich braci i sióstr, czyli w Stratonikach, ale tam od dnia śmierci żony czułem się obco. Wróciłem więc do Sławy, bo pomyślałem, że każdy powinien umrzeć wśród tych, którzy nigdy nie byli jego wrogami.

Lekarz sądowy potwierdził wniosek, do jakiego doszedł doktor Szpak. Nadkomisarz Syski jednak będzie musiał poczekać na protokół oględzin zwłok, ale lekarz niczego szczególnego, co może zmienić jego stanowisko, się nie spodziewał.

– Zgon nastąpił około północy na wskutek wykrwawienia. Było to wynikiem przecięcia przede wszystkim tętnicy szyjnej zewnętrznej i wewnętrznej przy pomocy niezbyt ostrego narzędzia – wyjaśnił lekarz nadkomisarzowi.

– Co pan miał na myśli, mówiąc o niezbyt ostrym narzędziu?

– Na pewno nie był to prosty skalpel, jakiego używają chirurdzy, lancet czy brzytwa. Skóra przecięta przy pomocy cienkiego i bardzo ostrego przedmiotu zostawia charakterystycznie gładką ranę, tu zaś gołym okiem widać skórę nieco postrzępioną, jakby do jej przecięcia sprawca zabójstwa użył siły. Nie potrafię powiedzieć, czym morderca się posługiwał, w każdym razie wykluczam narzędzia stosowane przez chirurgów podczas operacji. – Lekarz wycofał się, a jego miejsce na ścieżce zajął fotograf. – Niech pan cyknie kilka zbliżeń szyi – poprosił.

– Sugeruje pan, doktorze, że sprawca zabójstwa był osobą silną w rękach? – spytał nadkomisarz.

– Silną i wyższą niż denat.

– Jeśli nie został zamordowany przy pomocy brzytwy, lancetu czy skalpela, a te narzędzia pan wykluczył, to przy pomocy czego?

– Niestety, na razie nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie. Przypuszczam, że morderca użył czegoś w rodzaju kosy lub noża, na przykład rzeźniczego, o jaki w Sławie łatwo, wszak jest to miasteczko znane z tego, że mają tu swoje siedziby trzy rzeźnie.

Syski spytał miejscowych policjantów, czy znali ofiarę, czego oni się nie wyparli, ale gdy zagadnął ich o miejsce zamieszkania denata i rodzinę, najpierw zmrużyli oczy, jakby się zastanawiali nad czymś, co może być istotne w prowadzeniu śledztwa, a potem wzruszyli ramionami.

– Pracował gdzieś? Kradł? Był alkoholikiem? Jeśli był, to z kim pił? Za co? Wygląda mi na Cygana.

– To Grek Kostas. Wyjechał z Polski i niedawno wrócił. Jak było lato, to robił tu i tam za palacza. W sezonie nie ma u nas bezrobotnych. Jesienią i zimą żył z tego, co mu kto zapłacił za wrzucenie węgla do piwnicy albo wyciągał rękę do opieki społecznej...

– Kostas to imię czy nazwisko? – przerwał starszemu posterunkowemu Syski.

– Nikt inaczej nie mówił, tylko Kostas. Wszyscy wiedzieli, że chodzi o Greka. Nazwisko... Mnie się zdawało, że Kostas to nazwisko.

– Gdzie on mieszkał?

– Najlepiej powiedziałby komendant.

– To go ściągnijcie.

– Wziął urlop i pojechał na wesele – odparł starszy posterunkowy.

– O ile wiem, moja wiedza może być niedokładna – zastrzegł się doktor Szpak, przypomniawszy sobie, co mu powiedziała pielęgniarka o Kostasie – denat nie należał do nałogowych alkoholików, w przeciwnym razie miałbym go w swoim rejestrze. Musiał pić więcej niż niejeden z nas tu obecnych, zresztą większość mężczyzn bez wykształcenia

w okolicy Sławy nadużywa alkoholu szczególnie po zamknięciu sezonu wypoczynkowego, lecz nie można go zaliczyć do zarażonych chorobą alkoholową i wymagających leczenia zamkniętego. Był człowiekiem uczynnym i nikomu nie zagrażał – dodał, chociaż akurat na ten temat niewiele wiedział o Greku.

Czeka mnie żmudne sklejanie odłamków w całość, ocenił sytuację nadkomisarz, traktując to śledztwo jak każde inne, a przeprowadził ich setki. Na moje szczęście skończyły się upały i wyjechali wczasowicze. Wczesna jesień w Sławie zawsze była piękna, chociaż wolałbym ją spędzać w innym towarzystwie i bez obowiązków służbowych.

Dopiero teraz przyjechał prokurator, zobaczywszy Syskiego, zatarł ręce i zawołał z daleka:

– Powinien pan na stałe zamieszkać w Sławie! Miałby pan co robić nawet w sobotę i niedzielę. Toż tu, cholera, przypada jedno morderstwo na tysiąc mieszkańców.

Bez podpisu burmistrza na czeku księgowa nie mogła pójść do banku po pieniądze na wypłatę pensji urzędnikom i obsłudze ratusza.

– Wszędzie go szukałam – usprawiedliwiała się sekretarka. – Pani Lomysowa też pytała o męża. Do jego domu dzwoniłam tak długo, że umarły by wstał i dla świętego spokoju podniósł słuchawkę.

– Ledwie Lomysowa wyjechała do sanatorium, on ruszył w tango – rzuciła księgowa.

– Jak się ma pięćdziesiąt lat...

– Jak jest człowiekiem na stanowisku i ma się forsę, lata są bez znaczenia – księgowa nie pozwoliła dokończyć sekretarce i roześmiała się tajemniczo, jakby jedynie ona wiedziała, gdzie szukać burmistrza. – Powinna pani zadzwonić do Paradise.

Owszem Lomys czasem przyprowadzał swoich gości do Paradise, lecz od chwili ogłoszenia daty wyborów samorządowych ani razu nie wszedł za bramę ośrodka. Zresztą

wszyscy co zamożniejsi mieszkańcy Sławy, którzy kiedyś zaglądali do Paradise pod osłoną wczesnej nocy, a szczególnie wtedy, kiedy ich żony wyjeżdżały z miasteczka na dłużej, teraz odwracają głowy, gdy przechodzą obok ośrodka. Kira poradziła sekretarce, żeby poprosiła Pampucha o pomoc lub, co może zostać źle odebrane przez burmistrza, kogoś spośród policjantów.

– A najlepiej pani zrobi, jak sama pójdzie do jego domu i sprawdzi, czy samochód stoi w garażu albo...

– Telefonowałam – przerwała jej sekretarka.

– Pani powinna wiedzieć, jacy bywają panowie na stanowiskach, gdy zostają słomianymi wdowcami.

– Niby tak.

– A może pan burmistrz zasłabł? Może serduszko się rozregulowało? Może potrzebna jest pomoc doktora Szpaka?

– Nie pomyślałam o tym – przyznała się sekretarka i natychmiast się skarciła w myślach. Przecież kto jak kto, ale przede wszystkim ja powinnam się kierować intuicją. – Otworzyła mi pani oczy na wiele spraw. Dziękuję.

Z zarzuconą na plecy kurtką zatrzymała się w drzwiach, bo nagle przypomniała sobie, że jeśli w ciągu dnia nie ma burmistrza w ratuszu, to ona nie może wyjść z sekretariatu nawet na kwadrans. Zadzwoni ktoś z urzędu marszałka czy wojewody i co sobie pomyśli? A nie daj Boże, żeby jakiś radny z opozycji albo kandydat na nowego burmistrza zastał drzwi zamknięte. Zatelefonuję do komendanta komisariatu, zdecydowała natychmiast przypomniawszy sobie, jak w podobnych sytuacjach zachowywał się Lomys.

Posterunkowy błysnął oczyma na znak radości, gdy komendant polecił mu odszukać burmistrza. Nigdy nie przekroczył furtki na żadne podwórze przy ulicy Sportowej, gdzie stały nie zwyczajne domy z płaskimi dachami, jakich wiele rozsiadło się wokół jeziora, lecz dworki i pałacyki najbogatszych sławian. Zaraz za nimi, przy brzegu wchodzącym do ogrodów, kołysały się na wodzie żaglówki i łodzie. O willi burmistrza ludzie mówili, że jest w niej więcej urządzeń elektronicznych niż na półkach sklepu syna Pampucha, ale

policjant nie wierzył w istnienie aparatów mądrzejszych od złodziei. Doktor Stolarski również miał fotowizor nad furtką, dwie fotokomórki ustawione w niewidocznych miejscach wzdłuż ścieżki i czujniki zapachowe w każdym pokoju, a mimo to jego żona została zamordowana w biały dzień. Nie ma takiej bariery, której rasowy przestępca nie potrafi pokonać, powtórzył w myślach policjant to, co komendant powiedział po ostatnim powrocie z kursu w Szczytnie.

Gdy posterunkowy ostrożnie dotknął czubkiem palca wskazującego przycisk z napisem *enter*, w willi rozległ się rzewny dźwięk gongu, aż policjant otworzył usta z wrażenia, ale furtka się nie otworzyła i nikt nie wyszedł na werandę. Po minucie posterunkowy jeszcze raz nacisnął na guziczek i znowu wyraźnie usłyszał ten sam rzewny dźwięk, którego mógłby słuchać jak ćwierkania wróbli latem o czwartej rano w parku koło Kormorana, gdy senny czekał na cokolwiek, żeby tylko nie zasnąć. Posłał wzrok na pięterko, bo wydawało mu się, że firanka zadrżała, jakby ktoś tam stał za oknem i go obserwował. Jeszcze chwilę tak tkwił, potem oparł się ramieniem o słup, kątem oka nadal zerkając w tamtą stronę, lecz za oknem nic się nie działo.

Trzeba dostać się na podwórko i sprawdzić, czy drzwi do willi są zamknięte, pomyślał. A jeśli wejdę na płot i wtedy włączą się te wszystkie urządzenia, których nie widać, a które muszą być wszędzie ukryte? Spojrzał za siebie, lecz w pobliżu nie było nawet psa, tylko przed willą doktora Stolarskiego stał nowy opel vectra pięknej dentystki z Victorii, którą ludzie podejrzewali o zmowę ze Schwagierem.

Nagle posterunkowy się zerwał i dynamicznym skokiem przesadził płot, zeskoczywszy do ogrodu, przykucnął, nabrał powietrza do płuc i jak skamieniały czekał, czy się włączy jakieś urządzenie alarmowe, które może być w każdym miejscu, lecz wokół panowała cisza. Wyprostował się, ostrożnie stawiając nogi, podszedł do głównych drzwi, najpierw zapukał, potem kilka razy mocno uderzył w nie pięścią, a gdy i na to nie było reakcji z tamtej strony, nacisnął klamkę. Dębowe, obite od wewnątrz blachą pancerną, ocenił je policjant. Żeby takie drzwi otworzyć, trzeba podłożyć ładunek wybuchowy.

– Panie komendancie, jestem na podwórku domu burmistrza – powiedział do słuchawki radiotelefonu. – Nigdzie żadnego śladu żywego ducha. Drzwi pozamykane na cztery spusty. Cicho jak na cmentarzu o dwunastej w nocy. Co robić?

– Może jakieś okienko jest otwarte? Albo garaż...?

– Sprawdzę i zameldуję.

Drzwi we wrotach do garażu były uchylone jakby ktoś wyszedł przez nie do ogrodu i za chwilę zamierzał tą drogą wrócić do domu. Policjant zajrzał za altankę, gdzie dojrzewały warzywa, lecz nikogo nie dostrzegł. Wrócił więc na wybetonowany podjazd i ostrożnie uchylił drzwi, a gdy snop światła wdarł się do garażu i oświetlił jego wnętrze, posterunkowy miał po prawej stronie zielonego opla, przed sobą korytarzyk, za którym były drzwi na pięterko. Chwyciwszy klamkę samochodu przez chusteczkę, zajrzał do środka, ale niczego co by go zaciekawiło tam nie znalazł, złożył więc chusteczkę w cegiełkę i schował ją do kieszeni bluzy. Po chwili ją wyjął i znowu rozłożył, stąpając po wąskich schodach, starał się niczego nie dotykać ręką czy nawet ramieniem, mimo że w korytarzyku panował półmrok.

– Halo, jest tu kto? – odezwał się, stanąwszy w przedpokoju koło wieszaka, z którego zwisał granatowy płaszcz z jasnym kołnierzem. Przypomniał sobie, że w tym płaszczu burmistrz ostatnio codziennie przychodził do ratusza. Zapamiętał go dobrze, bo płaszcz sięgał łydek Lomysa i był trochę za obszerny. Pociągnął nosem, lecz niczego poza zapachem zwyczajnej pasty do podłóg nie czuł. – Halo, panie burmistrzu! – zawołał głośniej.

Cisza, tylko tykanie zegara w przedpokoju dodawało mu odwagi. Zrobił kilka kroków, zatrzymał się przed szeroko rozwartymi drzwiami do dużego pokoju, w którym obok kominka stał telewizor marki Blaupunkt, taki sam, jaki posterunkowy kupił zeszłego roku w sklepie młodego Pampucha. Wetknął głowę do kuchni i łazienki, nawet zajrzał do spiżarni i szafy, lecz niczego nie dostrzegł, co by zajęło jego myśli.

Po schodach wszedł na piętro, otwierał drzwi i zaglądał przez nie, zazdroszcząc Lomysowi wszystkiego, z czym jego oczy zetknęły się w sypialni, garderobie i pokoju gościnnym.

Po co burmistrzowi tyle foteli, szafek, dywanów, jeśli on całymi dniami siedzi za biurkiem w ratuszu albo chodzi z zebrania na zebranie? Przecież burmistrzowa musi to sprzątać. Na ogrzanie domu Lomys pewnie wydaje więcej pieniędzy niż ja zarabiam miesięcznie, pomyślał naciskając klamkę do pokoju za łazienką.

– Przepraszam – powiedział i speszony natychmiast wycofał się na korytarzyk. Zrobiło mu się głupio, bo przecież nie powinien zaglądać do pokoi, tym bardziej że bez wiedzy burmistrza wszedł do jego domu. Zgiął palec wskazujący i uniósł rękę, żeby zapukać do drzwi, gdy zdał sobie sprawę z tego, że głowa Lomysa, której tylko czubek widział w fotelu, nawet się nie poruszyła. Pewnie w nocy wrócił z zebrania i zmęczony zasnął na siedząco. Ja też jak sobie czasem popiję, to śpię gdzie popadnie i niczego nie słyszę. – Panie burmistrzu – odezwał się szeptem. Ostrożnie, nie chcąc go nagle wyrwać ze snu, na palcach podszedł do fotela i opuszkami palców dotknął ramienia Lomysa. – Panie burmistrzu... – Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz nic mu nie przychodziło na myśl, więc potrząsnął jego ramieniem mocniej. – Jezu! – wrzasnął i odskoczył aż pod drzwi, gdy głowa Lomysa opadła na poręcz fotela, a on dostrzegł zakrzepłą krew na jego szyi. Struchlały nie wiedział, czy wzywać lekarza, bo może burmistrz jeszcze żyje, czy wyciągnąć zza pasa słuchawkę i przez radiotelefon opowiedzieć komendantowi, co się stało.

Żaden pijus z placu autobusowego nigdy tak nie klął jak komendant po tym, co mu odbwieścił posterunkowy.

– Dwa trupy w ciągu jednego tygodnia! Tylko pojechałem na wesele do Leszna, a wy nie potraficie utrzymać porządku! Ile to nieboszczyków od stycznia?

– Profesorka, dentystka i dziwka z Polanu – przypomniał mu starszy posterunkowy, załamując palce. – Na szczęście, szefie, w tym roku nic się nie wydarzyło u Kiry w Paradise, bo w zeszłym...

– Wszystkie tamte roboty to kaszana na zimno. Były i jakby ich nie było. Teraz dwie osoby zaciachane w iden-

tyczny sposób. A jeden burmistrz znaczy więcej niż wszyscy dotąd zakatrupieni. Na twój nos... kto go zaszlachtował? Urodziłeś się w Sławie, uczył cię w szkole, miał wrogów?

– Każdy ma.

– Wiesz coś o nich?

Starszy posterunkowy wzruszył ramionami.

– Jakby tak pogrzebać w papierach, może coś by się znalazło.

– To musi być sprawa polityczna – orzekł komendant, nie zastanawiając się nad tym, co powiedział. – Komu przeszkadzał Lomys? Był zły albo nie dawał, jak go ktoś mocno prosił? Myślisz, że nowy burmistrz będzie lepszy? A kogo wybiorą na miejsce Lomysa?

– Jak nie wybiorą miejscowego, to przywiozą ze Wschowy.

– Balzer już może sobie kupować paradny garnitur.

– Nie byłbym taki pewny jak pan komendant, że rzeźnik wygra wybory.

Po południu wszyscy w miasteczku wiedzieli, co się stało poprzedniego wieczora. Wtedy też sekretarka Pampucha zadzwoniła do komendanta i powiedziała przyciszonym głosem, jakby ujawniała mu jakąś tajemnicę, żeby sprawdził, czy dwaj mężczyźni, którzy w niedzielę uciekli ze szpitala psychiatrycznego i, jak wynika z komunikatów powtarzanych od rana przez Radio Zachód, ukrywają się na południu województwa, zamordowali Lomysa i Kostasa.

– Jeden może mieć trzydzieści lat, drugi wygląda na niewiele starszego – dodała, a komendant natychmiast przeniósł wzrok zza okna na zdjęcia przysłane telefaksem z komendy wojewódzkiej. – Wczoraj przed wieczorem i dziś rano kręcili się koło zakładu. Mój szef spotkał ich parę minut temu przy drodze do Wijewa. Zresztą inni pracownicy też widzieli, jak dwaj mężczyźni zbierali jabłka w sadzie za naszym płotem.

Komendant nawet nie podziękował jej za wiadomość. Pomyślał struchlały, że gdyby nadkomisarz dowiedział się o tym nie od niego, lecz od sekretarki Pampucha, a przecież mogła zadzwonić wprost do Syskiego, by go obtańcował jak

święty Michał diabła, toteż krzyknął na posterunkowego:

– Szwendacie się po mieście jak smród po gaciach i nie widzicie, że poszukiwani za wami łażą! Do wozu!

Ale na skarpie przy drodze za rzeźnią i w sadzie gubiącym jabłka nie było nikogo, nawet dzieci zwykle o tej porze wykradających się z domów pod byle pretekstem. Komendant kazał posterunkowemu zatrzymać poloneza w cieniu dęba na skraju lasu i czekać, bo może ktoś będzie tędy jechał lub szedł do Wijewa. Co najmniej pół godziny obserwowali ruch na asfaltówce, słuchali radia i zastanawiali się, gdzie szukać uciekinierów, jeśli ich tu nie spotkają. Ze Sławy wszędzie jest daleko i wszystkie drogi wymykają się z miasteczka wzdłuż jeziora, nikt nie może więc uciec niepostrzeżenie. Komendant postanowił, że jeśli schwyta uciekinierów to najpierw sam ich przesłucha, a dopiero później powiadomi Syskiego o swoim sukcesie. Dzięki współpracy miejscowego społeczeństwa z policją doprowadziłem sprawę do końca, pochwali się nadkomisarzowi. Oto są mordercy burmistrza i Greka. Może pan stawiać ich przed sądem.

– Wracamy – zdecydował nagle. Posterunkowy przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik poloneza już zaskoczył, gdy komendant syknął: – Wyłącz. – Raptem skulił się w fotelu, jakby przed kimś się ukrywał i pokazał palcem na dwóch mężczyzn w pidżamach wychodzących z lasu. – Tylko spokojnie.

Posterunkowy uśmiechnął się zadowolony i zanim komendant otworzył drzwi samochodu, sięgnął po pistolet. Dawno go nie wyjmował z kabury, już nawet nie pamiętał, czy w magazynku są naboje. Stój, policja! – zaraz krzyknie i na wszelki wypadek ostrzeże uciekinierów: – Stój, bo strzelam! Jeśli wariaci pobiegną między sosnami na wschód, drogę przetną im stawy pod Wijewem. Po prawej stronie drzemie wieczorny sad i rzeźnia Pampucha otoczona betonowym płotem, między polami po lewej ciągnie się nitka torów kolejowych, za którą jest ośrodek wypoczynkowy Paradise, a dalej bagnisty brzeg jeziora.

– Nie uciekną – powiedział posterunkowy, jakby już schwytał obu mężczyzn.

A oni nawet nie próbowali uciekać. Brudni, zarośnięci, podeszli do poloneza i poprosili policjantów o chleb.

Najpierw komendant kazał dyżurnemu zamknąć uciekinierów w pojedynczych celach nie na parterze, gdzie przetrzymywał złodziejaszków i pijaczków, lecz w ciemnicy piwnicznej, później zawołał starszego posterunkowego i polecił mu, żeby wstępnie ich przesłuchał, a sam zadzwonił do Pampucha z podziękowaniem za pomoc, bo przecież po wyborach on zostanie burmistrzem i najpóźniej za miesiąc będzie dobierał sobie współpracowników. Gdyby Lomys żył, zadzwoniłby do niego, jak to robił przez wszystkie lata, gdy mu się coś udało. Komendant zawsze będzie policjantem, ale nie zawsze komendantem, a ma już tyle lat, że wolałby rozkazywać, a nie czekać na rozkazy i składać meldunki.

Na podstawie pobieżnych oględzin martwego ciała i wstępnej opinii lekarza sądowego aspirant doszedł do wniosku, że ten sam nożownik, który przed północą zamordował Kostasa na jeziorem, poderżnął gardło burmistrzowi. Najpierw za zgodą Lomysa lub niepostrzeżenie dostał się do willi, gdzie uśmiercił gospodarza, potem zaatakował Greka. Mordercą może być więc ktoś, kogo burmistrz dobrze znał. Ale kto? Co łączyło zabójcę z ofiarami? I dlaczego z willi nic nie zginęło? Na razie na żadne pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć, mimo że aspirant tłumaczył policjantom, jak można stworzyć portret pamięciowy nożownika. Jedynie doktor Szpak próbował go przekonać, żeby szukał zabójcy wśród pracowników rzeźni.

– Sugeruje pan, abyśmy przesłuchali dwustu chłopów?

– I drugie tyle zwolnionych z pracy w ciągu ostatnich miesięcy – dorzucił komendant. – W rzeźni ludzie często się zmieniają. Dlatego ja bym dał sobie spokój z tymi co jeszcze pracują, a wziął się za obiboków.

– Szukanie igły w stogu siana – stwierdził nie bez racji aspirant. – On sam musi wpaść w nasze ręce. Na dwóch trupach nie skończy.

– A jeśli to zawodowiec pracujący na zlecenie? – spytał lekarz.

– Kto by go wynajął i po co? Zapewne mamy do czynienia z chorym mordercą, który w ten sposób mści się na miesz-

kańcach – przekonywał aspirant. – On się jeszcze odezwie.

– Nie wolno czekać, aż sam wpadnie. Do tego może nawet nie dojść – powiedziawszy to, Syski skarcił swego pomocnika wzrokiem. – Morderca mieszka w pobliżu i ma coś wspólnego z rzeźnictwem. Jest nim ktoś, czyje nazwisko dotąd nie zostało wymienione.

Komendant nie miał odwagi przyznać się, że dwaj uciekinierzy ze szpitala psychiatrycznego, których zatrzymał na skraju lasu, okazali się mężczyznami chorymi na schizofrenię maniakalną.

– Za dobrze znam ludzi w Sławie, żeby kogokolwiek oskarżyć – powiedział do nadkomisarza. – Mordercą musi być ktoś przyjezdny.

– Pytał pan we wszystkich ośrodkach? Co mówią ich właściciele i kierownicy? Może ktoś czymś się zdradził?

– Mógł to być wędkarz albo turysta z namiotem.

Gdy tak rozmawiali w ogródku, z sąsiedniego domu wyszła żona Pampucha i nieśmiało poprosiła policjantów o wysłuchanie. Komendant zrobił wielkie oczy, bo pierwszy raz przyszła bez wezwania. Po zabójstwie Stolarskiej aspirant kilka razy usiłował ją przesłuchać, lecz zawsze wykręcała się brakiem czasu lub straszyła go mężem.

– *De facto* pan Kostas był *spiritus movens* jak służący u Lomysa. Wykonywał najczarniejszą robotę, łącznie z wrzucaniem węgla do piwnicy i koszeniem trawników. Proszę nie sądzić, że *par excellence* coś sugeruję, co to, to nie, panowie. Uważam jednak, że mój sąsiad wykorzystywał go nadmiernie. To była jedna z jego wielu zasadniczych wad. Człowiek z taką wadą nie powinien zajmować stanowiska burmistrza. O cechach charakteru kolegi Lomysa mogłabym długo opowiadać, jako że kiedyś pracowałam z nim w tej samej szkole, a od blisko dziesięciu lat mieszkam obok – wskazała głową willę jeszcze większą niż ta, przed którą mówiła do policjantów. – Za pensję burmistrza *de facto* nie można utrzymać takiego domu na przyzwoitym poziomie, wiem coś o tym, chyba że się wykorzystuje stanowisko lub angażuje do darmowej pracy najuboższych mieszkańców...

– Co pani chciałaby nam powiedzieć? – przerwał jej oracje Syski.

– A więc *ad rem*, skoro panowie są tacy niecierpliwi. Przed południem pan Kostas najpierw wycinał zeschnięte piwonie z kwietnika przed werandą. Proszę się obejrzeć i sprawdzić, że mówię prawdę. Potem zbierał liście do worka i palił je na ogrodzie za altanką. Nawet zwróciłam mu uwagę, by nie dorzucał do ognia łodyg piwonii, bo są za mokre i nie spalą się do końca. W tym czasie, ale niech to zostanie między nami, Lomys oglądał telewizję w tak zwanej bibliotece. Jaka to jest biblioteka... Przepraszam, rozumiem, że nie mają panowie za dużo czasu – powiedziała, gdy Syski otworzył usta i usiłował zadać jej pytanie. – I wtedy właśnie go zamordował.

– Kto?

– Pan mnie nie słuchał, a tak się starałam. Oczywiście, że Grek. Przecież nikogo obcego poza nim tu nie było. Lomysowa wyjechała do sanatorium. Nawiasem mówiąc, jej to sanatorium... Przepraszam, zagalopowałam się. Jeśli nie Kostas zamordował Lomysa, to kto inny, skoro nikt poza nim nie wchodził do domu? Przecież nie sądzi pan, że ja to zrobiłam czy mój mąż.

– Na jakiej podstawie doszła pani do wniosku, że mordercą jest Kostas?

– Pan jest niepoprawny w tym swoim dociekaniu. I *de facto* niegrzeczny w zadawaniu pytań – oburzyła się i wzrokiem przeszyła aspiranta na wskroś, aż się zaczerwienił.

– A dlaczego to zrobił? Miał powody? – starał się ją udobruchać Syski.

– Musiał mieć – podkreśliła żona Pampucha. – Może Lomys nie chciał mu zapłacić za pracę w ogóle lub dawał za mało?

– Czy jeszcze ktoś widział, jak Kostas pracował u Lomysa? Na przykład mąż pani.

– Zazwyczaj mąż niewiele przebywa w domu. Większość czasu spędza w firmie, bo musi pan wiedzieć – mówiła tylko do Syskiego – że stał się właścicielem renomowanej, co ja mówię? najlepszej w naszym regionie przetwórni mięsa. Teraz, kiedy kandyduje na stanowisko burmistrza, w domu spędza jedynie krótkie noce. Jeśli wygra wybory, syn będzie musiał przejąć firmę. Czy sobie poradzi?

W chwilę później posterunkowy znalazł nóż rzeźnicki między niedopalonymi łodygami piwonii. Na jego ostrzu była zakrzepła krew.

– Trzeba szybko sprawdzić, czy jest to krew jednego denata czy może obu ofiar – powiedział Syski do aspiranta, podziękowawszy wcześniej żonie Pampucha za spostrzeżenia. Chciała jeszcze coś dodać, lecz on już nie słuchał. – Na rączce pewnie pozostały jakieś odciski palców. Niech nasi sprawdzą, czy należą do Kostasa.

– Albo do Lomysa.

– Wykluczone – stwierdził nadkomisarz i widząc, że aspirant nie zrozumiał, co ma na myśli, wyjaśnił: – Doktor uważa, że burmistrz został zamordowany co najmniej godzinę wcześniej niż Kostas, a tym samym Lomys nie mógł pójść nad jezioro i tam poderżnąć gardło Grekowi. Kostas zaś mógł zamordować Lomysa w jego domu, tym bardziej że Pampuchowa widziała go, jak kręci się wokół domu, ale o tym przekonamy się, gdy laboratorium poda nam wyniki oględzin noża. Jeśli na ostrzu będzie krew Lomysa, a na rączce odciski palców Kostasa, rzecz nie podlega dyskusji. I tego się spodziewam, chociaż mam wątpliwości, czy starszy mężczyzna, traktowany jak członek rodziny, a tak odnosił się Lomys do Kostasa, może dopuścić się aż tak potwornej zbrodni. W takim razie kto zamordował Greka?

– Jest jeszcze jeden dowód na niewinność burmistrza – wtrącił doktor Szpak i umilkł.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– W sprawach kryminalnych jestem laikiem – zastrzegł się chirurg jakby chciał usprawiedliwić to, co zamierzał powiedzieć. – Morderca Kostasa jest osobą silną, wysoką i leworęczną, w co nie wątpi lekarz sądowy. Ale nie wiemy, czy zabójca Lomysa jest również silny i wysoki, wiemy natomiast, że jest praworęki.

– Skąd pan to wie? – spytał aspirant.

– Wskazuje na to sposób przecięcia skóry szyi: od lewej do prawej strony.

– Rzeczywiście – potwierdził lekarz sądowy, dopiero teraz traktując Szpaka z szacunkiem. – Kolega doktor ma rację.

– To powinno nam ułatwić śledztwo – ucieszył się aspi-

rant. – Nie sądzę, żeby w Sławie mieszkało zbyt wielu mańkutów. Jest ich więcej niż dziesięciu?

– Nie wiem – przyznał się Szpak, mrużąc oczy. – Nigdy nie zastanawiałem się nad tym.

– A ja jednego znam – powiedział posterunkowy i pokazał głową na willę Balzera. – Młody pisze lewą ręką.

Syski zdecydował, że zanim wezwie młodego Pampucha do komisariatu na przesłuchanie, ktoś spośród policjantów nie tylko musi śledzić każdy jego krok, lecz i natychmiast porozmawiać z nim choćby nawet w jego sklepie. Komendant niezbyt palił się do tej pracy, a dwaj posterunkowi byli w wieku syna Pampucha, toteż nadkomisarz wyłączył ich z tej części śledztwa.

Aspirant oglądał paszport Pampucha przez lupę i w świetle latarki, ale niczego nie dostrzegł, co by wskazywało, że zdjęcie zostało przeniesione z innego dokumentu, a pieczątki polskiej i greckiej straży granicznej są fałszywe.

– O godzinie osiemnastej wyleciałem z lotniska Macedonia w Salonikach. Tuż po dziewiętnastej czasu polskiego byłem na Okęciu. Stamtąd za czterdzieści trzy złote pojechałem taksówką na dworzec Warszawa Centralna. O dwudziestej pierwszej wsiadłem do pociągu pośpiesznego do Zielonej Góry. W Sławie byłem rano o piątej, a o dziesiątej otworzyłem sklep – bez zająknięcia wyjaśnił młody Pampuch.

– Rozumiem, że był pan w Grecji na wycieczce. Z którym biurem podróży?

– Prywatnie. Bilet na samolot kupiłem w Locie. Ubezpieczyłem się w Warcie.

– Musi pan znać język... – zawiesił glos – grecki.

– Podczas studiów z zakresu informatyki na Politechnice Zielonogórskiej mieszkałem w akademiku z Giorgosem Mysivilisem, Grekiem urodzonym w Sławie. Jego ojciec był nauczycielem matematyki w technikum, a matka księgową w domu kultury. Mówili po polsku poprawnie, ale niezbyt dobrze się czuli, więc zaraz po obradach Okrągłego Stołu oni i ich dwie córki wrócili do Grecji. Giorgos pojechał tam dopiero po studiach, ale umówiliśmy się, że będziemy do siebie

pisali i się odwiedzali. W zeszłym roku on z żoną cały lipiec spędził w Sławie na mój koszt, w tym roku zrewanżował mi się wczasami nad Morzem Egejskim.

– Długo był pan w Grecji?

– Dokładnie od połowy sierpnia, kiedy tam upał nie do zniesienia, o czym przekonałem się na miejscu, do połowy września, kiedy najwięcej tam owoców – odparł Balzer bez namysłu.

Aspirant jeszcze raz obejrzał stemple straży granicznej w jego paszporcie. Nie kłamie, orzekł w myślach, i mówi tak przekonywająco, jakby rzeczywiście był niewinny. Kto ma coś na sumieniu, czerwieni się, spogląda na zegarek, pali papierosa za papierosem, miętosi chusteczkę, wyciera ręce o spodnie, jąka się, cedzi słowa. Winnego zawsze zdradzi umykający wzrok.

– W jakiej miejscowości pan przebywał?

– Giorgos mieszka w Stratonikach, miasteczku położonym w pobliżu Poligiros na półwyspie Chalcydyckim, nieco ponad sto kilometrów na południe od Salonik.

– Będzie pan uprzejmy zapisać te nazwy.

Prawą ręką Pampuch wyrwał kartkę z notesu, wziął długopis do lewej dłoni i bez słowa komentarza posłusznie zrobił to, o co go prosił policjant.

Leworęki, ucieszył się aspirant, jakby już miał mordercę Kostasa, nagle zapominając o tym, że Pampuch dopiero dziś rano wrócił do Sławy. Ale kto podciął gardło Lomysowi? Pewnie to również jego sprawka?

– A może mi pan podać dwa paluszki alkaliczne – pokazał na półkę, gdzie leżały drogie baterie. Jeśli Pampuch wyciągnie po nie lewą rękę, będzie to niezbity dowód na to, że jest mańkutem, pomyślał, lecz sprzedawca chwycił baterie palcami prawej dłoni. – I niech pan zapisze ich cenę na karteczce.

Tym razem Pampuch wziął długopis do prawej ręki.

– Zauważyłem, że pan bardzo sprawnie posługuje się lewą i prawą ręką, ja bym tak nie potrafił – przyznał się aspirant.

– Być może byłbym mańkutem, gdyby nie zapobiegliwość mojej mateczki. Jako nauczycielka zwracała uwagę na to, abym pisał prawą ręką jak moi rówieśnicy. I do czasu ukoń-

czenia podstawówki we wszystkim posługiwałem się wyłącznie prawą ręką, później powoli stawałem się oburęczny, a im jestem starszy, tym częściej zapominam o nauce mamy i piszę ręką lewą. Ale to nie znaczy, że we wszystkim pozostałym jestem lewusem – roześmiał się Pampuch i dopiero teraz spytał, czy policja wpisała również jego nazwisko na listę podejrzanych o zamordowanie burmistrza. – Lomys też był moim nauczycielem.

Zamiast odpowiedzieć, aspirant uprzedził go, że bez zgody komendanta nie powinien wyjeżdżać ze Sławy nawet do hurtowni w Zielonej Górze.

– Młody Pampuch ma tak mocne alibi, że dalsze przesłuchiwanie go jest stratą czasu – oświadczył aspirant po powrocie do komisariatu.

– Czy przyznał się panu, że ćwiczył zapasy klasyczne? – spytał komendant.

Aspirant potrząsnął głową.

– A że uprawiał karate i lewą ręką rozbijał dwie cegły?

Aspirant znowu potrząsnął głową i się zaczerwienił.

– W takim razie nie można go wykluczyć z grona podejrzanych.

– I nigdy nie będzie można go oskarżyć, szefie. Gdzie indziej powinniśmy szukać sprawcy – powiedział aspirant, z ukosa przypatrując się komendantowi. Czy ten facet czasem kogoś nie kryje? Dlaczego tak mu zależy na oskarżeniu młodego Pampucha? Może wie, kto jest winny i liczy na to, że im dłużej dochodzenie będzie się ciągnęło, tym trudniej udowodnić winę nawet stuprocentowemu winowajcy. – Czy to możliwe, żeby w Sławie mieszkał tylko jeden mańkut, jeśli Kostasa na pewno zaciachał leworęki?

– Na pewno – powiedział z naciskiem Syski. – Z protokołu sekcji zwłok wynika to, co wcześniej sugerował miejscowy lekarz: Kostas został zamordowany przez osobę posługującą się lewą ręką, dość silną, raczej niewiele mającą do czynienia ze środowiskiem miejscowej inteligencji, a więc bezwzględną i o ptasim móżdżku. Dotarcie do sprawcy tego mordu będzie bardzo trudne, być może nawet wykluczone,

dlatego pan komendant podejrzewa każdego. Kto zabił Lomysa, już się domyślam, pewności jednak nabiorę dopiero po przeprowadzeniu badania osmologicznego.

Komendant coś słyszał o wykorzystaniu osmologii w kryminalistyce, ale nie wiedział, jak się przeprowadza takie badanie, a jego podwładni nawet nie starali się zapamiętać nazwy. Osmologia sądowa jako metoda identyfikacji człowieka jest dopiero na początku drogi, toteż aspirant usiłował sobie przypomnieć, czy jakikolwiek sędzia potraktował taki dowód na równi z innymi.

– A kiedy zostanie przeprowadzone to doświadczenie? – zainteresował się.

– Zaraz – odparł Syski, też ciekawy, jak się takie badanie przeprowadza.

W obecności nadkomisarza, aspiranta i lekarza sądowego laborant przytknął wyjałowioną gazę do dłoni i koszuli Kostasa, a po upływie trzydziestu minut owinął ją folią aluminiową i schował do szczelnego słoika. Nadkomisarz domyślił się, że gaza jest czymś w rodzaju pochłaniacza zapachów. Nawet najgenialniejszy przestępca pozostawia po sobie zapach, który wnika w obuwie, odzież, zostaje na przedmiotach, i nie można go ani zlikwidować, ani zneutralizować przy pomocy środka chemicznego. Jeśli więc Kostas zamordował Lomysa, czego Syski jest pewny, to po wejściu do willi przy ulicy Sportowej Grek musiał dotykać poręczy schodów, klamki, fotela, koszuli ofiary. Do tych miejsc laborant również przykładał gazę i ją opatulał folią, a następnie zamykał w słoiku. Trzecią osobą, którą Syski kazał poddać badaniu osmologicznemu był młody Pampuch.

Ustawiwszy słoiki z próbkami zapachowymi na podłodze w dość dużej odległości od siebie, laborant podniósł dekielki.

– Badaj – polecił sierżant owczarkowi niemieckiemu.

Pies wtykał swój nos do każdego słoika, a po minucie Syski wiedział, że ostatnią osobą, z którą rozmawiał Lomys przed śmiercią, był Kostas. W chwilę później jeszcze raz zajrzał do protokołu oględzin noża znalezionego między niedopalonymi łodygami piwonii.

– Grek poderżnął gardło burmistrzowi – stwierdził.

– Też tak myślałem – przyznał się komendant. – A na ja-

kiej podstawie doszedł kolega do takiego wniosku?

Syski pokazał mu protokół, w którym było czarno na białym, że identyczną grupę krwi jak na ostrzu noża rzeźnickiego miał Lomys, zaś wśród wielu śladów na rękojeści zostały odciski linii papilarnych Kostasa.

– Upewnił mnie zapach wskazany przez psa – dodał nadkomisarz, podnosząc głowę na laboranta, jakby go prosił o potwierdzenie wniosku. – Dlaczego to zrobił, skoro, jak twierdzi Pampuchowa, Lomys mu pomagał, tego pewnie nigdy się nie dowiemy, chociaż będziemy się starali poznać prawdę.

– Kto w takim razie zamordował Kostasa? – spytał komendant komisariatu.

Po chwili ciszy niepewnym głosem odezwał się aspirant:

– Leworęki nożownik.

Syski tylko kiwnął głową.

Tyle ludzi, ile piątkowego popołudnia przyszło na cmentarz, nie było nawet na zeszłorocznym pogrzebie starego proboszcza, chociaż ksiądz przez blisko ćwierć wieku chrzcił, spowiadał i łączył w pary tysiące sławian. Wśród nich powinien stać leworęki morderca Kostasa. Jak on wygląda? – zastanawiał się nadkomisarz, komendant i jego dwaj podwładni oraz ośmiu policjantów przebranych za grabarzy, którym Syski polecił obserwować spod daszków czapek twarze żałobników, sam zaś przysłuchiwał się rozmowom miejscowych przedsiębiorców i polityków. Mimo to po zakończeniu uroczystości, a trwały one co najmniej półtorej godziny, bo najpierw Pampuch jako przewodniczący Rady Miejskiej pompatyczną mową pożegnał Lomysa jakby był on nie burmistrzem miasteczka, lecz prezydentem kraju, potem jego zastępca opowiadał o przejściach Greka, a i ksiądz, zanim odmówił modlitwę za zmarłych, też wystawił pomnik obu nieszczęśnikom i nie omieszkał zaznaczyć, że ofiara spoczywa obok swego kata, Syski nadal niewiele wiedział o mordercy Kostasa.

– Wstyd – przyznał się aspirantowi. – Pewnie prokurator będzie musiał umorzyć śledztwo.

– W ostateczności można je zawiesić i do sprawy wrócić, kiedy coś się wyjaśni.

– Komendant mówi, że doktor Szpak rozpuścił wici po miasteczku. Każdego, kto przychodzi do lecznicy po poradę albo z dzieckiem do szczepienia, przepytuje, czy zna jakiegoś mańkuta z rzeźni. Bez uprzedzenia komendanta wyznaczył nagrodę za wskazanie nożownika.

Na początku października, kiedy do gabinetu burmistrza wprowadził się Balzer i pierwszą decyzją, jaką podjął bez wahania, była zmiana komendanta komisariatu i sekretarki w ratuszu, redaktor Sateck spotkał nadkomisarza Syskiego w zielonogórskiej galerii U Jadźki, do której ludzie zaglądali nie tylko po to, żeby kupić obraz. Galeria była w samym centrum miasta, skąd parę kroków do zadbanych restauracji wokół rynku, do hotelu Śródmiejskiego, do kilku banków, do postoju taksówek i parku z ławeczkami przy konkatedrze. Usiedli przy barze, redaktor poprosił właścicielkę galerii, żeby im podała coś w szklankach, czego nie trzeba słodzić, a co rozwiązuje języki i w chłodny dzień szybko rozgrzewa ciało. Daniel wrócił z dwutygodniowego urlopu we Włoszech, dokąd na Boże Narodzenie wybiera się żona Syskiego, miał więc nadkomisarz dużo pytań do niego. Gdy redaktor wyjaśnił mu wszystko i opowiedział, co zrobiło na nim największe wrażenie, a ciągle miał przed oczyma niszczejące pałace w centrum Wenecji, spytał policjanta, jak się zakończyło poszukiwanie zabójcy burmistrza i Greka w Sławie, bo wczoraj rozmawiał z nowym burmistrzem miasteczka i chciałby coś napisać na ten temat, lecz ma głowę pełną wątpliwości, czy swoim artykułem nie wypłoszy nożownika.

– Przypuszczalnie Kostas poderżnął gardło Lomysowi. On się do tego nie przyznał, bo i jego w identyczny sposób ukatrupił leworęczny morderca. Kto i dlaczego to zrobił, nie wiem i nie mogę znaleźć punktu zaczepienia, chociaż przesłuchałem większość sławskich pijaczków, stróży nocnych, mańkutów. – Syski opróżnił szklaneczkę, zacisnął prawą dłoń i wymachując nią, co zwróciło uwagę bywalców galerii, dodał, jakby się tłumaczył: – Ale nożownik wpadnie w moje

ręce. Nie odejdę na emeryturę, póki go nie znajdę. To sprawa honorowa, tym bardziej że i aspirant zaczyna mi dokuczać.

Syski poprosił właścicielkę galerii o podwójną whisky, tym razem z lodem, Daniel zaś pił drobnymi łykami brandy.

– Spytałem cię o tę sprawę nie bez powodu – przyznał się redaktor.

– Kiedy ją zakończę, dam ci znać po to, żebyś zdjęcie nożownika wydrukował na pierwszej stronie gazety jeszcze przed wydaniem wyroku.

– Być może to zdjęcie już się ukazało w gazecie. Ostatni raz na dwa dni przed zakończeniem tegorocznych wyborów komunalnych – dodał Daniel, robiąc zagadkową minę.

Nadkomisarz na chwilę znieruchomiał i, usiłując sobie przypomnieć piątkowe strony gazety z drugiej połowy września, spytał:

– W rubryce „Policja prosi o pomoc"?

– To, co ci za chwilę opowiem, jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni, choć może, a pewnie i powinno zostać potraktowane jako hipoteza łatwa do uzasadnienia – zaznaczył Daniel, zlekceważywszy pytanie Syskiego. – Na polu boju o fotel burmistrza Sławy stanęło na wprost siebie dziewięciu facetów. Wszyscy wiedzieli, że szansę mają jedynie Lomys i Pampuch, chociaż niektórzy liczyli na szefa chłopskiej Solidarności. Lomys miał największy elektorat choćby dlatego, że w przeszłości był lubianym nauczycielem, nie należał do żadnej partii, bywał u księdza, a ksiądz u niego, co w takim miasteczku jak Sława jest bardzo ważne, zresztą nie muszę ci tego tłumaczyć. Pampuch też nieźle żył z proboszczem, a nawet, na co Lomysa nie było stać, dał trochę gotówki na malowanie kościoła. Kiedy w sierpniu zaczęła się kampania wyborcza, szef chłopskiej Solidarności ogłosił, że jeśli obaj jego konkurenci nie wycofają się z kampanii, to on ujawni coś, czym ich skompromituje do końca życia, mimo to nikt nie wycofał się z pola walki. A Lomys z tego powodu zrezygnował nawet z wyjazdu do sanatorium, chociaż jego żona załatwiła wszelkie formalności w kasie chorych. Wszyscy powołali komitety, założyli konta w bankach, prześcigając się pomysłami na gadżety i reklamy, na okrągło fundowali kiełbasę wyborczą. Kto przyszedł na zebranie do świetlicy

wiejskiej i oświadczył, że odda głos na właściciela rzeźni, dostał ćwiartkę wódki i pęto kawałek kiełbasy zwyczajnej. Mieszkańcom Goli Pampuch obiecywał budowę chodnika przez wieś, krążkowianom tłumaczył, jakim dobrodziejstwem jest gotowanie na gazie, gdy on jako burmistrz doprowadzi gazociąg do ich osady, a przy okazji zrujnowaną świetlicę zamieni na rzeźnię, gdzie będzie miejsce pracy tuzina młodych mężczyzn. Lomys też coś obiecywał, ale jako bardziej doświadczony w sprawowaniu urzędu wiedział, że musi robić to inaczej niż jego rywal, tym bardziej że był pewien zwycięstwa i zdawał sobie sprawę z tego, że za cztery lata ludzie zechcą go rozliczyć z obiecanek. W przeciwieństwie do pozostałych kandydatów szef Solidarności nie organizował żadnych zebrań i to zastanawiało wyborców, a najbardziej Pampucha i Lomysa.

– Streszczaj się.

– Dwa tygodnie przed niedzielą wyborczą na placu boju pozostali jedynie solidaruch, Pampuch i Lomys. I wtedy ktoś zrobił to, co zrobił, a co tobie nie daje spokoju. Ten ktoś wiedział, że Lomysowa pojechała do sanatorium i szybko nie wróci, a jej mąż nie ma czasu na porządkowanie ogrodu. Namówił więc Greka, żeby poszedł do Lomysa i, jak to często robił jesienią, posprzątał przed jego domem, za co dał mu kilka złotych. Do pracy u burmistrza nie trzeba było Kostasa długo przekonywać, dał mu więc jeszcze kilka złotych i dołożył nóż rzeźnicki. Ten sam nóż, który posterunkowy znalazł między niedopalonymi piwoniami. Wieczorem Lomys będzie siedział w bibliotece i coś pisał czy czytał albo oglądał telewizję, powiedział ten ktoś do Greka. Cicho wejdziesz tam i tym nożem poderżniesz gardło burmistrzowi. Nikt się nie dowie, zapewnił Greka, a ty oprócz pieniędzy, które już otrzymałeś, dostaniesz za to mieszkanie i jakąś robotę. Czy Kostas zgodził się od razu, tego z jego ust nigdy się nie usłyszymy, ale kto inny może nam to powiedzieć. Kto, o tym na końcu. W każdym razie, o czym wiesz na podstawie oględzin lekarskich i badań laboratoryjnych, wieczorem za pomocą noża rzeźnickiego Kostas uśmiercił Lomysa. Jednego Grek nie przewidział: że sam zostanie ofiarą. Gdy późnym wieczorem wracał ścieżką wzdłuż jeziora, facet, który kazał mu zamor-

dować Lomysa, zaszedł go od tyłu i zdzielił w głowę, czym go zamroczył, następnie prawą ręką chwycił go za brodę i głowę odchylił do tyłu, a trzymanym w lewej nożem poderżnął gardło. Zrobił dokładnie to samo, co Kostas burmistrzowi, tyle że lewą ręką...

– Póki nie usłyszę tego z ust Pampucha, będę uważał to wyłącznie za dziennikarską fantazję – przerwał mu policjant.

– Jeszcze nie powiedziałem, kto jest mordercą.

– Solidaruch? W młodości uprawiał zapasy, bary ma jak wrota stodoły...

– Zawsze po wyborach gazeta pokazuje sylwetki tych, którzy weszli do nowych samorządów. Mnie w tym roku przypadła Sława. Umówiłem się więc przez telefon z burmistrzem na rozmowę, ale nie w ratuszu, gdzie on, jak mi tłumaczył, jeszcze niezbyt pewnie się czuje, chociaż popłoch wśród urzędników tam ogromny, lecz w jego rzeźni. Zanim usiedliśmy w gabinecie, oprowadzał mnie po zakładzie. Mimo że znam się na masarstwie jak zając na muzyce organowej, przytakiwałem mu, udając zainteresowanie. Na koniec zadowolony Pampuch zaprowadził mnie do magazynu wyrobów gotowych, a że byłem głodny i żołądek napychałem zapachem wędlin, wziął nóż ze stołu i odcinał po kawałeczku każdego rodzaju kiełbasy, co mu sprawiało, widziałem to w jego oczach, przyjemność. Robił to nie jak sprzedawca w sklepie z wędlinami, którego drażni taka praca, lecz jak właściciel masarni na weselu swojej jedynaczki. Zaczynałem *par exellence* jako zwyczajny rzeźnik w państwowej ubojni, od zabijania świń na taśmie. Bykowi to ja jednym pociągnięciem noża przecinałem skórę na szyi i kropla krwi nie uciekła do kanału. Nie było tu lepszego ode mnie, pochwalił się. I niech pan patrzy, do czego *de facto* doszłem: mam największą masarnię na południu województwa i zajmuję gabinet burmistrza. Wszystko przy pomocy tych rąk. W rzeźni się panu udało, ale samorząd to nie przewaga człowieka z nożem nad zwierzętami, a przede wszystkim władza oparta o prawo, powiedziałem. Chodzi o to, że tylko skończyłem zawodówkę? A doświadczenie się nie liczy, redaktorze? W Sławie pełno jest takich, co pokończyli studia i do czego doszli, no? Każdy powinien robić to, co najlepiej umie, dodałem

chyba zbytecznie, bo Pampuch zagryzł wargi, podniósł ręce i wtedy zauważyłem, że nóż przełożył do lewej ręki. Masz pan rację, ale teraz nikt mnie tu, kurwa, nie podskoczy, powiedział i wbił nóż w szynkę, a później ze złością w oczach ciachał ją na kęsy, że się przestraszyłem i już o nic nie spytałem. Byłem przekonany, że kiedy przed tą rozmową częstował mnie plastrami rozmaitych kiełbas, nóż trzymał w prawej ręce. Gdyby było inaczej, zwróciłbym na to uwagę natychmiast, wszak mam wyrobiony zmysł dostrzegania wszystkiego, co odbiega od normy. Dopiero kiedy się zdenerwował, chwycił nóż lewą ręką, zrobił to wbrew woli, a zgodnie z instynktem. Czytałem u Parckmena, że kiedy człowiek przestaje panować nad sobą, cechy wrodzone zaczynają dominować nad nabytymi. Pampuch, ciągle kipiący złością, lewą ręką zgasił światło, lewą zamknął drzwi do magazynu i włączył chłodziarkę. Od tej chwili rozmowa się nie kleiła, a ja zamiast naprowadzić ją na właściwy tor, obserwowałem, czy burmistrz cokolwiek zrobi prawą ręką. Nic. Nawet pisał lewą.

– Pampuch jest leworęcznym nożownikiem?

– Za wszelką cenę chciał mieć pełnię władzy w miasteczku, a bał się, że nie wygra z obecnym burmistrzem, dlatego namówił Kostasa, żeby usunął Lomysa z jego drogi do ratusza.

– Jak w tym przysłowiu...

– Biedny i posłuszny wobec wszystkich Grek nie spodziewał się, że zostanie ofiarą tego, który go wynajął.

– Tylko hipoteza, ale prawdopodobna.

Pończochy z lycry

Od co najmniej kwadransa Henryka obserwowała, jak Andrzej, nudząc się przed telewizorem, przeczesuje palcami lewej ręki przerzedzone na czubku głowy i srebrzące się na skroniach włosy. Chciała powiedzieć, żeby usiadł obok niej i jak dawniej objął, przytulił czy tylko pocałował, lecz nie miała odwagi się narzucać. W sprawach męsko-damskich zawsze oddawała inicjatywę partnerowi, tak jak ją wychowała matka, choćby był on najprzystojniejszy i bardzo się jej podobał. Niby mimochodem zwilżyła usta śliną, założyła nogę na nogę jak prezenterka w telewizji, podciągnęła sukienkę aż za kolana i ukazała naprawdę zgrabne uda, potem rozpięła bluzkę i wygięła się w pałąk aż wydatne piersi mało nie wyswobodziły się ze stanika. Gdyby nie łuszczyca, której nabawiła się prawdopodobnie w laboratorium Nowity, mogłaby konkurować z dużo młodszymi od siebie o koronę najpowabniejszej mężatki regionu. Jako studentka była kapitanem pierwszoligowej drużyny siatkarek AZS i z białym orłem na czerwonej koszulce wielokrotnie występowała w kadrze narodowej. Jeszcze na piątym roku chemii nie wiedziała, czym się zajmie po ukończeniu studiów, ale na pewno nie wiązała swojej przyszłości ze sportem zawodowym. Chciała, jak większość młodych i powabnych kobiet, mieć męża rozmiłowanego w niej, dowcipnego i tak bogatego, żeby o nic nie musiała się martwić.

– Mogłabyś być panią Kramarzową i współwłaścicielką największej firmy spożywczej nad środkową Odrą – powiedział Andrzej, kolega najstarszego brata Henryki, podczas umówionego spotkania, pożądliwie zaglądając w jej śliwkowe oczy. – Czy się zgadzasz?

Zgodziła się natychmiast. Zresztą i bez tej obietnicy, wypowiedzianej w luksusowym hotelu Qubus, zostałaby jego

żoną. Po ślubie Andrzej wyjechał na kontrakt do Werony, a kiedy po sześciu miesiącach wrócił do Zielonej Góry nigdy nie wspomniał o podziale firmy, nawet nie kupił drugiego samochodu. Codziennie rano Henryka więc wsiadała do autobusu miejskiego i jechała nim do laboratorium na koniec miasta, a Andrzej pędził automatycznym mitsubishi do Drzonkowa, gdzie wynajmował willę na biuro firmy. Bogactwo nie jest dobrem. Gdyby nim było, czyniłoby ludzi dobrymi, myślała niekiedy, czekając przed telewizorem lub w łóżku na męża. Starała się zrozumieć dookolny świat, choć czasem nie umiała się pogodzić z tym, że jako żona bardzo bogatego mężczyzny musi odmierzać mililitry kwasów i słuchać docinków koleżanek.

– Ja, na pani miejscu, droga Henryczko, rzuciłbym robotę za te psie pieniądze – często mówił owdowiały kierownik, obejmując ją bezwstydnym wzrokiem. – Co to, taka zgrabna, wykształcona niewiasta musi pracować? Małżonek nie utrzyma domu? Nie da pani raz w roku na futro? Świętej pamięci moja ślubna twierdziła, że miejsce kobiety jest w kuchni. Jestem człowiekiem starej daty, pewnie dlatego uważam, że każda niewiasta powinna urodzić troje dzieci, a każdy mężczyzna zarobić tyle, żeby rodzina miała na przyjemności i życie.

Henryka zawsze analizowała dogłębnie to, co w jej obecności mówili znajomi i przyjaciele. Mówić, radzić, uzasadniać, myślała, jakie to proste. Najtrudniej jest podjąć decyzję.

– Wczoraj byłam u doktora Kaniewskiego – przyznała się nieśmiało, dotykając opuszkami palców ręki męża. – Jego zdaniem bez specjalnych zabiegów powinnam zajść w ciążę. Jestem normalna.

– A czy mnie czegoś brakuje? – ofuknął ją Andrzej.

– Nie – szybko zaprzeczyła i położyła swoją dłoń na jego owłosionej ręce. Lubiła nawijać włosy na palce. Rzeczywiście w każdym calu Andrzej jest męski, pomyślała. – Może wspólnie wybierzemy się do doktora?

– Po co?

– Żeby cię zbadał.

Andrzej parsknął długim, ironicznym śmiechem, podniósł

się ociężale i podszedł do barku. Henryka chciała krzyknąć, że jest paniczykiem, ale gdy zobaczyła, w jaki sposób miesza whisky z wodą i lodem, nic nie powiedziała. Podał żonie szklaneczkę i usiadł na brzegu łóżka. Henryka nigdy tego nie robiła, ale teraz położyła rękę na jego spodniach.

– Pewnie tam nie wszystko jest w porządku – szepnęła.

– Tak uważasz?

– Gdyby było w porządku, po tylu latach małżeństwa mielibyśmy już nie jedno, a co najmniej trójkę dzieciaczków.

– Znachorka! – Andrzej podniósł na nią głos. – Widzisz jakiś feler? Myślisz, że jak mam siwe włosy na skroniach to jestem do niczego, co?

– Wcale tak nie myślę.

– Więc co?

Od dnia powrotu Andrzeja z Werony intuicja podpowiadała jej, że mąż ukrywa przed nią coś bardzo ważnego, czego nie chce lub nie może ujawnić, a co dotyczy ich obojga. Tyle razy próbowała rozmawiać z nim o sprawach intymnych, zawsze uciekał z odpowiedziami, nie odzywał się albo zmieniał temat. Może w dzieciństwie zaraził się jakąś chorobą odzwierzęcą? Jego ojciec był weterynarzem w Bieganowie, przeszedł na rentę z powodu zakażenia brucelozą, a i on dwa lata studiował weterynarię we Wrocławiu. Często przeglądała *Encyklopedię zdrowia*, dowiedziała się z niej, że są choroby odzwierzęce, które powodują okresową lub trwałą bezpłodność u mężczyzn.

– Dlaczego nie chcesz iść ze mną do doktora? Czyżbyś się wstydził? Seksuolog to taki sam lekarz jak laryngolog czy dentysta.

Podniósł się z łóżka, przygładził dłonią lekko oszronione nad uszami włosy i naburmuszony wyszedł z sypialni do łazienki. W ten sposób od pewnego czasu kończyła się prawie każda ich rozmowa.

Może teraz, w Sławie, myślała, gdzie będziemy ze sobą pełne dwa dni, Andrzej da się przekonać, że powinien wybrać się do lekarza? Wyjęła bluzkę ze spódnicy i rozpięła ją do końca, wyciągnęła się w fotelu, kładąc nogi na jego poręczach. Mąż nawet nie spojrzał w jej kierunku.

– Andrzej... – odezwała się proszalnym głosem.

– Wychodzę – rzucił pewny swego.

– Teraz? Dokąd?

– Do Podziemia – odparł, nie starając się niczego jej wyjaśnić.

– W domu tak mało mamy czasu dla siebie... – zaczęła i urwała. Po chwili wypaliła: – Po to uciekliśmy do Sławy, żebyś grał w ruletkę? A ja co? Kim jestem, że tak mną gardzisz?

Wzruszył obojętnie ramionami.

– Obejrzyj sobie jakiś filmik w telewizji. Albo pogadaj z siostrunią.

– Andrzej, nie z Kirą, lecz z tobą muszę porozmawiać. Ja tak dłużej nie mogę żyć. Nie jestem byle jaką kobietą. Coś mi się od ciebie należy.

– Pewnie – szydził. – W razie mojej śmierci dostaniesz cały majątek. Będziesz bogata. Na nadzianą wdowę poleci każdy gołodupiec. Napstryka ci bachorów.

– Czy sądzisz, że zostałam twoją żoną wyłącznie dla pieniędzy?

– Nie, broń Panie Boże. Po prostu nie miałaś innego wyjścia. Wszystkie twoje koleżanki były już mężatkami, a ty czekałaś na księcia z bajki.

W niektórych sprawach jesteśmy niewinni, bo się nam nie udało, pomyślała i tym samym proszalnym głosem powiedziała przez łzy:

– Zostań ze mną, Andrzej.

Trzasnął drzwiami, aż filiżanki na stoliku zadrżały.

Andrzej powoli kroczył ścieżką między bungalowami wciśniętymi między niebosiężne sosny, wdychając aromatyczne powietrze przesycone zapachem suszących się na werandach grzybów. Gdyby Henryka domyślała się, po co naprawdę przyjechał do Sławy, nie dałaby się namówić na weekend. Nie jest dobrze wszystko wiedzieć i słyszeć.

Był przekonany, że Jacek Cukier jeszcze nie poznał wielu sekretów swojej małżonki. Dobrzy mężowie przeważnie sądzą, że ich żony są wierne, prawdomówne i cierpliwie na nich czekają, kiedy oni są z dala od małżeńskich sypialni.

W gruncie rzeczy najwięcej zła wyrządza łatwowierność. Często nie należy nawet słuchać donosów, bo w niektórych sprawach lepiej dać się oszukać niźli im zaufać. Jacek nie był zadowolony z tego, że żona zarabia więcej. Właściwie to ona utrzymuje dom, bo jego belferska pensja wystarcza jedynie na benzynę do fiata, codzienne gazety i wynajęcie domku w Sławie.

– Dostałam propozycję kandydowania do Senatu – pochwaliła mu się Elżbieta, gdy pod koniec czerwca wrócił z polsko-niemieckiej konferencji pedagogów we Frankfurcie.

Porwał go ironiczny śmiech.

– Na czyj koszt? – spytał, wyraźnie akcentując ostatnie słowo.

– Andrzej Kramarz – oświadczyła z powagą. – Wystartuję jako kandydatka bezpartyjna i niezależna. Czym się różnię od wojewody czy...? – Długo szukała w swoich myślach nazwiska regionalnego polityka. Nie znalazła go.

– Byłaś w Dominikanie, na Karaibach, pod Biegunem Północnym i powinno ci wystarczyć zwiedzanie niedostępnych regionów. W Senacie potrzebują kogoś, kto zna prawo i chociaż jeden język obcy. Czy przynajmniej wiesz, co należy do obowiązków senatorki?... Ale jeśli Kramarz zafunduje ci czteroletnią wycieczkę do Senatu, masz moją zgodę.

– Zrobię, jak uważam, a ciebie nikt nie pyta o opinię.

Jacek był jej drugim mężem. Pierwszy, dwa lata od niej młodszy, najpierw wyjechał do Szwajcarii, stamtąd do Holandii, gdzie zajmował się przemytem samochodów do Rosji i na Ukrainę, przed Bożym Narodzeniem odezwał się z Hamburga i więcej nie dał znaku życia. Ktoś twierdził, że nie żyje.

– Jesteś naiwną wariatką, której się wydaje, że za pieniądze można mieć wszystko.

Księżyc w lisiej czapce wisiał nad jeziorem, Andrzej przystanął w cieniu sosny i obejrzał się: w jego domku jeszcze nie zgasło światło. Pewnie Henryka w rozpiętej bluzce, z nogami na poręczach siedzi w fotelu i nalewa whisky do szklanki. Dopóki nie osuszy butelki, nigdy nie położy się do łóżka albo z głową zwisającą wzdłuż ramienia zaśnie na sie-

dząco. Może Kira już ją przeciw mnie buntuje? Uważał nie bez racji, że młodsza siostra Henryki za często wtrąca się do ich małżeństwa, które od pewnego czasu jest bardziej związkiem formalnym niż uczuciowym. W gruncie rzeczy dobrze wiedział, dlaczego tak się dzieje i kto jest winny, ale i często zastanawiał się, co się zmieni, gdy on przestanie mieć kłopoty finansowe. Dziś jedynym wyjściem z tego labiryntu byłby rozwód bez orzekania winy, uważał, lecz na razie nie miał odwagi powiedzieć tego Henryce, będzie jednak musiał szczerze z nią porozmawiać.

Zatrzymał się przed oknem bungalowu, który każdego piątku po południu, od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni, wynajmują Cukrowie. Stora nie była zaciągnięta. Przez szybę widział Elżbietę na środku tapczanu, jak przygięta malowała paznokcie u nóg. Nasłuchiwał, czy Jacek już wyszedł do kasyna.

– Pani o mało co synatorka jest sama. – Usłyszał męski głos tuż za swoimi plecami. Jak ukłuty szpilką natychmiast się odwrócił i zobaczył ochroniarza. Wiedział o nim tyle, że podsłuchuje wszystkie rozmowy i donosi Kirze, a ta później szantażuje swoich gości. – Pan Jacek musi już z godzinę gra w ruletkę. Prędzej zostanę dyrektorem Paradise, jak on co wygra. A pan nie idzie do kasyna?

Andrzej przeciął ręką powietrze.

– Po to przyjeżdżam tu co tydzień – zaśmiał się.

Ochroniarz odszedł, życząc mu, jak każdemu gościowi ośrodka, wielkiej wygranej. Andrzej podziękował, ale nie ruszył ścieżką w dół, która prowadziła do Podziemia. Gdy ochroniarz zniknął za drzewami, dwukrotnie zastukał do drzwi bungalowu.

– Zbyt długo każesz na siebie czekać – powitał go karcący głos Elżbiety.

Kira wykaszlała się jak starzec chory na przewlekłą rozedmę płuc, splunęła do umywalki, nalała pół szklanki whisky, zapaliła carmena i dopiero wtedy usiadła w fotelu na wprost Henryki. Gdyby ktokolwiek obcy otworzył drzwi i zza progu im się przypatrywał, nie zgadłby, że są siostrami. Żo-

na Andrzeja zawsze miała włosy rozjaśnione, związane wstążką z tyłu głowy, skórę twarzy brzoskwiniową, a gdy się uśmiechała, pokazywała garnitur perlistych zębów. Włosy Kiry były od dziecka druciane, krótkie, ciemne, jak i wyraźnie zaznaczony meszek pod mięsistym nosem, a zęby pożółkłe od dymu papierosowego.

Jeszcze jako przeciętna zapaśniczka Orląt Kira nauczyła się zdobywać wielkie pieniądze. Później występowała na matach prawie całej zachodniej Europy, powalając na łopatki swoje rywalki. Jesienią zeszłego roku, gdy uzbierała sporo dolarów, kupiła ośrodek wypoczynkowy nad jeziorem Sławskim i tak go interesująco zaaranżowała, że każdego piątku najbogatsi zielonogórzanie błagają ją o miejsca w bungalowach. Stać ich na wynajęcie nowocześnie urządzonych willi w dzielnicy Słonecznej czy pokoi w ekskluzywnym pensjonacie Halszka albo apartamentów ze stylizowanymi łazienkami w Pałacyku Myśliwskim, gdzie jest najwyższy standard usług, lecz tam się nie zatrzymują. Kira wie, że ci, którzy przyjeżdżają do Paradise, wcale nie myślą o odpoczynku w ustronnym miejscu, ich wabi kasyno. Mają nadzieję wygrać majątek, w rzeczywistości to Kira, przyzwyczajona do zwycięstw na macie, kładzie ich na łopatki. Wielka jest chciwość bogaczy. Choćby dostawali dużo, to i tak uważają się za skrzywdzonych, bo przecież mogli dostać więcej.

– Dlaczego nie poszłaś z Andrzejem do Podziemia?

– Źle się czuję – skłamała Henryka. – I dziś nie mam na to ochoty.

– Jak będziesz tak się dąsała, kochana siostrzyczko, to dostaniesz żylaków na czole – grubym, męskim głosem zganiła ją Kira. W ogóle zachowywała się jak mężczyzna. – Sprowadź notariusza i każ mu podzielić firmę. Pół twoje, pół jego. Im szybciej to zrobisz, tym dla ciebie lepiej.

Henryka podniosła na nią pytający wzrok.

– Dlaczego?

– Gdybyście mieli dzieci... – zaczęła bezceremonialnie i urwała. Ale zaraz dodała: – W razie rozwodu przynajmniej zostanie ci majątek.

– Nie myślę o rozwodzie. Pójdziemy do lekarza albo weźmiemy sobie dziecko na wychowanie.

– Potrzebny ci cudzy bachor? – Znowu nalała whisky do szklanki. Pijąc zastanawiała się, czy powiedzieć Henryce, że widziała, jak Andrzej wchodził do domku Elżbiety Cukier.

– To mój mąż. Przysięgałam przed ołtarzem. Kocham go.

– Przejdzie ci – powiedziała Kira. – Ja też kochałam swego capa. Dziś mam tylu chłopów, ilu mi się zachce. I żadnemu nie muszę prać gaci.

Kira ostrożnie zsunęła pończochę z lewej nogi, nie wyjmując papierosa z ust, głowę przechyliła i przymrużyła oczy, opuszkami palców dotykała przyschnięte skaleczenia i siniaki, starając się skórę wokół nich rozmasować. Nie przyznała się siostrze, że w niedzielę wieczorem, gdy goście wyjechali z Paradise, poślizgnęła się na mokrych schodach i aż do krwi zdarła naskórek z nogi.

– Cholera, jak to piecze – powiedziała, wrzuciwszy niedopałek papierosa do wazonu.

– Byłaś u doktora Szpaka?

Kira zaprzeczyła ruchem głowy. Zdjęła pończochę z drugiej nogi, przeciągnęła się i zrzuciła z siebie golf, ukazując niewielkie piersi i szerokie ramiona. Wypiła resztę whisky, z bioder zsunęła skórzaną spódnicę, pod którą nie miała majtek. Zupełnie naga podeszła do tapczanu.

– Przestań spijać piwo, którego nie nawarzyłaś. Chodź do mnie, biedaczko – poprosiła siostrę i wyjęła wibrator z torebki. – Ze mną będzie ci jak z dobrym chłopem – zapewniła ją tym swoim męskim głosem.

Dwaj miejscowi policjanci chcieli wejść na terytorium Paradise, lecz ochroniarz nie otworzył im bramy. Nic sobie nie robiąc z ich nakazu, rzucił jakby od niechcenia, że takie polecenie wydała mu właścicielka ośrodka, pani Kira.

– Co tam tak głośno? – spytał posterunkowy, wskazując na budynek nad brzegiem jeziora, w którym było kasyno.

– Mają ludzie pieniądze, to się bawią. Za swoje hulają – odparł ochroniarz jakby o niczym nie wiedział. I odszedł od płotu, stukając pałką o pnie sosen.

W bungalowie wynajętym przez Cukrów światło było zgaszone, a mimo jesiennego chłodu lufcik szeroko rozwarty.

Ochroniarz nie tylko pilnował ośrodka przed złodziejami, teraz przystanął za sosną i nasłuchiwał odgłosów, żeby w poniedziałek, kiedy gości już nie będzie w Paradise, wszystko dokładnie opowiedzieć Kirze. Wydawało mu się, że przez lufcik z bungalowu Cukrów wylatują dwa głosy, kobiecy i męski. Przecież pan Jacek pół godziny temu wyszedł do kasyna, przypomniał sobie i bezszelestnie wkradł się na werandę; zaciekawiony, kto jest gościem Elżbiety, przykucnął pod oknem. Rozumiał, że mężczyzna mówi nie o złotówkach, lecz o dolarach. I to o takiej kwocie, jakiej ochroniarz nie umiał sobie wyobrazić.

– Czuję przez skórę, arabesko, że jako senatorka mnie się nie wyprzesz. Tylko czy wtedy będziesz dla mnie miała czas?

– Zostaniesz wojewodą albo ministrem, albo szefem jakiejś agencji rządowej.

– Wolę być ambasadorem. Koniecznie w Niemczech.

– Ambasada odpada.

– Dlaczego?

– Poza polskim... nie znasz żadnego języka – powiedziała ze śmiechem kobieta.

– Po co są tłumacze?

– A twoja żona?

– A twój mąż? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Mąż?... – znowu się roześmiała. – Arabesce jest potrzebny nie mąż, lecz facet dobry w łóżku. Taki właśnie jak ty, Andrzej.

Ochroniarz uśmiechnął się zadowolony, zaniesie Kirze takie wiadomości, za które ona zapłaci mu podwójnie. Może nie tylko ona?

Punktualnie o północy Jacek Cukier przegrał ostatnie pięćdziesiąt dolarów. Nie miał więcej pieniędzy. Zły odstąpił od zielonego stolika do kontuaru przy barku i gdy się zastanawiał, co powie Elżbiecie, do kasyna wszedł pewnym krokiem Andrzej Kramarz.

– Zajmij moje miejsce. Może tobie szczęście dopisze – powiedział Cukier, uśmiechając się wymuszenie.

– Mam wyrównać rachunki?

Cukier dobrze wiedział, że jego żona i Andrzej często gęsto

razem jeździli do Poznania, Wrocławia, nad morze, na noc zatrzymywali się w przydrożnych motelikach. Jacek udawał, że nic sobie z tego nie robi, a koledzy z politowaniem spoglądali na niego jakby mu współczuli. Tylko przyjaciele ze szkoły rozumieli, dlaczego pogodził się z takim losem.

Krupier zapraszającym gestem obu rąk wskazał Kramarzowi miejsce przy zielonym stoliku.

– A już myślałem, że przerzucił się pan na warcaby – roześmiał się. – Gramy? – Nie czekając na odpowiedź, puścił wieniec ruletki w ruch.

Młodziutka kelnerka w kusej spódniczce i przeświecającym staniczku, opinającym stożki wzorcowo wyrzeźbionych piersi, na które nie tylko mężczyźni zwracali uwagę, podała Andrzejowi kieliszek napoleona. Nie spuszczając oczu z srebrzystej kulki niby piłeczka tenisowa przeskakującej z przegródki do przegródki ogrzewał koniak w dłoniach. Gdy kulka wpadła do czerwonej przegródki, krupier zrobił oko do Kramarza.

– Wygrał pan! – pisnęła kelnereczka i objęła go za szyję tak mocno, że poczuł aksamit jej nabitych piersi.

– Jednak dziś masz szczęście – z uznaniem zauważył Cukier.

– Na pewno – odparł Andrzej głosem lekceważącym, nie odwracając się do Jacka. Wypił łyk koniaku i dwie wieże żetonów przesunął na środek stolika. – Jeszcze raz trzydzieści siedem.

Znowu wygrał i chyba kolejny raz powtórzył czynność. Coraz więcej osób, których kieszenie już były puste, przypatrywało mu się zazdrośnie. Żona wiceprezydenta, kiedyś recepcjonistka w ekskluzywnym hotelu Qubus, oparła się piersiami o plecy Andrzeja, rękę położyła na jego ramieniu.

– Powinien pan wybrać się do Monte Carlo. Ze mną, oczywiście – szepnęła mu do ucha. Czuł zapach *evasion*. Takimi samymi perfumami pachniała Elżbieta. – Co pan na to?

Nie odpowiedział, ale kątem oka do niej się uśmiechnął. Jego drugiego boku dotykała właścicielka największej w okolicy wytwórni lodów, obok niej stała córka redaktora Gambrinusa, która o wszystkim, co Kramarz robił w Paradise, donosiła ojcu, felietoniście regionalnego dziennika.

W przeciwieństwie do wielu gości Paradise Andrzej był bardziej sprytnym niż wytrwałym graczem. Wiedział, że zbliża się ta pora, kiedy nie wygra ani jednego dolara, powinien więc jeszcze tylko raz postawić na trzydzieści siedem i spokojnie wstać od stolika. W czerwcu i lipcu wygrał w ruletkę więcej pieniędzy niż firma przyniosła mu zysku.

– Ratunkuu!

Wszystkie pary oczu zwróciły się w stronę szeroko otwartych drzwi kawiarni:. Ściskając oburącz głowę, stał w nich spocony Jacek Cukier i skowyczał:

– Jezuniu... ona nie żyje.

– Kto? – spytała żona wiceprezydenta. – Kto nie żyje, panie Jacku?!

– Moja Elżbieta.

Andrzej Kramarz pobladł.

Nadkomisarz Syski ledwie zlustrował pokój, już polecił aspirantowi, aby zebrał odciski palców z kieliszków i szklanek, klamki, torebki, nawet z poręczy fotela, a posterunkowego poprosił, żeby spisał numery rejestracyjne samochodów, które stały na parkingu. Fotograf policyjny dobrze wiedział, co należy do jego obowiązków, mimo to nadkomisarz i jemu powtórzył, czego oczekuje.

– Zawołaj właścicielkę – rzucił do aspiranta, gdy zameldował mu o wykonaniu pierwszego zadania. Do posterunkowego rzekł: – Niech nikt nie wyjeżdża z ośrodka bez mojej zgody. Najlepiej pan zrobi, jeśli odbierze im dowody rejestracyjne albo kluczyki do samochodów. I proszę powiedzieć, żeby wszyscy zebrali się w kasynie.

– Wedle rozkazu. – Posterunkowy starał się postępować tak, jakby tylko od decyzji Syskiego zależał jego awans. – Ochroniarz może coś wiedzieć.

Jednym ruchem głowy nadkomisarz wskazał mu drzwi. Posterunkowy odwrócił się na pięcie z precyzją, która nie przyniosłaby wstydu dowódcy kompanii honorowej policji.

Lekarz zapalił papierosa.

– Nie zazdroszczę panu – powiedział, zabierając się do wypełniania karty zgonu.

Syski zbył jego uwagę milczeniem. Oparty ramieniem

o futrynę jeszcze raz omiótł pytającym wzrokiem pokój urządzony niewystawnie, co go zaskoczyło, bowiem wcześniej słyszał, że Paradise jest rajem nie tylko z nazwy. Widział dwa tapczaniki, między nimi zadeptany chodnik, fotele, stolik i szafę z barkiem, na której stało zwyczajne radio. Nie wiadomo dlaczego telewizor sterczał w kącie na podłodze, zza niego wyglądały butelki po piwie i wódce. Przecież ci dorobkiewicze nie po to przyjeżdżają do Paradise, żeby przypomnieć sobie, jak żyli jeszcze kilka lat temu. Nadkomisarz zastanawiał się, co jest tym magnesem, który ich tu przyciąga. Może narkotyki, ale przecież nikogo nie przyłapał na paleniu haszyszu czy zażywaniu marihuany.

– Co pan zdążył ustalić, doktorze?

– Zgon nastąpił przed dwiema godzinami. Wpisałem dwudziestą trzecią czterdzieści pięć. – Lekarz zerknął na zegarek, jakby sprawdzał, czy się nie pomylił. – Prawdopodobnie została uduszona za pomocą rozciągliwej pończochy z dużą zawartością sztucznego włókna. Coś podobnego spotkało latem dentystkę w Radzyniu.

– Wtedy chodziło o krawat doktora Schwagiera – przypomniał mu Syski. – Zabezpieczyłeś pończochę?

Aspirant skinął głową.

– Kiedy dostanę wyniki sekcji?

– Najwcześniej w poniedziałek o jedenastej.

– Hola, hola. Jutro muszę je mieć. Jutro do dwunastej i ani minuty później.

– Panie nadkomisarzu, jutro – lekarz znowu podciągnął rękaw kitla i spojrzał na zegarek – to już dziś... Kończę dyżur o siódmej i jadę z żoną do Gorzowa. Na urodziny mojego szwagra. Emerytowanego pułkownika doktora Nawrot... powinien pan go znać.

Syski machnął ręką z lekceważeniem.

– W południe muszę mieć czarno na białym. Chce pan, żeby poniedziałkowe gazety znowu trąbiły o guzdralstwie policji? A ponadto we wtorek. pierwszy raz w życiu, wyjeżdżam do sanatorium.

– Sprawa polityczna – powiedział lekarz, jakby czytał w myślach policjanta. – O jedną kandydatkę na senatorkę mamy mniej.

– Między innymi dlatego do poniedziałku wszystko musi zostać wyjaśnione.

– Żeby to zechciała zrozumieć moja siostra.

– Do roboty, panie doktorze – Syski poufale poklepał go po ramieniu.

– Cóż, nie mam innego wyjścia, jak tylko zakasać rękawy kitla i liczyć na szczęście, że długo to nie potrwa. – Lekarz zrzucił kołdrę, którą były przykryte zwłoki i powiedział do aspiranta: – Niech pan napisze, że Elżbieta Cukier, lat trzydzieści dziewięć, została uduszona przy pomocy pończochy koloru beżowego. To pierwszy i na razie jedyny wniosek. Zabójca musiał być silny. Prawdopodobnie mężczyzna. To nie jest wniosek drugi, lecz tylko domniemanie. Przed śmiercią denatka mogła być zgwałcona, chociaż...

– Mogła czy była? – przerwał mu Syski.

– Wiele razy widziałem zwłoki kobiet najpierw zgwałconych, później zamordowanych. Każda broniła się przed jednym i przed drugim. Tu, proszę spojrzeć, ułożenie nóg nie odpowiada temu, co wiem o gwałtach i zabójstwach.

– Doktorze, zatem została zgwałcona czy nie?

Lekarz nabrał powietrza do płuc i wypuszczał je wolno, przypatrując się to twarzy, to rękom zmarłej dotykającym pośladków, jakby szukał śladów obrony przed gwałcicielem. Wyjął z torby latarkę, oświetlił nią uda i brzuch denatki, przyklęknąwszy na prawe kolano, rozgarnął pincetą włosy przystrzyżone w słupek na łonie i rozjaśnione, pociągnął nosem.

– Na pewno przed śmiercią miała stosunek z mężczyzną, nie wykluczam, że na tym tapczanie – podniósł wzrok na Syskiego, jakby oczekiwał wsparcia. – Nie sądzę, aby ustalenie nazwiska jej partnera było kłopotliwe. – Zebrał z prześcieradła kilka skręconych włosków. – Ofiara, niech pan spojrzy, jest raczej naturalną blondynką. A tu, proszę, leżą ciemne włosy i w dodatku skręcone w przeciwną stronę. Jedne, jaśniejsze, należą do niej, drugie do gwałciciela, który również może być mordercą. Pragnę zwrócić pańską uwagę na to, że seksualny partner denatki był mocno owłosiony.

– Każdy zdrowy facet jest raczej mocno owłosiony – Syski najpierw podciągnął rękaw, a później rozpiął koszulę na

swoich piersiach jakby chciał potwierdzić to, co przed chwilą powiedział..

– Ale nie każdy ma czarne i siwiejące włosy. O ile pamiętam, to Jacek Cukier jest blondynem jak jego zmarła żona.

Nadkomisarz zbył milczeniem to spostrzeżenie lekarza. Coś jednak zapisał w swoim notesiku, po czym zajrzał pod tapczan i do szafy. Na półce między bluzkami leżała portmonetka, było w niej tylko sześćdziesiąt złotych, co go zdziwiło. Nikt przecież nie jedzie na weekend bez większej gotówki, chyba że zabiera ze sobą karty kredytowe.

– Jeszcze coś pan zauważył, doktorze?

– Świeże zadrapanie za lewym uchem.

– Trzeba będzie sprawdzić paznokcie gości.

Lekarz przy pomocy aspiranta zmiótł włosy do woreczka nylonowego.

Jeszcze godzinę temu Syski był bardzo ciekawy, jak wygląda kasyno i czy to prawda, że powietrze jest tam przesycone opium. Żyje ponad czterdzieści lat, rozwiązuje zagadki kryminalne w ekskluzywnych hotelach, nowoczesnych willach z wszystkimi cudami techniki, przepytuje biznesmenów i polityków, a jeszcze nigdy nie widział prawdziwej ruletki. I oto od dziesięciu minut jest w kasynie, ale nie odczuwa ani zapachu narkotyku, ani nie widzi niczego szczególnego, co by wabiło graczy bardziej niż zwyczajna loteria

Z rękoma założonymi do tyłu nadkomisarz spacerował między stolikami jakby się zastanawiał, od czego zacząć dochodzenie i w milczeniu przypatrywał się opuszczonym głowom gości Paradise. O większości mężczyzn nic nie wiedział, mimo że włosy mieli już przerzedzone, a skronie obsypane szronem. Kobiety też nie były w wieku Saskii czy Beatrycze i niczym szczególnym się nie wyróżniały, choć zapewne niektóre chciałyby postępować jak Mata Hari.

– Czy już wiadomo, kto zamordował panią senator? – ze ściśniętym gardłem spytała żona wiceprezydenta.

– Senator? – ofuknął ją mąż. – Najpierw musi zdobyć zaufanie społeczne.

– Mieliśmy na nią głosować. Przecież złożyliśmy podpisy na jej liście. Mówiłeś...

Wiceprezydent ukłuł żonę potępiającym spojrzeniem.

– Długo zamierza pan nas tu trzymać? – spytała córka redaktora Gambrinusa.

– Napiłabym się whisky – ziewając, powiedziała blondynka w dopasowanych dżinsach i bluzce rozpiętej aż do pępka. – Chyba to nie jest zabronione? Może pan również ma ochotę na coś mocniejszego?

Policjant zmierzył ją krytycznym wzrokiem.

– Nie przypuszczałem, że nasz tubylczy establishment namiętnie gra w ruletkę. Zapewne nielegalnie – dodał, akcentując wyraźnie każde słowo. – Czy pani jest właścicielką tego przybytku? – Zatrzymał się przed Kirą.

– Mam zgodę – odpowiedziała szybko, lecz Syski tylko przeciął ręką powietrze.

– To już sprawdzą moi koledzy z odpowiedniego biura. Nie sądzę jednak, aby miała pani oficjalną zgodę na prowadzenie nieformalnego kasyna. Zresztą komisarz Lubieniecki na pewno zechce z panią porozmawiać.

Kira spąsowiała.

Policjant splótł ręce na piersiach i milcząc szukał punktu zaczepienia. Od kogo zacząć przesłuchanie? Nie miał żadnych dowodów, mimo to uważał, że morderca musi być wśród gości Paradise. Najprościej byłoby posłać włosy do laboratorium i czekać, lecz potrwa to co najmniej tydzień. Można sprawdzić paznokcie czy pobrać próbki odzieży i zapachów, ale na wyniki analiz też trzeba długo czekać. Syski musi wskazać dusiciela najpóźniej w poniedziałek. A może do tego dnia ktoś nie wytrzyma w uwięzieniu i się przyzna do popełnienia morderstwa? Doświadczenie przypominało mu, że niektóre kłamstwa są oprawione w ramy pozorowanej prawdy. Zawsze trzeba cierpliwie czekać, bowiem czas jest najlepszym śledczym. Kiedyś nie zwracał uwagi na drobiazgi. Po latach nabrał przekonania, że marginalne na pozór głupstwa mają większe znaczenie niż sprawy wielkie i oczywiste. Spacerując od drzwi do okna i z powrotem obserwował gości i starał się trafić choćby na jeden drobiazg, od którego śledztwo potoczy się błyskawicznie.

– Nie opuszczą państwo Sławy póty, póki definitywnie nie ustalę, kto jest mordercą.

– Mnie pan również podejrzewa? – Wiceprezydent poderwał się z krzesła.

– Tak.

– Jakim prawem?! Ja jestem członkiem władz krajowych ugrupowania Ojczyzna.

– Ojcowizna – szybko poprawiła go żona.

– Ojczyzna! – tupnął nogą wiceprezydent. – Co to ja nie wiem, do czego należę?

– Tylko ten jest zdolny dobrze władać, kto potrafi podporządkować się władzy – oświadczyła z powagą córka redaktora Gambrinusa.

– Jednego wiceprezydenta policja nakryła, jak po pijaku prowadził auto. Drugiego podejrzewa o morderstwo. Ale władza, kurde balans – roześmiał się kelner, skupiając na sobie potępiające spojrzenia gości kasyna.

– Podejrzany o zamordowanie Elżbiety Cukier jest każdy, kto tej nocy przebywał w Paradise. Nie przypuszczam, abyście państwo musieli tu tkwić aż do poniedziałku. Najpóźniej w niedzielę morderca zostanie zatrzymany.

– Ja do tego czasu mam żyć w niewoli? – zaprotestowała żona wiceprezydenta. – Złożę skargę na pana.

Syski zrobił parę kroków w jej stronę, ale coś mu przyszło do głowy i nagle odwrócił się.

– Gdzie możemy porozmawiać? – spytał Kirę.

Nadkomisarz poprosił o książkę meldunkową gości ośrodka. Spodziewał się, że znajdzie w niej nazwiska wszystkich osób, które w piątek po południu przyjechały do Paradise. Kira długo przewracała papiery na biurku i w szufladach, sięgała do kosza na śmieci. Wyjmowała koperty, teczki, pokreślone kartki, łyżeczki, torebki herbaty ekspresowej, pokruszone ciastka. Syski siedząc w głębokim fotelu przypatrywał się mimice jej twarzy, ruchom rąk, patrzył, jak oddycha, kiedy wysuwa nogę spod biurka i czy ją cofa pod krzesło. Interesowało go każde jej mrugnięcie, westchnienie, nawet barwy dźwięku wydawanego przez przedmioty, które podnosiła i rzucała na blat biurka. Kira nie była ani zdenerwowana, ani zakłopotana.

– Nareszcie mam – powiedziała, uśmiechając się wymuszenie do policjanta.

Wziął od niej książkę, przewrócił kilka kartek.

– Dlaczego na bieżąco nie wpisuje pani danych personalnych swoich gości?

– Nie wpisuję? – żachnęła się. – To się więcej nie powtórzy, panie kapitanie.

– Kto pani powiedział, że jestem kapitanem? – spytał Syski, nie odrywając oczu od starych zapisków.

– Na pułkownika pan za młody. I za elegancki. Pułkownik powinien być szpakowaty, mieć lekko odstający brzuszek, obwisłe policzki, a pan...

– Jestem nadkomisarzem policji, proszę pani. Nadkomisarzem – powiedział z naciskiem.

– I tak mam się do pana zwracać? Każę podać kawę.

– Naruszyła pani przepisy meldunkowe.

– Przyznaję się bez bicia – powiedziała ze sztucznym smutkiem. – Jestem taka zdenerwowana, że... Czy mogę zapalić? Pan nadkomisarz też się poczęstuje, prawda?

Syski nie odpowiedział. Nie powinno się zbyt szybko uwierzyć w to, co ludzie opowiadają. Wielu zmyśla po to, aby oszukiwać, a wielu dlatego, że ich samych oszukano. Kira podeszła do regału, gdzie na przewróconych książkach leżała paczka carmenów, wyjęła z niej jednego papierosa i długo go zapalała. W świetle płomyka zapalniczki policjant widział zupełnie inną twarz niż wtedy, kiedy Kira siedziała za biurkiem. Musiałbym wypić dużo wódki, żebym mógł jej powiedzieć nawet najbardziej prymitywny komplement. Baba-chłop, stwierdził w myślach. Krępa, nie dba o siebie, nogi żylaste i owłosione, a tak je stawia, jakby odstraszała przeciwnika.

– Czy pani jest jedyną właścicielką ośrodka? – spytał zbytecznie, bo jeszcze przed przekroczeniem furtki burmistrz powiedział mu, że Paradise należy wyłącznie do Kiry.

Kiwnęła głową, wypuszczając przez nos dym.

– Pod koniec zeszłego roku odkupiłam bungalowy razem z terenem, na którym one stoją. Poprzedni właściciel nie dbał o bazę.

– Mogę wiedzieć, ile pani zapłaciła?

– Miałam troszkę oszczędności, sprzedałam willę w Zielonej Górze i, co powinno być zrozumiałe w dzisiejszej dobie, zaciągnęłam kredyt krótkoterminowy.

– Zamierza pani zbić kapitał na ośrodku – powiedział z ironią i zaraz ugryzł się w język, lecz Kira tylko wzruszyła ramionami, jakby się nad tym nie zastanawiała.

Do pokoju zajrzał lekarz.

– Zwłoki zabiorę do kostnicy. Pewnie już nie będę potrzebny – ni to spytał, ni stwierdził.

– Niech pan poczeka. Mam pewną propozycję, ale to za chwilę.

Lekarz wycofał się za drzwi, a Syski jeszcze raz sięgnął po książkę meldunkową, otworzył ją na czwartej stronie, gdzie były ostatnie wpisy.

– Znalazła się pani w sytuacji kłopotliwej.

– Ja? Dlaczego pan uważa, że moja sytuacja jest kłopotliwa?

– Jeśli społeczeństwo dowie się o morderstwie w Paradise, a dowie się z poniedziałkowych gazet, to nikt nie zechce tu przyjechać.

– Racja. – Kira zmarszczyła brwi, widać było, że jakieś pytanie ciśnie się jej na usta. – Kogo pan podejrzewa?

– A pani?

– Nie jestem policjantką – odrzekła. Oparta ramieniem o regał patrzyła za okno.

– Dlaczego rozwiodła się pani z mężem?

Kira zaśmiała się krótko, ale wyraz twarzy jej się zmienił.

– Różniły nas charaktery, jak to się mówi. Wolę pracować na własne konto, a nie utrzymywać faceta, który ma dwie lewe ręce do roboty.

– Lewe? O ile wiem, to były pani mąż jest technologiem drewna w Celulozie. Ma, jak już mi doniesiono, doktorat i kilka patentów zarejestrowanych w wielu krajach. Ostatnio na zlecenie banku narodowego opracował metodę wytwarzania papieru walutowego, którego za żadne skarby nie da się podrobić.

– Przesada, panie nadkomisarzu.

Zerkał na jej karłowate nogi. Uda miała silne, jakby nabite ołowiem. Dopiero teraz przypomniał sobie, że przed wielu laty Kira była wicemistrzynią świata w zapasach i gdyby nie wypadek, który spowodował jej trener, pojechałaby na olimpiadę.

– Patrzy pan na moją łydkę.

Natychmiast przeniósł spojrzenie w kąt pokoju. Poczuł się jak niedzielny kieszonkowiec przyłapany przez surowego posterunkowego na gorącym uczynku.

– W poniedziałek spadłam ze schodów i podrapałam nogę aż do krwi.

Pomyślał, że jego żona, gdyby miała zranioną łydkę, nosiłaby grube rajstopy, aby ukryć ten mankament urody.

– Mogę pokazać kasetę wideo. Nad portiernią jest ukryta kamera. Włącza się automatycznie, gdy ochroniarz otwiera bramę. To w razie... takiej sytuacji jak dzisiejsza.

– Ile osób zatrudniła pani w Paradise?

– Mam kucharza, dwie kelnerki, sprzątaczkę, ochroniarza. Zaopatrzenie i administracja na mojej głowie – odparła.

– Zapomniała pani o krupierze.

Zawisła dłuższa cisza, w czasie której Syski kątem oka znowu spoglądał na jej podrapaną łydkę.

– Nie jest pani zimno?

Potrząsnęła głową.

– Myślę, że zna pani życiorysy swoich pracowników. Czy ktoś był karany, na przykład, za malwersację? Może za handel narkotykami? Albo za rozbój?

Bez zastanowienia odpowiedziała:

– Ochroniarz, a raczej stróż nocny, miejscowy pijaczyna, którego przygarnęłam z litości, kilka lat temu zgwałcił czy usiłował zgwałcić wczasowiczkę. Nie znam szczegółów, bo jeszcze wtedy nie mieszkałam w Sławie. Miał wyrok i... – urwała na moment. – W Paradise też mu się zdarzało wchodzić do bungalowów. Wiedziałam o jego zachowaniu, ale ponieważ żadna kobieta nie złożyła skargi, nie informowałam o tym policji. Pewnie źle postąpiłam.

– A tej nocy również, jak to pani powiedziała, ochroniarz wchodził do bungalowów?

Skwapliwie przytaknęła.

Nie lubił przemądrzałych inteligentów, wolał przesłuchiwać sprzedawczynie, kierowców, sprzątaczki, kelnerki, nawet prostytutki i ich opiekunów. Inteligenci, zamiast odpowiadać krótko i jasno, prawie zawsze mają jakieś zastrzeżenia, sami pytają albo dedukują i sugerują wnioski. Czasem straszą znajomymi, którzy są kimś w policji. Na jego szczęście jeszcze nie wszyscy mają swoich adwokatów.

– Nie przyznała się – stwierdził aspirant, kiedy wrócił z kasyna do pokoju, w którym Syski wcześniej przesłuchiwał Kirę. – Tak myślałem. A przynajmniej coś ważnego powiedziała, szefie?

– Ona nie udusiła Elżbiety Cukier. To musiał zrobić krzepki, młody i dość sprawny fizycznie mężczyzna. Nie mógł to być ani żaden inteligenciak z kasyna, ani ochroniarz.

– Ile trzeba siły, żeby pończochą babę tak...?

– A ja bym tego ochroniarza miał na oku, panie nadkomisarzu. – Posterunkowy podniósł prawą dłoń, zacisnął ją w kułak i zazgrzytał zębami. – W nocy, jakeśmy z kolegą chcieli wejść na ośrodek, żeby sprawdzić, co tu się dzieje, nie wpuścił. Jużem chciał przeleźć przez płot, ale kolega mówi: Poczekaj, przyskrzynimy go jak nie dziś, to jutro. Daję głowę, że ochroniarz coś musi wiedzieć.

Nadkomisarz zbył go lekceważącym milczeniem.

– Trudne zadanie – odezwał się lekarz. – Brak nawet jednego punktu zaczepienia, chociaż ten ochroniarz też nie daje mi spokoju.

– Zgadza się – z błyskiem w oczach przyznał mu rację aspirant, jakby się czegoś domyślał.

– Przy pomocy pana, doktorze, do poniedziałku będziemy mieli dusiciela. Właściwie jesteśmy o krok od niego – głos Syskiego brzmiał tajemniczo.

– A może jednak dusicielkę? Powinien pan zdawać sobie sprawę z tego, że prawie wszystkie kobiety, zatrzymane w kasynie, na co dzień noszą narzędzia zbrodni. Mam na myśli pończochy.

– W szafie denatki znalazłem dwie pary pończoch – z powagą oświadczył aspirant. – Licząc tę na łóżku, którą została uduszona, będzie dwie i pół pary.

Nadkomisarz zmarszczył czoło, dłonie splótł na plecach i milcząc przygarbiony spacerował po pokoju, jakby w myślach układał rewelacyjny plan. Nie idzie o to, w jaki sposób wyrządzono krzywdę, lecz w jaki ją znoszono.

– Od wszystkich pobierze pan krew.

– Bez nakazu sądowego nie mogę – zjeżył się lekarz. – To wbrew prawu. Ponadto mam tylko cztery strzykawki.

– Czy jest w Sławie ośrodek zdrowia z pełnym zapleczem? – Syski spytał posterunkowego i nie czekając na odpowiedź polecił: – Niech pan przywiezie pielęgniarkę.

Lekarz chciał coś jeszcze wyjaśnić, ale Syski nie dopuścił go do głosu, więc tylko pokręcił głową niezadowolony.

– Zanim próbki dostarczymy do Warszawy, minie kilka godzin.

– Analizy zrobimy w Zielonej Górze. W laboratorium polikliniki. Tyle pan doktor pewnie potrafi załatwić.

– Niewiele to da – ujął się za lekarzem aspirant. – Może nawet nic nie osiągniemy.

– A ja myślę inaczej. – Syski stanął w szerokim rozkroku na wyprostowanych nogach i wypiął brzuch, jakby w ten sposób chciał podkreślić, kto prowadzi śledztwo. – Jeśli będziemy mieli wyniki analizy krwi, przynajmniej wykluczymy kilka osób z kręgu podejrzanych. A...

– Pański szef ma rację – powiedział lekarz do aspiranta, przerywając Syskiemu.

– ... ponadto weźmiemy próbki włosów z nóg. Porównamy je z włosami, które muszą być w pończosze – dokończył nadkomisarz.

Aspirant i lekarz z niepewnymi minami spoglądali po sobie, wiedzieli, co ich czeka. Tylko posterunkowy był zadowolony.

– Gnam po pielęgniarkę.

– Załatwię badanie krwi w szpitalnej pracowni hematologii. Do południa będą wyniki analizy. Ale kto przebada włosy? To musi zrobić fachowiec z laboratorium kryminalistycznego Komendy Głównej.

– Ma pan przyjaciół wśród dermatologów, doktorze? – Syski nie ustępował. W jego głowie lęgły się pomysły, których nie wymyśliłby nawet Georges Simenon.

– A jeśli to nic nie da? – spytał niespokojnie aspirant.

– Wtedy ja i tak pojadę do Karlowych Warów, zaś pan, kolego, dokończy śledztwo. Oczywiście będzie pan postępował zgodnie z regulaminami, rozporządzeniami i uprawnieniami policji. Myślę, że kiedy wrócę wypoczęty, znajdę na swoim biurku raport. Od tego, chłopie, zależy pański awans.

Aspirant spojrzał ponuro na nadkomisarza. Lekarz zachichotał.

Posterunkowy spacerował dostojnie wokół parkingu przed kasynem i się zastanawiał, co by zrobił, gdyby był nadkomisarzem policji kryminalnej. Gdzieś słyszał, że każdy zabójca wraca na miejsce zbrodni i że nie ma morderstwa doskonałego. Gdyby więc posterunkowy mieszkał nie w Sławie, lecz w Zielonej Górze i dostał polecenie odszukania dusiciela Elżbiety Cukier, poleciłby takiemu jak on posterunkowemu przenieść kamerę wideo znad bramy do bungalowu, ustawić ją na szafie i cierpliwie czekać. A jeśli morderca nie wróci?

Najpierw zaskrzypiały drzwi portierni, potem ukazała się w nich głowa ochroniarza. Instynkt podpowiedział posterunkowemu, żeby natychmiast przykucnąć za zielonym peugeotem. Ochroniarz wyszedł na dwór, starał się cicho zamknąć drzwi za sobą. Stwierdziwszy, że nikogo nie ma na parkingu, pochylony podbiegł do bramy. Wsunął klucz w zęby kłódki i chwilę mocował się z zamkiem. Posterunkowy krzyknął: – Stój!

Ochroniarz jednak zdążył wyjąć kłódkę ze skobla i rozewrzeć furtkę. Obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, kto go dostrzegł.

– Stój! – huknął posterunkowy. – Stój, bo strzelam! – Odbezpieczył pistolet. – Stój! – powtórzył i wystrzelił w powietrze.

Dzikie kaczki, spokojnie pływające wzdłuż brzegu, podniosły wrzask, trzepocząc skrzydłami uciekały na środek jeziora. Kundel warujący przy budzie za portiernią podkulił ogon. Szyby w oknach kasyna zadrżały, a miednica z przeraźliwym łoskotem zsuwała się po schodach bungalowu, w którym nadkomisarz przesłuchiwał właścicielkę Paradise.

Posterunkowy zgubił czapkę, nie zważając na krzaki róż raniące jego nogi, biegł pod górkę z pistoletem wycelowanym w stróża. Z bungalowu wyskoczył nadkomisarz, za nim aspirant, widząc policjanta w akcji również wyszarpnęli pistolety z kabur i puścili się w kierunku bramy.

Ochroniarz obiegł dom towarowy, popędził uliczką do dworca, wpadł między klony w zdziczałym parku, za którym podróżni czekali na autobus do Zielonej Góry.

– Trzymać go! – krzyknął posterunkowy.

Jedynie krótkowłosy mężczyzna w przydymionych okularach odwrócił się i przeniósł torbę z jednego ramienia na drugie. A kiedy zdyszany ochroniarz chciał go wyminąć, wysunął prawą nogę jakby mimo woli. Ochroniarz upadł plackiem na ścieżkę, próbował się podnieść, lecz wtedy posterunkowy strzelił czwarty raz, na oślep i bez ostrzeżenia. Kula trafiła w plakat wyborczy Elżbiety Cukier na tablicy ogłoszeń przy dworcu, wyłupując kawałek deski.

– Mam cię! – Policjant przydusił swoim ciałem ochroniarza. – Wiedziałem, że to ty, skurwielu... Mam mordercę! – zawołał do nadkomisarza, sapiąc.

Nadjechał spóźniony autobus ze Wschowy, lecz nikt do niego nie wsiadł. Pasażerowie byli ciekawi, jak policjant sobie poradzi z zapięciem kajdanków na rękach leżącego plackiem ochroniarza.

Jeszcze nigdy posterunkowy nie czuł się tak ważny jak w tej chwili. Nie nadkomisarz czy aspirant, lecz on złapał prawdziwego mordercę. Najpierw zapalił klubowego, później nogę założył na nogę, czapkę powiesił na kolanie i oparł się mocno o poręcz krzesła. Gdyby został woźnym, jak mu proponował dyrektor szkoły, kto by cokolwiek o nim wiedział? Na pierwszej stronie poniedziałkowej Gazety Lubuskiej na pewno będzie informacja o morderstwie w Paradise. Redaktor nie poda nazwiska zabójcy, napisze tylko, że policja zatrzymała Nikodema W., ale wymieni nazwisko posterunkowego. Będę musiał kupić kilka egzemplarzy, pomyślał posterunkowy, już sobie wyobrażając sąsiadów, jak mu gratulują odwagi.

– Niech pan przeszuka portiernię – przerwał jego rozmyślania Syski.

Na biurku leżał rulon nowych banknotów. Nadkomisarz poprosił aspiranta, żeby je przeliczył, a Nikodema Wolskiego spytał:, czy to są jego pieniądze. Ochroniarz siedział na krześle z głową zwieszoną na piersi i pociągał nosem.

– Czy te pieniądze należą do pana? – powtórzył Syski.

– Sto dziewięćdziesiąt tysięcy w setkach. Wszystkie banknoty mają identyczne numery. – Aspirant czekał, jak na taką wiadomość zareaguje nadkomisarz.

– Skąd pan ma te pieniądze? – spytał Syski.

Wolski bąknął:

– Podpieprzyłżem.

– Komu? Kiedy? Gdzie?

– Panie, jak Boga szczerze kocham, ja jej nie zakatrupił.

– Kogo? – Nadkomisarz stanął za plecami ochroniarza.

– Tej, no... synatorki – odpowiedział Wolski.

– A kto?

– Jakem... – Stary odwrócił się do Syskiego. Patrząc mu w oczy mówił: – Pan mnie nie wierzy. Jak Boga kocham, ona już była trup, jakem tam wszedł. Przyznaję się do tego, żem wziął forsę. Za to może mnie pan wsadzić do ciupy... No, ja jej nie udusił – dodał łamiącym się głosem.

Syski położył dłoń na jego ramieniu.

– Niech pan się uspokoi. Na razie nikt nie oskarża pana o morderstwo. Proszę opowiedzieć wszystko, dokładnie i powoli, co pan widział. – Był przekonany, że tą metodą wydusi ze stróża jak najwięcej.

Wolski potulnie skinął głową.

– Mogę zapalić?

Nadkomisarz podał mu papierosa. Ochroniarz zaciągnął się dymem głęboko i po chwili powiedział:

– Myślałżem sobie, co tam nikogo nie ma, bo światło zgaszone. To wszedł ja. Patrzę, na stoliku leży forsa. O ta – pokazał ręką na banknoty. – To napchałżem nią kieszenie.

– Niczego więcej pan nie zauważył?

– Pani synatorka leżała golusieńka na tapczanie, jak ją Pan Bóg stworzył.

– Nie bał się pan, że narobi krzyku, gdy pana zauważy?

– To i ja dał dyla.

– Pan był już karany. Za gwałt – przypomniał mu nadkomisarz.

– Sama mnie podkusiła, a potem gadała, co ja ją zgwałcił.

Syski skinął potakująco głową, jakby przyznał mu rację. Usiłował to sobie wyobrazić: powabna, lecz samotna wczasowiczka zaprasza mężczyznę do pokoju, częstuje go wódką, zdejmuje z siebie bluzkę, spódnicę...

– Która była godzina, kiedy wszedł pan do bungalowu Elżbiety Cukier?

– Bo ja wiem? – Wolski zmarszczył czoło i wydął usta. – Dwunastej jeszcze nie było.

– Czy wcześniej ktoś, poza mężem denatki, kręcił się koło bungalowu?

Ochroniarz znowu zwiesił głowę na piersi. Po chwili wykrztusił:

– Pan Kramarz. On, ja tak myślę, z nią... tego no...

– I nikt więcej? – spytał Syski ze starannie ukrywaną ciekawością.

– Zawsze w piątek pan Kramarz z żoną, pan Cukier też z żoną, to znaczy teraz z denatką, pan co jest za wiceprezydenta... ta pani, co ma forsy jak lodu... Oni tu przyjeżdżają. Jak pan Cukier gra w ruletkę, to pan Kramarz zachodzi do jego żony.

– A pan podsłuchuje i donosi Cukrowi. Za pieniądze – stwierdził bez cienia wątpliwości Syski.

Wolski nie zaprzeczył.

– Czy jeszcze pan coś zauważył?

– Pan Kramarz, jak wyszedł z domku, to nie poszedł do kasyna, ot co, tylko spacerował po ośrodku. Może z dziesięć minut. W jeziorze umył ręce i, to może być ważne, otworzył bagażnik swojego samochodu.

Wyraz twarzy Wolskiego nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że mówi prawdę.

Do pokoju cichutko wślizgnął się posterunkowy, poprosił nadkomisarza, żeby wyszedł z nim na korytarz, bo ma coś sekretnego do przekazania.

W wydziale operacyjnym lubuskiej policji nikt nie słyszał o pojawieniu się większej ilości fałszywych banknotów dwustuzłotowych. Owszem co kilka dni właściciele sklepów i bankierzy przynosili podrobione pieniądze do gmaszyska przy ulicy Partyzantów, ale były to pojedyncze egzemplarze, trafiające się w odległych od siebie punktach miasta. Syski za późno zdał sobie sprawę z tego, że nikomu nie polecił pobrać odciski palców z banknotów. Skarcił aspiranta, bo to on powinien pamiętać o podstawowych czynnościach, występujących w każdej operacji kryminalnej.

– Panie nadkomisarzu, dzwonią z gazety – oznajmił mu posterunkowy z radością w oczach.

– Nie ma mnie!

Posterunkowy pokornym głosem przekazał to, co mu kazał powiedzieć Syski, lecz redaktor upierał się, że koniecznie musi rozmawiać z prowadzącym śledztwo.

– Słucham, nadkomisarz Syski – rzucił niechętnie do słuchawki.

– Daniel Sateck – przedstawił się redaktor. – Wiem, że niczego mi nie powiesz. Mam jedną prośbę...

– Serdeczny przyjacielu – przerwał mu Syski – gdy tylko znajdę mordercę, a muszę go mieć do poniedziałku, będziesz pierwszym, któremu udzielę informacji.

– Po starej znajomości odpowiedz na jedno pytanie.

– Nic z tego.

– Czy na pewno została uduszona Elżbieta Cukier i czy znaleźliście przy niej fałszywe pieniądze?

– Człowieku, skąd o tym wiesz?!

– Tak czy nie?

Syski stał przy oknie i widział wysoki płot szczelnie opasujący ośrodek, furtkę zamkniętą na kłódkę, kaczki pływające po falującym jeziorze. Nikt, z wyjątkiem lekarza, nie wydostał się z Paradise. Posterunkowy...?

– Jedno twoje słowo i odkładam słuchawkę. Potwierdź albo zaprzecz – naciskał Sateck.

– Daniel, skurczybyku, rozmawiałeś z lekarzem!

– Ty masz swoich kapusiów, ja swoich. Bez nich niewiele bylibyśmy warci.

– Przysięgnij, że nie podasz źródła informacji. I nie ukaże

się ona na pierwszej stronie gazety.

– Tyle mogę ci obiecać.

– Zrób coś! – podniesionym głosem powiedziała żona wiceprezydenta do męża, który od dłuższego czasu milczał w fotelu. – Jakim prawem oni nas tu trzymają? Czuję się, jakbym była internowana w stanie wojennym.

– Gdyby się okazało, że to pani zabiła kandydatkę, zaliczą pani te dwa dni do odsiadki – rzekł z niezmąconym spokojem właściciel przychodni dla małych zwierząt.

Wiceprezydent zmierzył go potępiającym wzrokiem.

– Spać mi się chce. – Wiceprezydencina przeciągnęła się w fotelu.

– A czego pani brakuje? Jeść dają. Podatków płacić nie każą.

– Przesłuchują. A ja tego nie lubię – przyznał się wiceprezydent.

– Pan też przesłuchuje.

– Co pan ma na myśli? – oburzył się wiceprezydent. – Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Natychmiast! – Zerwał się z fotela. – No, czekam.

– Odpieprz się pan. Tu nie urząd. Tu jest hazard w lewym kasynie.

– Ja pana podam do sądu!

– Mnie to pan może nadmuchać. Jestem ciekawy, co pan odpowie radnym, jak się dowiedzą, gdzie pan przepuszcza forsę? Ha, haa – rechotał weterynarz.

Andrzej Kramarz co chwilę oblizywał spieczone wargi i pociągał nosem jakby był przeziębiony, ręce to wsadzał do kieszeni, to opierał o kolana, to chował za plecami, żeby ukryć zdenerwowanie. Wielokrotnie miał do czynienia z policją, a z kontrolerami skarbowymi przynajmniej raz w miesiącu, zawsze jednak jakoś sobie radził. Teraz nie tylko że nie umiał opanować drżenia rąk, ale i nie potrafił zebrać myśli. Na pytania Syskiego odpowiadał bezmyślnie i chaotycznie, jakby się bronił przed niespodziewanym atakiem z kilku stron. Rano kupił camele w barze, a już pudełko było puste.

– Czy mogę zapalić?

Nadkomisarz położył przed nim paczkę papierosów.

– Wiem, że w piątek wieczorem doszło do sprzeczki między panem i pańską małżonką. Nic nadzwyczajnego, skoro nawet w najbardziej zgodnych rodzinach czasem coś się nie układa i nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje – starał się go uspokoić policjant. – O której godzinie wyszedł pan z bungalowu?

Nastała dość długa cisza jak na przesłuchanie, w czasie której Kramarz na przemian niepewnie zerkał na nadkomisarza i omiatał wzrokiem dywan.

– Wyszedł pan jeszcze przed północą czy później?

– Mogła być jedenasta, to znaczy dwudziesta trzecia.

– Wyszedł pan z zamiarem udania się do Podziemia?

Kramarz znowu spuścił oczy. Westchnął głęboko. Kiedy spojrzał ponownie na Syskiego, jego twarz była szara jak ściana nad regałem.

– Nie – bąknął.

– A jaki był pański plan?

– Wiedziałem, że Elżbieta czeka w swoim bungalowie. Błagam, niech pan nie mówi tego mojej żonie.

Gdybym ja był na jego miejscu, pewnie też miałbym identyczną prośbę, pomyślał Syski.

– Czy po wyjściu ze swojego domku spotkał pan kogoś na terenie ośrodka?

– Przez kilka minut gawędziłem z tutejszym ochroniarzem. Niestety, nie znam jego nazwiska.

– O czym rozmawialiście?

– Właściwie o niczym. O pogodzie czy czymś podobnym.

– Pan powiedział, że Elżbieta Cukier czekała w bungalowie. Coś jej pan obiecywał?

– Miałem przynieść pieniądze na jej kampanię wyborczą. Jednak zmieniłem zdanie. Ona nie miała żadnej szansy dostać się do Senatu. To jej powiedziałem.

Syski wybałuszył oczy.

– Jak to?... Przecież dostarczył pan do jej bungalowu sto dziewięćdziesiąt tysięcy w banknotach stuzłotowych – powiedział niskim, budzącym lęk głosem. I dodał ironicznie: – Pieniądze, o czym musiał pan wiedzieć, były fałszywe.

Z przesadną dokładnością aspirant położył na stoliku kilka banknotów, Kramarz spojrzał na nie i natychmiast uciekł wzrokiem na dywan.

– Tyle odzyskaliśmy. A tyle – nadkomisarz mrugnął porozumiewawczo do aspiranta, który wyjął z foliowego woreczka stos nowiutkich banknotów – znaleźliśmy w pańskiej torbie podróżnej. Wszystkie mają identyczne numery i są podrobione po mistrzowsku. Nawet, co mnie zaskoczyło, mają znaki wodne. Czy te fałszywki również należą do pana?

– Boże, ktoś mnie wrobił – jęknął Kramarz. Robił wrażenie jeszcze bardziej przerażonego.

– W fałszywki?

– Nie. W morderstwo.

– To powinno dać się wyjaśnić.

– Jeśli nie?

– Czeka pana pokuta za kratami.

– Ile mogę dostać?

Syski miał poczucie bylejakości tej chwili, ale odpowiedział:

– O tym zadecyduje sąd.

– Przyznaję się do pieniędzy – powiedział Kramarz.

Nadkomisarz zdrętwiał. W żołądku ścisnęło go z emocji. Przez moment brakowało mu tchu.

– Czy również przyznaje się pan do zamordowania Elżbiety Cukier?

Kramarz zaprzeczył ruchem głowy i znieruchomiał. Jego twarz znowu była szara. Po chwili lewą ręką sięgnął po papierosa, prawą przytrzymywał żuchwę.

– To jej sprawa.

– Kogo pan ma na myśli?

– Henrykę. Moją żonę. Wszystkiego się domyślała, dlatego była taka nie do życia. Musiała wiedzieć, że spotykam się z Elżbietą. Ona udusiła Elżbietę i ona, żeby mnie wrobić, podrzuciła te pieniądze. Znaleźliście pończochę – ni to spytał, ni stwierdził. – Żona ma łuszczycę. Zima czy lato, bez względu na pogodę zawsze nosi pończochy.

– Jeszcze jedno pytanie. Intymne – dodał Syski z namysłem. Brakowało mu prostych słów, a nie chciał posługiwać

się językiem lekarskim, lecz nie miał innego wyjścia. – Przed śmiercią ofiara, Elżbieta Cukier, prawdopodobnie miała stosunek seksualny. Wprawdzie lekarz w czasie oględzin zwłok nie znalazł śladów spermy na jej udach i w tamtych okolicach, ale jego wprawne oko dostrzegło otarcia i zaczerwienienia. Czy pan był jej partnerem?

Twarz Kramarza spurpurowiała.

Gdy nadkomisarz wszedł do dużej sali Kormorana, kilka par oczu zwróciło się w jego stronę z zaciekawieniem, jakby był kimś znanym w miasteczku. Czując na sobie ciężar spojrzeń bywalców restauracji, wybrał stolik w kąciku. Natychmiast podeszła kelnerka, uśmiechnęła się do niego, chociaż nigdy tego nie robiła nawet w stosunku do doktora Szpaka, i podała mu jadłospis.

– Jesteśmy cholernie głodni – powiedział, pokazując ruchem głowy na aspiranta i posterunkowego. – Proszę o coś taniego, smacznego.

– Mogą być flaki i kotlet pożarski? Świeże – zapewniła.

– Byle szybko.

Kelnerka odeszła odprowadzana do kuchni zalotnym wzrokiem posterunkowego, który trzymał głowę wysoko, jakby chciał powiedzieć jej i wszystkim gościom: patrzcie, kogo przyprowadziłem do Kormorana. Znacie go? Nie, bo i skąd? To się przyjrzyjcie, jak wygląda osławiony nadkomisarz Syski, o którym piszą wszystkie gazety regionalne. A Syski słuchał, jak podchmieleni goście przy sąsiednim stoliku, udający miejscowych rockefelerów, rozprawiają o morderstwie w ośrodku. Nie miał im tego za złe. Nieszczęśliwi chętnie mówią o nieszczęściach innych.

– Andrzej Budak z Polskiej Agencji Prasowej – przedstawił się rosły, brodaty mężczyzna i zanim Syski zdążył otworzyć usta, spytał: – Ile jest prawdy w tym, że w Paradise była drukarnia fałszywych pieniędzy? Czy matryce zostały wytrawione w laboratorium Novity? Jaki to ma związek z zabójstwem kandydatki na senatorkę?

– W tej sprawie proszę się zwrócić do rzecznika prasowego komendanta wojewódzkiego – odparł Syski.

– Komisarz Michalak jeszcze nie zna wyników dochodzenia.

– A ja nie mam upoważnienia do przekazywania jakichkolwiek informacji reprezentowanej przez pana agencji. Sprawa jest poważna i skomplikowana. Nic na łapu-capu..

– Proszę tylko o kilka zdań komentarza – naciskał Budak.

– Mam sporo przyjaciół w prasie, szanowny panie redaktorze. Doskonale rozumiem, że dziennikarze zachowują się jak długodystansowcy i hołdują zasadzie: kto pierwszy, ten lepszy. Póki jednak nie ustalę wszystkich szczegółów związanych z morderstwem w Paradise, a dotąd nie ustaliłem nawet połowy, nie pisnę słowem.

– Czy z kręgu podejrzanych wykluczył pan właścicielkę ośrodka i jej szwagra?

– Bez odpowiedzi.

Nadkomisarz nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że ostatnim partnerem seksualnym Elżbiety Cukier był Andrzej Kramarz. Wprawdzie Kramarz nie odpowiedział zdecydowanie na jego pytanie, lecz i nie zaparł się, co z punktu widzenia policjanta kryminalnego ma znaczenie istotne. Są sprawy, o których nie można mówić wprost. Im kto większą ma władzę, tym większą musi mieć cierpliwość, przypomniał sobie maksymę, którą często powtarzał zaprzyjaźniony z Danielem Sateckiem ksiądz Zygmunciak.

Pojedyncze włosy, które lekarz zebrał z prześcieradła, podbrzusza i ud zmarłej, były krucze i wyraźnie skręcone w prawą stronę. Jeszcze podczas wstępnego przesłuchania w kasynie nadkomisarz zwrócił uwagę na srebrzącą się nad uszami i przerzedzoną z tyłu czarną czuprynę Kramarza. Policjant i lekarz doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że na podstawie pobieżnych oględzin włosów można wskazać winnego. Gdyby jeszcze udało się zebrać inne dowody winy, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Jeśli Kramarz zaraz nie przyzna się, zawiozę go do laboratorium dermatologicznego, każę pobrać próbki włosów z jego piersi, nóg i głowy i porównać z włosami zebranymi w pokoju denatki, postanowił.

Przed nadkomisarzem siedziała kobieta zadbana, opanowana, skora do szczerej rozmowy, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że będzie musiała odpowiadać nawet na niedyskretne pytania.

– Nazywa się pani Henryka Kramarz. Lat trzydzieści. Wykształcenie wyższe chemiczne. Miejsce pracy: laboratorium Novity. Czy to się zgadza? – zaczął Syski głosem przyjaznym. – Od dawna jest pani mężatką?

– Od sześciu lat.

– Dzieci? – Wiedział, że Henryka jest bezdzietna, a jednak to zadał pytanie.

– Nie mamy.

– Brak potomstwa został spowodowany chorobą pani czy męża? Może są inne przyczyny? – Mimo że nie patrzył jej prosto w twarz, starał się wychwycić każde niezdecydowanie.

– Wolałabym na tak osobiste pytania nie udzielać odpowiedzi – odparła Henryka bardzo spokojnie. – Nie mają one bezpośredniego związku z tym, co się wydarzyło w nocy.

– Wycofuję oba ostatnie pytania. Proszę je wykreślić z protokołu przesłuchania – zwrócił się do aspiranta, który siedział nad kartką papieru przy stoliku. Twarda i inteligentna sztuka, ocenił Henrykę. – Ale na następne zapytanie muszę uzyskać pełną odpowiedź.

– Słucham.

– Co pani robiła w piątek wieczorem, kiedy mąż wyszedł do kasyna?

Henryka nadal była opanowana, nie skubała paznokci, nie miętosiła paska, nie pociągała nosem i nie wycierała palcami oczu, co się często zdarza kobietom przesłuchiwanym. Siedziała w fotelu z nogą założoną na nogę, oczy i usta miała zwrócone do aspiranta, jakby mu dyktowała odpowiedź.

– Czytałam książkę Wiliama Whartona *Spóźnieni kochankowie*. Poleciła mi ją córka mojej przyjaciółki z laboratorium. Dokładnie o pierwszej położyłam się spać.

– Może ktoś panią odwiedził?

– Nikt.

– Na pewno. Proszę sobie przypomnieć – nalegał Syski, zdumiony własną bezczelnością.

– Nikt.

– Ochroniarz zeznał, że przed północą do domku, wynajętego przez panią i męża, weszła właścicielka ośrodka. Czy tak było?

Aspirant podniósł wzrok znad kartki i czekał, co powie Henryka. A ona odparła najspokojniej:

– Ochroniarz powiedział prawdę.

– Spodziewała się pani tej wizyty?

– Tak.

– I dlatego nie poszła pani do kasyna z mężem?

– To nie był jedyny powód mojej nieobecności w Paradise. Zawsze traktowałam wyjazd do Sławy jako oderwanie się od spraw codziennych i okazję do kontaktu z Kirą.

– Czy w piątek była to wyłącznie rozmowa siostry z siostrą? Może wydarzyło się coś, o czym woli pani nie mówić?

Tylko na moment Henryka spuściła wzrok na podłogę.

– Przecież pan o wszystkim doskonale wie. Po co to udawanie? Niech pan zanotuje – zwróciła się do aspiranta – że moja siostra Kira ma skłonności homoseksualne. W nocy z piątku na sobotę robiłam z nią to, co normalna kobieta robi z normalnym mężczyzną w łóżku.

Nadkomisarz oniemiał na moment. O tym nawet ochroniarz mu nie powiedział. Pewnie zgasiły światło i robiły to cicho. Podszedł do okna, chwilę stał przypatrując się samochodom uwięzionym na parkingu. Tyle lat wskazuje zabójców, ale nigdy nie miał do czynienia z lesbijką, w dodatku z kobietą wykształconą i nie starającą się nawet ukryć swoje skrzywienia. Co takiego jest w kobietach, że postępują wbrew naturze?

– Czy te skłonności, o których pani wspomniała, dotyczą wyłącznie siostry? – Może posunąłem się za daleko, pomyślał, dotykając jakiegoś punktu czułego?

Henryka nawet się nie zarumieniła.

– Zawsze, kiedy przyjeżdżam do Paradise, ulegam Kirze. Ja, proszę mi wierzyć, byłam i nadal jestem sobą, to znaczy stuprocentową kobietą i w kontaktach z mężczyznami zachowuję się wyłącznie jak kobieta.

– Nie mam wątpliwości – odezwał się nadkomisarz, nie odrywając spojrzenia od samochodów. Doświadczenie pod-

powiadało mu, że nie powinien się niczemu dziwić, a jednak nie umiał sobie wyobrazić dwu kobiet w łóżku, z których jedna gra rolę mężczyzny.

– Od dawna wiedziałam... Pan też już wie, że Elżbieta Cukier była kochanką mojego męża. Proszę więc zadawać mi pytania związane z morderstwem. Być może będę w czymś pomocna.

Aha, toś ty taka. Nie lubisz konwenasów. Syski więc wypalił:

– W torbie podróżnej pani męża znaleźliśmy dużą ilość fałszywych banknotów. – Odwrócił się i patrzył, jak Henryka zareaguje, a ona nawet się nie zdziwiła, tylko przytaknęła. – Mogę oskarżyć panią o współudział...

– Wcześniej musi pan przedstawić dowody mojej winy – przerwała mu.

Bez namysłu powiedział:

– Te banknoty pani podrobiła.

– A dowody?... Na przykład odciski palców czy ...?

– Pani siostra przed południem zaprowadziła nas do piwnicy pod kasynem. Niczego nie ukrywała. Mówić dalej?

Henryka roześmiała się, ukazując pełny garnitur zębów niby obleczonych w białe prześcieradło. Czego jak czego, ale zębów Syski jej zazdrościł.

– Jest więc winowajczyni. Brawo! Dlaczego pan nie aresztuje Kiry?

– Nie ona, lecz pani produkowała banknoty – blefował, bo przecież dotąd nie miał żadnych dowodów jej winy. Henryka czując, że traci grunt pod nogami, zagryzła wargi. Syski to dostrzegł i bezczelnie blagował dalej: – Odczynniki przywiozła pani z laboratorium Novity. Papier pochodzi z Celulozy. Gdyby tego było mało...

– Tak! – krzyknęła. – Podrabiałam. Za to może mnie pan postawić przed sądem, ale nigdy za morderstwo.

Ma rację, stwierdził w myślach Syski.

– Trzeba jednak udowodnić, że wprowadzałam fałszywe banknoty do obiegu.

– Powoli, powoli – odezwał się aspirant, starając się dokładnie zanotować to, co mówiła Henryka.

– Niech pan kupi sobie magnetofon!

Syski jakby na to czekał, toteż oparł się plecami o ścianę i z boku mierzył do Henryki.

– A teraz proszę podnieść sukienkę.

– Po co?

– Dość udawania! – krzyknął nadkomisarz – Podnieś, kobieto, sukienkę.

– Zgodnie z prawem mogę to zrobić w obecności policjantek, a nie mężczyzn. – Henryka znakomicie udała oburzenie. – Ale jeśli jest to konieczne, proszę bardzo. – Palcami obu rąk chwyciła sukienkę i uniosła ją wysoko, pokazując zgrabne uda obciągnięte beżowymi pończochami. – Może jeszcze wyżej albo się rozebrać do stroju Ewy? – spytała z wyraźną ironią.

Zbity z tropu aspirant trochę się speszył.

– Wystarczy, wystarczy – nadkomisarz machnął ręką, nic sobie nie robiąc z zachowania Henryki. – Śledztwo w sprawie nielegalnej produkcji banknotów przeprowadzi kto inny. Ja oskarżam panią o morderstwo.

– Żeby mnie zatrzymać choćby na dwie doby, musi pan mieć jakieś podstawy prawne, prawda? Czy jest pan w stanie sam je przedstawić?

Bezczelna, pomyślał Syski. Aspirant wyjął z woreczka nylonowego beżową pończochę i położył ją na stoliku.

– Taką samą pończochą została uduszona Elżbieta Cukier.

– Możliwe – powiedziała Henryka. – Nie noszę pończoch z lycry.

– Z czego?... – Obaj policjanci nie zrozumieli.

– Z lycry. Z włókna poliuretanowego, odznaczającego się dużą elastycznością. Mającego właściwości zbliżone do włókna kauczukowego. Ja takich pończoch nie noszę. – Uniosła prawą nogę i zsunęła z niej pończochę. – Nie noszę, ponieważ mam łuszczycę. – Pokazała na czerwonobrunatne grudki pokryte srebrzystobiałymi łuskami, jak placuszki przylepione do całego kolana. – Ze względów higienicznych używam wyłącznie pończoch bawełnianych.

– A...? – Syski otworzył usta ze zdumienia.

– Czy nadal jestem oskarżona o uduszenie niedoszłej senatorki?

Nadkomisarz przez dłuższą chwilę tkwił nieruchomo w jednym w miejscu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał, a potem, potrząsnąwszy nagle głową, spytał:

– Czy Kira, siostra pani, też ma łuszczycę?

Henryka pokręciła przecząco głową.

Nie przed południem, jak się umawiali, lecz dopiero późnym wieczorem lekarz przywiózł do Paradise protokół sekcji zwłok, wstępne wyniki analiz laboratoryjnych włosów i krwi. Mimo widocznego zmęczenia na nieogolonej twarzy, bo przecież pracował drugą dobę, tryskał nieznośnym humorem.

– Nie popisał się pan – rzekł głosem zdecydowanym do aspiranta, ukrywając ironię. – Jest źle i będzie jeszcze gorzej.

– Bardzo źle? – Aspirant wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Z czymś takim... odkąd jestem lekarzem... a jestem nim dłużej niż pan... Ile pan ma lat? Trzydzieści najwyżej?

Aspirant zgodnie kiwnął głową i zaraz wściekle opuścił ją na piersi. Tyle wysiłku nadkomisarza, jego, posterunkowego i wszystko na darmo, zrozumiał. A z czym wrócił lekarz?

– Mam nienajlepszą wiadomość.

Ani jeden mięsień na twarzy lekarza nie zadrżał.

– Co się stało?

– Nie wiem, od czego zacząć – lekarz powiedział to takim tonem, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata, a jemu brakowało odpowiednich słów na przekazanie ostrzeżenia.

– Sprawa dotyczy mnie czy nadkomisarza?

– Przede wszystkim pana.

– Mnie? – Aspirant uśmiechnął się, uniósł do góry brwi, wymruczał pod nosem krótkie przekleństwo.

– Jutro nadkomisarz wybiera się na urlop, co oznacza, że pan powinien sprawę zakończyć. Niestety, nie wskaże pan mordercy.

– A dlaczego? – dociekał z kamienną twarzą.

– Bo za kilka minut zrobi to fachowo nadkomisarz. Awans był tak blisko, co? Ha ha ha! – Lekarza porwał śmiech akurat w chwili, gdy do pokoju wrócił Syski. Niczego nie tłumacząc, rzekł wprost do niego: – Może pan zwolnić wszystkich

gości Paradise. Są niewinni. Proszę przesłuchać właścicielkę ośrodka.

Najpóźniej za godzinę nadkomisarz zakończy śledztwo. Z rękami założonymi do tyłu stał przy oknie i przyglądał się fordom, oplom, volkswagenom, hondom w pośpiechu wymykającym się z Paradise. Pewnie już nigdy tu nie wrócą, myślał nie bez racji o gościach ośrodka. A może się mylę? Takim jak on, wskazał na wiceprezydenta za kierownicą pontiaca, jest najtrudniej odzwyczaić się od używek. Kto raz poznał smak łatwego chleba na wolności, nie potrafi żyć na uwięzi. Współcześni ludzie zachowują się jak udomowione psy czy koty.

Z domku na stoku posterunkowy wyprowadził Henrykę Kramarz. Ręce miała spięte kajdankami. Szła do policyjnego poloneza patrząc gdzieś daleko, ale nawet ci, którzy wyjeżdżali samochodami nie spoglądali w jej stronę. Mądra, ładna kobieta, ocenił ją nadkomisarz i westchnął:

– Któż może oświadczyć, że jest niewinny według wszystkich zasad prawnych? Gdyby nawet tak było, to jakże ograniczona to niewinność: być poprawnym wedle przepisów.

– Tego się nie spodziewałam. Taka spokojna... Ile lat odsiadki dostanie Henryka? – spytała Kira, udając siostrzane zaniepokojenie.

– To sprawa sądu, nie policji – z powagą oświadczył Syski. Cierpliwie czekał, kiedy ona przestanie pytać, bo przecież on jeszcze nie wszystko wyjaśnił, a czasu miał już mało.

– Czy będę mogła odwiedzać siostrę?

– W najbliższym czasie chyba nie. – Odwrócił się do niej plecami i rzekł: – Na pewno nie.

– A to dlaczego?

Nadkomisarz nie odpowiedział, przymrużył oczy i długo się zastanawiał, czy rzeczywiście Kira niczego nie wie, bo jest niewinna, czy udaje niewinną i liczy na to, że wszystko co teraz nastąpi, będzie dla niej korzystne. Odwrócił się, pochylony zrobił krok w jej stronę.

– Dokąd pani poszła po wyjściu z bungalowu zajmowane-

go przez siostrę? Chodzi mi o noc z piątku na sobotę.

– Już mówiłam.

– Komu?

– Skoro panu pamięć nie dopisuje, powtórzę, ale będzie to ostatni raz – odparła pewna siebie. – Kiedy stałam na pomoście, była dokładnie północ, usłyszałam krzyk w kasynie. Pobiegłam tam. Pan Cukier trzymał się za głowę i jęczał nieludzkim głosem, że jego żona... – urwała i ukryła twarz w dłoniach.

– Na pewno tak było?

– Tak to zapamiętałam.

– Nie ma ani słowa prawdy w tym, co pani powiedziała.

– Ja to tak zapamiętałam – powtórzyła Kira, nastawiając na wyższą nutę swój męski głos.

– Pani kłamie. Wszystko – poprawił się – prawie wszystko co pani dotąd powiedziała, było kłamstwem.

– Ja?... Dlaczego miałabym kłamać, panie nadkomisarzu?

Syski tępo patrzył na aspiranta, trwało to może minutę, po czym zrobił długi krok i zatrzymał się przed Kirą.

– Drukarnia fałszywych banknotów znajdowała się w piwnicy pod kasynem.

– Nic o tym nie wiem. Ale mnie pan zaskoczył. Co jeszcze odkrył pan w Paradise? – spytała, a on wyczuł lęk w jej głosie.

– To pani namówiła inżyniera Smykałę z Celulozy, notabene byłego zapaśnika Orląt i pani męża, żeby wyprodukował papier zbliżony parametrami do stosowanego w drukarni polskich banknotów. Pani również zaproponowała siostrze, żeby opracowała i w laboratorium Novity sprawdziła technologię druku pieniędzy. Nawiasem mówiąc, moi koledzy stwierdzili, że z tak doskonale sfałszowanymi banknotami dawno nie mieli do czynienia. Z jednym Henryka Kramarz nie umiała sobie poradzić: jak drukować kolejne numery. Dlatego banknoty niczym się nie różniły. Ale ta sprawa mnie najmniej interesuje.

Kira potrząsnęła głową, starając się go przekonać, że nie wie o istnieniu drukarni w ośrodku.

– Nie mam z tym nic wspólnego – zapewniła go i uciekła wzrokiem na półkę, gdzie leżały papierosy. – Mogę zapalić?

Na znak Syskiego aspirant wyjął z nylonowego woreczka beżową pończochę i położył ją na skraju biurka.

– To jest narzędzie zbrodni – powiedział nadkomisarz, po czym poprosił Kirę, żeby zdjęła pończochę z lewej nogi.

– Dlaczego akurat z lewej? Nie może być z prawej? – Nadkomisarz nie zareagował na pytanie, więc Kira z niechęcią podporządkowała się jego decyzji. – Co jeszcze każe mi pan zdjąć?

– Na razie wystarczy. – Obie pończochy najpierw ułożył obok siebie, a później rozciągnął je jak gumkę. – Zostały zrobione nie tylko z tego samego włókna poliuretanowego, lecz i na tej samej maszynie, i w tej samej fabryce.

– Możliwe.

– Takie pończochy można kupić jedynie w stoisku z pasmanterią w Perkozie i na terenie Paradise. Barman oświadczył, że nikt, wyłączając panią, nie kupował pończoch w kasynie. Kelnerka zaś zauważyła, że żadna kobieta, która przyjechała na weekend do ośrodka, nie nosi pończoch. – Syski kłamał, mimo to brnął dalej. – Kobiety wolą rajstopy, ponieważ nadają biodrom smuklejszy kształt. Czy zgadza się pani ze mną?

Niechętnie skinęła głową.

– Śmieszy mnie pańska spostrzegawczość.

– Zanim jeszcze coś przed panią odkryję, poproszę o dowód osobisty.

Kira posłusznie sięgnęła do torebki. Najpierw wyjęła dowód, potem paczkę carmenów, zapaliła papierosa. Twarz miała spiętą i bladą.

– Grupa krwi A dwa Rh dodatni – przeczytał, trzymając dowód w lewej ręce.

– Nie pamiętam – odparła szeptem. Czoło przysłoniła prawą dłonią.

Nadkomisarz zwrócił uwagę na jej tępo zakończone paznokcie.

– Analiza przeprowadzona w laboratorium szpitalnym potwierdza, że ma pani krew A dwa Rh dodatni. To jeszcze nie wszystko. – Poprosił aspiranta, żeby mu podał protokół oględzin pończochy. – Do tej samej grupy należy krew zakrzepła na wewnętrznej ścianie pończochy. A dwa Rh do-

datni. W poniedziałek była pani pijana – przypomniał jej bezceremonialnie. – Po wyjściu z domku, mogła być pora kolacji, spadła pani ze schodów i skaleczyła łydkę. Rana jeszcze nie zdążyła się zabliźnić, a krwawiła długo.

Oczy Kiry zaszły łzami.

– Pani zamordowała Elżbietę Cukier – oświadczył po chwili głosem stanowczym nadkomisarz.

Kira zamknęła powieki, mocno zacisnęła dłonie na poręczach fotela i trwała nieruchomo jakiś czas.

– Dlaczego pani to zrobiła?

Dopiero teraz łzy wytoczyły się z kącików jej oczu i wolno zsuwały się po policzkach. Nawet nie wytarła ich palcami. Pociągała nosem, drętwo patrząc przez łzy na ścianę przed sobą, jakby chciała ją przebić i uciec z pokoju. Syski chwycił Kirę za ramiona i brutalnie nią potrząsnął.

– Dlaczego? Nie usłyszał odpowiedzi.

– Z litości nad siostrą? – spytał. – Że była bezdzietna? Chyba nie. Raczej z zemsty nad szwagrem – odpowiedział sobie i jej. – Kiedy jesienią zeszłego roku kupowała pani Paradise, szwagier Andrzej Kramarz nie chciał pożyczyć pieniędzy. – Przerwał na chwilę, był przekonany, że teraz Kira coś powie albo chociaż zaprotestuje, lecz ona siedziała niema i nadal tępym wzrokiem wpatrywała się w ścianę. – Z Banku Handlowego wzięła pani kredyt na krótki termin. Ponieważ nie miała pani z czego zwrócić długu, namówiła więc Henrykę, żeby opracowała technologię produkcji fałszywych banknotów. Kramarz dowiedział się o tym od żony. A że on też miał niemałe problemy finansowe, domagał się haraczu za milczenie. Pani płaciła i się buntowała. I myślała, jak się pozbyć szwagra. Miała pani do wyboru dwie możliwości: zabić go albo wsadzić do ciupy. Okazja nadarzyła się piątkowej nocy. Tyle że zamiast Andrzeja Kramarza do ciupy wsadziła pani swoją siostrę. Czy mówić dalej?

– Zbyteczne. – Po chwili wybuchła długim śmiechem. Śmiała się przez łzy jak oszalała. Gdy ucichła, wstała i oparła się oburącz o blat stolika, przy którym siedział aspirant. – Pisz, skurwielu, że przyznaję się do wszystkiego.

Spis treści

Broszka z kameą 7
Złota grovana 25
Świadek koronny 44
Cztery tysiące dolców 60
Leworęczny nożownik 76
Pończochy z lycry 104

ISBN 83-87294-31-4

Druga studentka pobiegła w stronę policjantów, którzy palili papierosy przed Kormoranem i zanim wędkarze zeszli z pomostów, ona już prowadziła stróżów porządku na brzeg zatoki. Od tej chwili wszystko działo się błyskawicznie. Jacyś dwaj faceci w spranych drelichach (później ktoś powie nadkomisarzowi, że to byli kłusownicy, którzy łapali węgorze) wyłowili ciało kobiety i gdy dopłynęli z nim do plaży, na brzegu czekał doktor Szpak w otoczeniu gapiów z kempingu.

Wydawnictwo ORGANON

65-901 Zielona Góra 1, skr. poczt. 73, tel. 068/ 452 17 14,
tel. 068/ 320 17 69, e-mail: organonzryb@poczta.onet.pl
organonzryb@op.pl